

ANALIZA ROMUALDA SZEREMIETIEWA

Jakie są szanse Ukrainy
w starciu z Rosją?



Mark Brzezinski – nowy
ambasador USA w Polsce

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 05/461 31 STYCZNIA–6 LUTEGO 2022

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE
W CHINACH:

TYPUJEMY NASZYCH
FAWORYTÓW
DO MEDALI



Semka o błędzie i przemilczeniach
w filmie „Gierek”



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 0.5
Nakład: 54 000 egzemplarzy

MARZENIE O ZEMŚCIE

Jak totalna opozycja zamierza odegrać się na PiS



Ochrona polskiej granicy wschodniej

MONETA KOLEKCJONERSKA NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu monetę kolekcjonerską „Ochrona polskiej granicy wschodniej”.

Srebrna moneta o nominale 10 zł została wyemitowana w hołdzie funkcjonariuszom Straży Granicznej oraz policjantom i żołnierzom, którzy strzegąc naszego terytorium – w obliczu działań o charakterze wojny hybrydowej – dają dowody najwyższego profesjonalizmu oraz oddania państwu polskiemu i jego obywatelom.

Moneta kolekcjonerska do nabycia od 27 stycznia 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP oraz w sklepie internetowym: kolekcjoner.nbp.pl

Najbardziej haniebnym proces w Europie



PAWEŁ LISICKI

Od kilku dni, a ściślej biorąc – od 24 stycznia 2022 r., kiedy to w Finlandii zaczął się proces przeciw Päivi Räsänen, zerkam systematycznie na wielkie portale i przeglądam informacje w największych mediach, tak, tych samych, które na co dzień deklarują obronę wolności słowa i mienią się zwolennikami debaty. Nic i nic, i jeszcze raz nic. Cisza jak makiem zasiał. A przecież w tym wypadku cały świat powinien grzmieć i wołać. Pani Räsänen to była minister spraw wewnętrznych (przez pięć lat!), a obecnie parlamentarzystka w Finlandii (jest nią od 1995 r.). A więc, jak łatwo zauważyć, jest to osoba publiczna i oskarżenie jej powinno wywołać szok. Tym bardziej jeśli wiadomo, jakie zarzuty jej postawiono.

Otóż prokurator generalny Finlandii uznał, że popełniła ona przestępstwo zaliczane w fińskim kodeksie karnym do kategorii zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Brzmi poważnie, nieprawdaż? Były minister spraw wewnętrznych, który dopuszcza się zbrodni przeciw ludzkości, o co jest oskarżany nie przez byle jakich wariatów i trolli – wiadomo, każdego można obwinąć o wszystko – ale przez prokuratora generalnego, a sprawę rozstrzyga sąd – toż to powinna być gratka dla dziennikarzy. A tu cicho sza. Teraz clou: zbrodnia przeciw ludzkości ma polegać na tym, że pani Räsänen trzy razy (w wywiadzie w gazecie, na Twitterze i w ulotce) zacytowała fragmenty Pisma Świętego. Nie takie sobie zwykłe fragmenty jednak, ale konkretne i dla dzisiejszego liberalnego odbiorcy nie do zniesienia (co tłumaczy najwyraźniej medialną wstrze-

mięźliwość): a mianowicie o tym, że Bóg stworzył człowieka jako mężczyznę i kobietę, oraz o tym, że homoseksualizm jest grzechem przeciwko naturze. Była minister skrytykowała ponadto swoją luterzańską wspólnotę za dofinansowanie lobby LGBT. Na domiar złego na ławce oskarżonych o szerzenie nienawiści znalazł się przywódca wspólnoty luterńskiej w Finlandii, Juhan Pohjola, ponieważ był wydawcą broszurki pt. „Mężczyzna i kobietą stworzył ich”, do której tekst napisała Päivi Räsänen.

Nie mieści się w głowie? Ależ owszem, to jest dokładnie ten tęczyowy zamordyzm, który szaleje coraz bardziej w zachodniej Europie i który próbują importować do Polski różnej maści miejscowi ideolodzy LGBT. Cytowanie Biblii jako zbrodnia przeciw ludzkości? Na tym polega teraz oświecenie. Dla apostoła powszechność homoseksualizmu w świecie pogańskim była najwymowniejszym znakiem upadku, zamachu na darowane przez Boga życie: „Dlatego wydał ich Bóg poprzez pożądania ich serc na łup nieczystości, tak iż dopuszczali się bezczeszczenia własnych ciał. [...] Dlatego to wydał ich Bóg na pastwę bezecnych namiętności: mianowicie kobiety ich przemieniły pożycie zgodne z naturą na przeciwne naturze. Podobnie też i mężczyźni, porzuciwszy normalne współżycie z kobietą, zapalali nawzajem żądzą ku sobie, mężczyźni z mężczyznami uprawiając bezwstyd i na samych sobie ponosząc zapłatę należną za zboczenie” (Rz, 1, 24-27).

Dziś za powtórzenie tych słów można trafić przed sąd i narażać się na prześladowania. Pod tym względem współczesne państwo

liberalne, co się tyczy stosunku do chrześcijan, coraz bardziej przypomina starożytne cesarstwo. O ile w pierwszych wiekach po Chrystusie chrześcijanie mogli zapewnić sobie spokój, oddając hołd cesarzowi jako bogu, to w XXI w. muszą wyrzec się św. Pawła i dostrzec w homoseksualizmie moralnie właściwą orientację. I po wszystkim. Tylko tyle. Wystarczy to zaaprobować.

To, że takie są wymagania coraz większej liczby polityków zachodnich, nie dziwi mnie. Pod presją ideologów genderowych powprowadzali od dawna nowe ustawy, które to zrównują krytykę homoseksualizmu (transwestytyzmu i innych osobliwości) z nienawiścią. Strojąc się w szaty obrońców ludzkiej godności, próbują zatkać usta inaczej myślącym. Jednak skąd się bierze milczenie wszelkiej maści ekumenistów? Gdzie są zwolennicy dialogu i bliskości – teraz, kiedy ich głos mógłby mieć znaczenie? Kiedy mogliby pokazać, że tym, co dla chrześcijan wspólne, jest biblijne rozumienie życia i moralności? Głucho wszędzie. Wszyscy ci organizatorzy dni jedności, dialogów, porozumień, dokumentów siakich i owakich nabrali wody w usta i milczą. Zamiast stanąć w obronie prześladowanej za wiarę luteranki i luteranina, wybrali schowanie głowy w piasek.

Gdyby pani Räsänen została skazana, grożą jej nawet dwa lata pozbawienia wolności. Końcowe posiedzenie sądu odbędzie się 14 lutego. Ona sama nie zamierza się poddać. Nie wiem, jakie będzie orzeczenie, ale już teraz śmiało mogą uznać, że proces ten to najbardziej haniebnym przykładem zamordyzmu w Europie. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ŻYCZENIE ZEMSTY
Frustracja byłych „elit”

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
OPERACJA „BENEDYKT”

52 ROZMOWA
ZE ZBIGNIEWEM HAŁATEM
**KTO NA PANDEMII TRACI,
A KTO SIĘ BOGACI**

HISTORIA

54 ROZMOWA
Z MARKIEM TELEREM
ŚMIERĆ VOLKSDEUTSCHA
Kariera Igo Syma

ŚWIAT

58 ROMUALD SZEREMIETIEW
**ZIMOWA WOJNA
CZY ZIMNY PRYSZNIC?**
Przed starciem na Ukrainie

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
MYŚLICIELE PUTINA

64 ROZMOWA
Z DR. ANDREASEM UMLANDEM
**BERLIN MUSI PORZUCIĆ
ZŁĄ POLITYKĘ**

EKONOMIA

66 ŁUKASZ WARZECHA
ULGA? CZYŻBY?
Polski Ład i pozaexcelowy świat

SPORT

70 ŁUKASZ ZBORALSKI
KTO WRÓCI Z MEDALEM?
Pekin 2022

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
ŁOWCY PRZYSZŁOŚCI
„Naukowcy” niczym gwiazdy pop

O ZDROWIU

74 ROZMOWA
Z DR. HAB. N. MED. EWĄ JANCZEWSKĄ
TERAPIA NADZIEI
Rak wątrobowokomórkowy

KRAJ

18 KAMILA BARANOWSKA
NOWE ZASADY GRY?
Zmiana ordynacji wyborczej

20 JACEK PRZYBYLSKI
AMBASADOR NA TRUDNE CZASY?

22 WITOLD REPETOWICZ
**PROMIGRACYJNI
TROPICIELE ISLAMOFOBII
W SŁUŻBIE ERDOĞANA**

24 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ODWAGA PROFESORA TRZNADLA

26 PIOTR SEMKA
LEGENDA O ŚW. EDWARDZIE

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
SZUSOWANIE BEZ OBOSTRZEŃ

KULTURA

32 ROZMOWA Z PIOTREM GLIŃSKIM
„OPŁAKIWANIE CHRYSZTUSA” POWRACA
Dzieło Cranacha starszego odzyskane

35 WIESŁAW CHEŁMINIAK
BLASK PÓŁNOCY, CIEŃ POŁUDNIA

38 PIOTR GOCIEK
BARDZO WIELKA WINA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 WOJCIECH GOŁONKA
RZĄDZIĆ TO PRZEWIDYWAĆ
„Najzdolniejszy człowiek w polskiej polityce”

FELIETONY • SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (57), GABRYEL, WARZECHA (68), KOMUDA (77), KARWELIS, POSPIESZAŁSKI (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkos, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torąński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zaleski, Tomasz Zbigniew Ząpat

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca,
także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja),
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Zygadlo

Studio graficzne: **Wojciech Niedziello** (kierownik),

Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okladka: **Tomasz Jastrzębowski/Reporter, Andrzej Hulimka/Forum,**

Paweł Włodarczyk/East News, Maciej Jonek/Reporter

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829

Nakład 54 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Dziady w szambie”, „DRz” 3/2022

Szanowni Państwo,
dziękuję za świetne artykuły Elżbiety Morawiec i Krzysztofa Masłonia.

Edytoriał trafia w sedno. Brawo! Nic nie trwa wiecznie.

Pozdrawiam serdecznie
Jerzy Marcinkowski

Niemcy Bismarcka mają się dobrze

Amerykani i Anglicy, naturalnie i znów Polacy, krytykują Niemców za odmowę dostarczania broni tam, gdzie sytuacja tego wymaga – czyli teraz na Ukrainie.

Ale czyż Niemcy są tu winni? Nie, w żadnym razie! Oni po prostu są konsekwentni.

Gdy zaognianiem groził kiedyś kryzys sudecki, czy Niemcy podobnie nie odmówili dobrojenia Czechów? Odmówili, więc stale trzymają się tych samych pacyfistycznych zasad.

Nieprawdaż?

Tomasz Dąbrowski

Szukanie dobra i spóźnione życzenia

Serdecznie pozdrawiam całą Redakcję tygodnika „Do Rzeczy” i bardzo dziękuję za Państwa pracę.

Mam wrażenie, potwierdzone w rozmowach z osobami o różnych poglądach z mojego otoczenia, że w ostatnim czasie ze wszystkich mediów płynie przekaz mało pozytywny, jeśli nie depresyjny.

Nie chodzi mi o zakłamywanie rzeczywistości. Sejm chyba nikt o zdrowych zmysłach „poważnie” nie może traktować.

Jestem jednak bardzo ciekawa, co np. dziennikarze, czytelnicy „Do Rzeczy” dostrzegają w ostatnich 10 latach jako pozytywne, ważne, cenne dla naszego kraju. Rzeczywistość nigdy nie jest jednorodna i każdy psycholog chyba, chcąc leczyć, pomaga pacjentowi znaleźć jakieś dobro w jego życiu, które go umocni.

Moim zdaniem wyjątkowo cenne są zmiany, która nastąpiła na rynku medialnym, i powstanie np. tygodników „Do Rzeczy”, „Sieci”, TV Republika i wielu innych. Mamy z czego wybrać i liczymy na więcej :) Dla nas, czytelników i odbiorców, to zmiana bezcenna i „życiodajna”.

Nie wyobrażam sobie, jak dziś żyłoby się bez takich mediów, w których prawda o człowieku, świecie, sens jest nadal poszukiwaną wartością, czymś „normalnym”.

Taka myśl – o ich braku – jest przeraźliwie przerażająco zatrważająca! Jestem też przekonana, że tego typu media – postrzegające świat poprzez jasno określone wartości – wielu z nas, czytelników, ratują od szaleństwa.

Z okazji nowego roku życzę więc Państwu Pokoju i Dobra oraz satysfakcji z pracy i wielu sukcesów zawodowych – z których chętnie my, czytelnicy, będziemy korzystać.

Anna Bochyńska



c e z a r y k r y s t o f



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kiepski żart

Deutsche Welle to quasi-rządowy portal, który często wyraża poglądy z kręgów władzy. Opinie nieoficjalne, wypuszczane na zasadzie balonu próbnego. Nie inaczej jest teraz, gdy głos zabrał istotny komentator DW Matthias von Hein. „Konflikt na Ukrainie. Niemcy jako idealny mediator” – tak brzmi tytuł komentarza. I pod spodem lead: „Geopolityczna pozycja Niemiec jako mediatora między NATO i Rosją jest znów testowana”.

Jeśli w opinii Matthiasa von Heina RFN ma pośredniczyć w negocjacjach między NATO i Rosją, to tym samym autor komentarza uważa swój kraj za byt zewnętrzny wobec paktu północnoatlantyckiego. A przecież Niemcy są wciąż członkiem sojuszu, który stoi na stanowisku prawa Ukrainy do zachowania integralności terytorialnej. Ba, nasi sąsiedzi zza Odry podpisali się pod pisemną odpowiedź państw NATO na rosyjskie żądania w kwestiach bezpieczeństwa. Wydawało się, że telekonferencja przeprowadzona przez prezydenta Joe Bidena z udziałem przywódców unijnych oraz liderów Niemiec, Wielkiej Brytanii i Francji

zamknęła kwestie pytań o rolę Niemiec w obecnym konflikcie. A jednak komentarz Deutsche Welle wskazuje, że czym innym są oficjalne deklaracje, a czym innym poglądy elit. Komentarz Deutsche Welle pokazuje, że wciąż silne jest myślenie sytuujące Niemcy w roli państwa między NATO a Rosją. I najbliższe miesiące przyniosą nam dalsze odsłony sporu między niemieckimi zwolennikami opcji atlantyckiej a fanami Putina.

Kiedyś ta linia sporu dzieliła w Niemczech Zachodnich lewicę i prawicę. Teraz kanclerz Olaf Scholz z SPD jest tak samo zapalonym zwolennikiem rury bałtyckiej jak konserwatywny premier Bawarii z konserwatywnej CDU.

W historii fascynuje mnie, jak momenty zmian, które niosą za sobą gigantyczne skutki, wydarzają się w życiu krajów bez zwracania na to uwagi przez większość obywateli. Zakotwiczenie Niemiec w obozie państw zachodnich, które stworzyły NATO, aby bronić się przed sowieckim imperializmem, wydawało się kluczową decyzją powojennych Niemiec. Jeżeli teraz nasi zachodni sąsiedzi strząsają z siebie rolę współobroncy zasad

demokracji i wolności, to jest to niesłychanie ważna zmiana. Nie sposób odnieść wrażenia, że jej oznaki przyjmowane są w Niemczech ze zdumiewającym brakiem zainteresowania opinii publicznej. Groźba ataku Putina na Ukrainę nie wywołuje w RFN żadnych antywójennych demonstracji pod ambasadą Rosji czy marszów pokojowych. A przecież ewentualna wojna na Ukrainie będzie ekologiczną katastrofą. Rosyjskie czołgi i bombowce będą miały znacznie silniejszy ślad węglowy niż krytykowane z tego powodu SUV-y i hodowle bydła. Okazuje się, że autorzy dramatycznych apeli o ekologię milczą w momencie, gdy pojawia się Putińskie państwo-bandzior.

Na szczęście są też głosy refleksji. Redaktor naczelny „Die Welt” napisał w edytoriale z piątku 28 stycznia trzeźwe słowa: „Czy to w kwestii kryzysu na Ukrainie, transformacji energetycznej czy koronawirusa – koalicja SPD-Zieloni-DP nie przegapi żadnej okazji, aby iść groteskową »niemiecką specjalną drogą«. Azymuty zawsze są te same: arogancja moralna, tchórzostwo i lenistwo. My, Niemcy, staliśmy się dziś kiepskim żartem”. ©©

RUSZYŁA BUDOWA MURU NA GRANICY

Na granicy polsko-białoruskiej w ubiegłym tygodniu ruszyła budowa fizycznej stalowej bariery. Zapora ma mieć 5,5 m wysokości, z czego 5 m będą stanowiły stalowe słupy, a resztę zwoje z drutu kolczastego. Według szacunków MSWiA do budowy zostanie zużytych ponad 50 tys. ton stali. Zapora powstaje na długości ponad 180 km wzdłuż granicy z Białorusią. Ułatwieniu ochrony polskiej granicy służyć mają także nowoczesne czujniki ruchu oraz system kamer. Cała inwestycja ma kosztować około 1,6 mld zł. (jap) ©©



FOT. ARTUR RESZKO/PAP



NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński poinformował o rekordowym zysku (ponad 10 mld zł), który NBP wypracował w 2021 roku i przekaże do budżetu państwa.

W związku z tym suma wpłat do budżetu państwa za kadencji prof. Adama Glapińskiego (ponad 30 mld zł) będzie największa (w porównaniu do wpłat dokonanych za kadencji poprzednich prezesów NBP).

Również rezerwy walutowe (blisko 150 mld euro) i zasoby złota NBP (prawie 229 ton) osiągnęły w tym czasie największy w historii poziom.





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Żadnych marzeń

Dwóch znaczących przedstawicieli eurokracji zagrało z nami w minionym tygodniu w szczerą.

Pierwszy to Esteban González Pons, hiszpański eurodeputowany, wiceprzewodniczący Europejskiej Partii Ludowej (EPP), największej frakcji Parlamentu Europejskiego. González udzielał wywiadu portalowi Euroactiv jako przewodniczący specjalnej misji UE, która przyjedzie do Polski w lutym, by badać sprawę domniemanej inwigilacji opozycji przy użyciu izraelskiego programu Pegasus. Drugi szczerzy natomiast to Didier Reynders, unijny komisarz ds. sprawiedliwości, który wypowiedział się w niemieckim „Süddeutsche Zeitung”.

Pierwszy powiedział otwartym tekstem, że jedzie do naszego kraju, by „pomóc Polakom zmienić

rząd”. Drugi, nieco mniej wprost, ale równie jasno – że celem unijnych sankcji przeciwko Polsce nie jest jakaś tam jedna czy druga Izba albo elektrownia, ale „zmuszenie polskiego rządu, żeby zmienił swą politykę”.

Jaką to politykę musimy zmienić? Streszczając Reyndersa własnymi słowami, ujmę to tak: politykę polską mamy zmienić na europejską. Unia jest bowiem „wspólnotą prawa” i to prawo we wszystkich krajach musi być „stosowane właściwie”. Jeśli się za stanowić poważnie, co oznacza pojęcie „wspólnota prawa” w takim kontekście, w jakim go Reynders używa, to oznacza ono po prostu państwo federalne, z określającą i narzucającą wszystkie zasady centralą, jedynie uprawnioną do „stanowienia prawa” i decydowa-

nia, jak je „właściwie” stosować. Czyli utratę suwerenności krajów członkowskich.

Do tej pary zachodnich Tarzanów, szykujących się do wychowywania polskich małą, wypada jeszcze doliczyć nowego ambasadora USA, Marka Brzezinskiego. Ten wprawdzie nie udzielił szczerzego wywiadu, ale zastąpiła go w tym siostra, oznajmiając w histerycznie antyrządowej „Gazecie Wyborczej”, że jej brat w pełni identyfikuje się z przekazem płynącym z Czerskiej. Skądinąd brat pytany w Senacie USA o cele swej misji w Polsce na pierwszym miejscu wymienił wspieranie prześladowanej jego zdaniem „społeczności LGBT”.

Point de rêveries, jak to powiedział kiedyś do Polaków car Aleksander. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Zamiatanie historii

Fryderyk Engels, prorok przyszłego – czy raczej naszego – świata (tego, w którym już żyjemy), zapowiadał, że przyszłość „zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko reakcyjne klasy i dynastie, lecz także całe reakcyjne narody. A to jest także postęp”. Za najbardziej szkodliwe uważał małe społeczności, „szczątki narodów”, przechowujące zmiążdżone przez historię tradycje, tak się złożyło, że bez wyjątku katolickie: szkockich górali wiernych sprawie jakobickiej, Bretończyków walczących z rewolucją francuską, karlistów z Nawarry. Lenin dokładał do tego Kozaków dońskich, jak ich pieśzcotliwie nazywał – „naszych Wandejczyków”. Dziś pewnie

jeden i drugi do tej listy chętnie by dopisał tradycjonalistów katolickich.

Gdy Éric Zemmour przestrzega przed Wielką Wymianą Ludności – mówi dokładnie o owym „zamiataniu powierzchni ziemi”, którego od przyszłości oczekiwał Engels. Aby bowiem obumarły państwa, trzeba je społecznie rozmontować, zmienić ich charakter tak, by nie były zdolne przeciwstawiać się rewolucji.

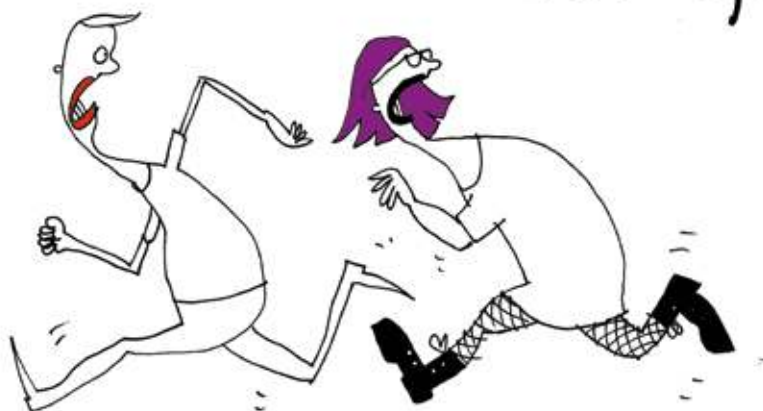
Warto to wszystko pamiętać nie tylko po to, by zachować wyobraźnię, której brak sprawia, że naiwnych zawsze zaskakuje przyszłość. I nie tylko dla zrozumienia wielkich, a stymulowanych procesów społecznych, takich jak nowa wędrówka ludów, lub całych

ideologii, takich jak multikulturalizm czy Społeczeństwo Otwarte. Również po to, by rozumieć całkiem zwyczajną politykę, na przykład Unii Europejskiej wobec Polski i w ogóle Europy Środkowej.

Chantal Delsol trafnie pisała, że w oczach wyznawców utopii skompromitowały się metody, ale nie „ideał” komunizmu. Dziś nikt otwarcie nie będzie wzywał do przemocy, ale przeświadczenie, że są narody stojące na przeszkodzie historii, wymagające reedukacji albo nadzoru, pozostaje ciągle, świadomie lub podświadomie, żywe. Jego echa słyszymy w rytualnych klątwach rzucanych na Polskę przez Parlament-Trybunały-Komisję. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Aktywiści LGBT chcieli uratować krowę,
która czuje się bykiem, ale okazało się,
że to byk...



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 amoku władzy

Krzysztof Kieślowski w filmie „Z punktu widzenia nocnego portiera” (1977) ostrzegał, że ustrój totalitarny produkuje bezwzględnych służbistów, gotowych brutalnie i złośliwie tresować ludzi. To, co dzieje się w Italii, pokazuje, że w sprzyjających okolicznościach, choćby zaostreżenia dyscypliny z powodu zarazy, tacy osobnicy lęgną się również w demokracji.

Gospodyni domowa Maristella Scarmignan, odbywająca kwarantannę w swoim mieszkaniu w Ospedaletto Euganeo pod Padwą, usłyszała huk. Wyjrzała przez okno. Motocyklista po zderzeniu ze znakiem drogowym leżał w rowie. Pospieszyła mu z pomocą i wezwała pogotowie. Przybyli również karabinierzy. Motocykliście na szczęście nic

poważnego się nie stało. Nie można tego niestety powiedzieć o pani Scarmignan. Zamiast odznaczyć kobietę orderem, skazano ją na dwa miesiące więzienia z zamianą na 4,5 tys. euro grzywny za złamanie przepisów o kwarantannie. Niewiasta posiadała zaświadczenie o negatywnym wyniku świeżo wykonanego testu, a pomoc niosła w maseczce.

Na tym nie koniec włoskiego kretynstwa covidowego. W Genui podczas lockdownu mąż przyjechał samochodem do szpitala po kończącą zmianę żonę pielęgniarkę, która obawiając się zakażenia, nie chciała korzystać z komunikacji miejskiej: 530 euro grzywny. W Rzymie, gdy przed sklepami ludzie ustawiali się w kolejki, zmęczona starsza

pani przed supermarketem usiadła na pobliskiej ławeczce – 280 euro grzywny za złamanie reguł lockdownu. A co powiecie o pechu księdza, który w samotnej procesji odprawił nabożeństwo Drogi Krzyżowej na świeżym powietrzu i musiał za to przestępstwo zapłacić 400 euro? 100 euro więcej zapłacił młodzieniec w Bolonii za to, że pojechał do pobliskiego spożywczaka na skateboardzie. Dlaczego? Bo w spisie pojazdów, których wolno użyć, robiąc zakupy w czasie lockdownu, były samochód, skuter, hulajnoga i rower, ale skateboardu nie było. Człowiek, niestety, jest zdolny do wszystkiego, tylko trzeba mu dać szansę. Choćby nieco władzy. Wystarczy tyle, ile brudu za pażnokiem. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

AURA NATALII

Natalia Siwiec, która pochwaliła się niedawno kupnem domu w Meksyku, opowiada, że nie zamierza w związku z tym prędko wracać do Polski i specjalnie za swoim krajem nie tęskni. – Nie lubię tej aury, która teraz tam wisi – stwierdziła.

Przy okazji jakaś fanka zapytała ją także o kwestię wiary i religijności. – Nie wyznaję żadnej religii. Moja jedyna religia to miłość – odpowiedziała. Zapomniała tylko dodać, że własna. Co widać i słychać na każdym kroku. Niezależnie od aury i kraju.

ZAWÓD: SYN

Leon Myszkowski, syn piosenkarki Justyny Steczkowskiej, ma aspiracje do bycia celebrytą i influencerem. Prowadzi więc swój profil na Instagramie i chętnie dzieli się fragmentami swojego życia. Swoją przygodę z show-biznesem zaczął wcześniej, bo – jak przypomina portal Pudelek – już jako 14-latek wystąpił



FOT. VIPPHOTO/EAST NEWS

na pokazie marki odzieży sportowej. Potem założył bloga kulinarnego i chciał zostać kucharzem. Wydał nawet własną książkę kucharską! Po drodze była jeszcze fascynacja modą i chęć zostania blogerem modowym. Ostatnio na Instagramie ktoś zapytał go więc z ciekawości, czym się aktualnie zajmuje i gdzie pracuje. – W tygodniu jako agent nieruchomości, a w weekendy jako DJ – odpowiedział Leon. A jak i to mu się znudzi, to wróci do zawodu, w którym – jak widać na Insta – czuje się najlepiej. Czyli syn swojej matki.

ZAWSZE SZCZĘŚLIWIE

Podróżniczka Beata Pawlikowska poinformowała, że niebawem ukaże się jej nowa książka o tym, jak budować udane związki. „Szczęśliwe związki. O miłości, wolności i szczęściu” – brzmi oficjalny tytuł książki, która jest kontynuacją jej poprzedniego dzieła pod tytułem... „Jestem szczęśliwym singlem”. Trzecia część będzie pewnie o rozstaniach i rozwodach. Szczęśliwych oczywiście.

KTO CO MA W GŁOWIE

Blogerka modowa Jessica Mercedes i jej chłopak wybrali się w swoją podróż życia, czyli objazd po Stanach Zjednoczonych. I oczywiście wrażeniami dzielić się, gdzie tylko mogą, głównie na Instagramie. Jessica jest już nieco zmęczona wyprawą i chce wracać. – Tęskni mi się już za domem strasznie, za bratem, za domem jako domem, za moim łóżkiem, za moim jedzeniem, tęskni mi się za Polską, tęskni mi się za przyjaciółmi, tęskni mi się za polskimi cenami, bo mam już dosyć tych amerykańskich cen. I tak sobie myślę: „Co ja miałam w głowie, żeby być trzy tygodnie w Stanach?“, więc to nie jest śmieszne – narzeka biedna celebrytka. Niech lepiej Jessica nie prowokuje do odpowiedzi, co inni sądzą, że ma w głowie. Bo wtedy to dopiero nie będzie jej do śmiechu!

SKARB, NIE TEŚCIOWA!

Edzia Górniak rozpacza, że jej 17-letni syn nie za bardzo garnie się do poszukiwania swojej drugiej połówki. A ona tak bardzo marzy, by Allan spotkał już kogoś na swojej drodze. Do tego stopnia, że postanowiła opowiedzieć o tym w „Super Expressie”. – Rozmawiałam ostatnio z Allanem. Mówię: „Synku, życzę ci, żebyś poznał wspaniałą dziewczynę. Fajnie by było, żeby w twoim życiu była jakaś superfajna dziewczyna, mądra, wrażliwa, zabawna, inteligentna, żeby ci było fajnie mieszkać z kimś”. On mówi: „Nie, to nie jest dobry moment w moim życiu”. On ma 17 lat. Pytam, dlaczego tak uważa. Opowiedział: „Nie mogę martwić się o dwie kobiety, jedna mi wystarczy” – zdradziła Edzia. – Martwi się, że nie ma przy mnie mężczyzny. Jak będzie, to pewnie on odpuści trochę – dodała. W sumie nic dziwnego, że Allan nie ma dziewczyny. Która chciałaby mieć taką teściową jak Edzia?! ☺☺



FOT. PAMEŁ GADNKA



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jaka dziwna sytuacja. Nasz wąsaty supervisor z pisowskiego namaszczenia, wąsaty Andrzej z Tarnowa, znany wam lepiej jako Nowy z Tarnowa, przyjechał dzisiaj do korpo bentleyem prowadzonym przez własnego szofera, do biura wszedł w towarzystwie pónagich waginoosób, rozrzucając na lewo i prawo banknoty 200 zł (musieliśmy tłumaczyć stażystom, iż to są prawdziwe pieniądze, nigdy wcześniej takich nie widzieli), a z głośników leciał Krzysztof Krawczyk.

Widząc nasze zaskoczenie i rozumiejąc niewypowiedziane pytania, które zawisły w próżni, Nowy wyjaśnił nam, że odczuł właśnie pozytywne skutki finansowe Polskiego Ładu, a jako iż jest „normalnie zarabiający”, to po prostu nie stracił, a banknoty rozrzucił ot, tak, po prostu – bo zwyczajnie bardzo się z tego powodu cieszy.

Potem ogłosił, iż z tego, co zyskał dzięki zmianom, zaprasza nasz cały team na drinka po pracy. Rzeczywiście, zaprosił, ale jak już sobie na spokojnie wszystko przeliczył, to okazało się, iż faktycznie, zaprosił nas wszystkich na drinka – jednego, na spółę, a że jest, wiecie, pandemia, to nikt nie chciał tak pić przez wspólną słomkę i Nowy ostatecznie wypił go sam. Tak wygląda w praktyce ten cały Polski Ład.

Kiedy już myślimy, iż nie ma takiego szaleństwa, do którego partia rządząca nie byłaby zdolna, to okazuje się, że pisowcy są w stanie wymyślić kolejne zwariowane przepisy. Otóż tym

razem padło na polonizację stacji radiowych i pomysł, iżby w nocy 80 proc. emitowanej muzyki było z Polski.

Otwieramy więc tym samym kolejny front ideologiczny i tym razem będziemy dzielić muzykę na polską i zagraniczną, a nie na polską i dobrą. Strasznie to



słabe. Poza tym jak ci biedni didżeje będą mieli ogarnąć, czy właśnie puścili 75 proc. czy może 80 proc. polskiej muzyki? Ze strachu przed niedoszacowaniem pewnie machną ręką na muzykę europejską czy światową i polskiej muzyki w końcu będzie 100 proc. I pewnie o to chodziło.

Natomiast naszym zdaniem sam pis pewnie nie jest też do końca przekonany co do tego pomysłu albo nie szanuje polskiej muzyki tak, jak chciałby, abyśmy myśleli. Bo dlaczego niby ten przepis ma obowiązywać w nocy – kiedy wszyscy

śpią, a nie w dzień? To tak samo pozorowane jak walka z pandemią.

Pojechalibyśmy sobie, kochani, gdzieś na ferie, ale są dwa problemy: po pierwsze, Nowy z Tarnowa ani słyszeć nie chciał, że na dwa tygodnie urywamy się z pracy z zachowaniem prawa do pełnego wynagrodzenia.

Po drugie, jednak strach gdzieś w tym kraju pojechać, iż wszędzie jest pełno Polaków, a w dodatku także szurów z pozostałych krajów Europy, którzy przyjeżdżają do nas jeździć na nartach, bo wciąż nie ma u nas wymogu posiadania paszportów covidowych, aby korzystać z różnego rodzaju usług.

Gdzieś za granicą z kolei nie pojedziemy, iż niestety, ale dostaliśmy rachunki za prąd, gaz i śmieci. A że wciąż czekamy na info o nowej wysokości raty kredytu, to postanowiliśmy chwilowo jak najwięcej czasu spędzać w korpo, a do mieszkania wracać na noc, kiedy już nie trzeba włączyć światła.

A poza tym i tak nie mamy płatnego urlopu, iż w końcu korpo nas doceniło i zaproponowało umowę typu B2B, doceniając naszą przedsiębiorczość i łeb do interesów. Przynajmniej na chwilę możemy się poczuć docenieni – i to przez kogo, nie przez teoretycznie własny rząd i własne państwo, a przez ten paskudny obcy kapitał. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Kary z automatu

Czesiu, ty wiesz, co jest w tej nowej ustawie?

Nie bardzo, Ela, nie czytałem...

Ale jesteś podpisany...

Oj, nie wygłupiaj się. Jakbym ja miał dostawać złotówkę za każdy

podpis bez czytania w tej kadencji, tobym miał... No, dużo złotówek bym miał.

Bo ja też nie czytałem, ale podobno tam stoi, że w sprawie odszkodowania za zakażenie nie trzeba będzie niczego dowodzić, tylko wojewoda przyzna z automatu. Od nieprzetestowanego.

O, to dobre jest.

Właśnie. I tak sobie pomyślałam: A jakby w innych sprawach tak zrobić?

Znaczy w jakich?

No, żeby nie trzeba było niczego dowodzić przed sądem, tylko tak nakładać kary z automatu. No, może tylko te drobniejsze. Patrz, sądy by się odetkały, bezpieczniejsze by było...

Ale kto miałby te kary nakładać?

Bo ja wiem? Jakies kolegia może z członków partii złożone. Naszej partii oczywiście. Tylko żeby diety wysokie były. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] czułym się znacznie bardziej komfortowo, gdyby w obliczu możliwej wojny tuż za naszą granicą na czele mojego państwa stali ludzie tacy jak Tusk, Kwaśniewski, Komorowski czy Buzek”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Nie, kochani, zatrzymanie byłego posła PiS za łapówki to nie jest zapowiadany przez nas wielki wstrząs wywołany danymi z Pegasusa oraz wiążący się z tym szok w wysokich kręgach polskiej polityki. Grzegorz J. to kręgi bardzo niskie. My mówimy o dużych rybach. Lekcja z historii Grzegorza J. (nazwisko takie samo jak pewnego ministra z SLD) jest inna – jak to dobrze, że weryfikując listy wyborcze, Naczelnik korzysta z podpowiedzi krwawego Maria Kamińskiego. Tak się bowiem składa, że w 2019 r. pan J. już nie mógł kandydować.

Inna sprawa, że jeszcze nigdy w historii naszej rubryki nie byliśmy świadkami takiej paniki. Dziesiątki telefonów od prawa do lewa, czy możemy coś więcej powiedzieć. Otóż możemy. „Najbliższy czas” nie oznacza najbliższych dni. Prokuratorzy kończą stawiać zarzuty, a nie skończyli. Więc drodzy aferzyści i złodzieje, w najbliższym czasie możecie nie nastawiać jeszcze budzików. To jeszcze chwilę potrwa. Ale nie za długo.

Wogóle ostatnio nasze notki wywołują bałagan. Wystarczyło, że napisaliśmy o imprezie, którą w hotelu Regent urządził Adam Hofman, by świętować rychłe obsadzenie stanowiska szefa MOL Polska (MOL kupił część aktywów Lotosu po fuzji tego ostatniego z Orlenem), aby parę osób dostało gorączki. Jej poziom był na tyle wysoki, że kandydat, którym był przyjaciel Hofmana, Robert Pietryszyn, stracił szansę na to stanowisko. Ale nam przykro.

Pisaliśmy też, że najpoważniejszym kandydatem na nowego prokuratora krajowego jest niejaki Ostrowski. I to prawda. Jednak to, czy nim ostatecznie zostanie, nie jest pewne. Bo w tej sprawie coś jeszcze do powiedzenia mają premier Mateusz i prezydent Andrzej Sebastian. A obaj z jakichś powodów bykiem patrzą na potencjalnych nominatów Ziobry. Więc ta zabawa jeszcze potrwa. Owszem, wiemy kto, jeśli nie Ostrowski. Ale pomni losu Pietryszyna nie wymienimy nazwiska do czasu kontrasygnaty. Bo chodzi o lubianego gościa.

Tymczasem w więzieniu. Zbigniew Stonoga stał się, jak słyszymy, wielką atrakcją spacerniaka. Snuje wiele

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZINSKI

fascynujących opowieści. Na przykład o tym, jak to na wolności ma wspólną skrzynkę e-mailową z „Gazetą Wyborczą” – na antypisowskie donosy. Chwali się również tym, że wiele antypisowskich artykułów osobiście inspirował lub nawet współredagował. Zawsze chcieliśmy wiedzieć, jak robi się gazetę, której nie jest wszystko jedno. Teraz już wiemy.

Jeszcze o sprawach tajemnych. Dewoty idą w górę. Taka wieść gruchnęła w ubiegłym tygodniu po dymisji wiceszefa ABW Norberta Loby i powołaniu na jego miejsce dwóch nowych zastępców. Otóż od razu tłumaczymy. Nie chodzi o to, że rozmodlony Toruń wsadził na to miejsce swoich ludzi. „Dewot” to w żargonie ABW Departament Wsparcia Technicznego, a właśnie z tej struktury wywodzi się jeden z nowych wiceszefów ABW.

Rysiek Petru wrócił! Rysiek-Polityk założył kiedyś Nowoczesną, którą potem porzucił. Ale znów się zapisał i będzie doradzał w sprawach ekonomicznych – jako ekspert. Pierwsza prośba o poradę do Ryśka-Eksperta: jak spłacić długi, które na Nowoczesną zaciągnął Rysiek-Polityk, zanim odszedł.

Ekscytuje nas też come back Jarosława Gowina. Dlaczego? Gdy nabijamy się z Gowina, to wszyscy wiedzą, o kogo

chodzi. A gdy ze Strzeżka – nie bardzo. Strzeżek, widzicie, to rzecznik partii Nie-Porozumienie.

À propos figur nieistotnych: Szymek Hołownia pojechał odwiedzić Końskie, ale entuzjazm, z jakim go tam przyjęto, był umiarkowany. Trzeba było jednak jechać, bo wybory wygrywa się nie w Warszawie, lecz w Końskich, jak wiadomo. Ale w przypadku Szymona jest inaczej – on w 2018 r. zdobył w Końskich 9,5 proc. I jesteśmy dziwnie przekonani, że nigdy tego wyniku nie pobije. Zatem: wybory przegrywa się w Końskich.

Mamy nowego namiestnika USA w Vistula County – to niejaki Mark Brzezinski. A Mark ma psa imieniem Teddy. Pierwsze, co zrobił po objęciu stanowiska (Mark, nie pies), to założył mu profil na Twitterze i zachęcił tubylców do śledzenia jego przygód (psa, nie Marka). Z niepokojem czekamy na kolejne wyrazy szacunku wobec kraju ojców (Marka, nie psa, bo ojca Teddy’ego nie znamy).

Jest jednak proste wyjaśnienie, dlaczego pies Teddy okazuje się tak ważny dla Ameryki i Polski. Siostra Marka, Mika, udzielając powitalnego wywiady „GazWyborczej”, oświadczyła, że w Polsce trzeba przywrócić demokrację. Teraz rozumiemy. Pies Teddy ma po prostu wywąchać, gdzie demokracja jest ukryta. Gdy się ją odnajdzie, to jej przywrócenie będzie już dziecinnie łatwe.

Skoro o sprawach zagranicznych. Podobno Polska jest osamotniona w Unii Europejskiej. O tym, jak bardzo, przekonała się ostatnio w Wilnie Ylva Johansson – europejska komisarz ds. wewnętrznych. Była szwedzka komunistka pozostająca pod przemożnym wpływem przemysłowców ludzi dla niepoznaki zwanych organizacjami pozarządowymi musiała przełknąć gorzką pigułkę. Polska jest bowiem tak izolowana, że zbudowała koalicję większości państw UE wspierającą nasze stanowisko w kwestii ochrony granic. Pani komisarz była tak wściekła, że zażądała usunięcia z dokumentu sformułowania, iż dokument przyjęto w jej obecności. Co było faktem bezspornym. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

**ARDENY '44 – SENSACYJNY
WYWIAD Z WETERANEM
US ARMY**



- Soraya Kuklińska – **Kłusownicy z Waffen-SS w Warszawie**
Piotr Zychowicz – **Tajemnica śmierci Dirlewangera**
Arkadiusz Karbowski – **Płonąca stodoła w Chatyniu**
Mikołaj Iwanow – **Bierut kontra Gomułka**
Sławomir Koper – **Kobiety Papcia Chmiela**
Javier Olivera Ravasi – **Rzeź katolików w Meksyku**
Jacek Bartosiak – **Czy Izrael przetrwa na Bliskim Wschodzie?**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Terror wielkich korporacji**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Lewicowo-liberalna opozycja wprowadzie daleka jest wciąż od szansy na przejęcie władzy, ale snuje wyraziste plany, jak ma wyglądać „przywrócenie praworządności”. „Na pierwszym posiedzeniu Sejmu prawnicy muszą mieć przygotowane: 1. natychmiastowe przejęcie resortów siłowych 2. przygotowane dokumenty pod natychmiastowe zabranie immunitetów. lista pierwszą 20 najbardziej niebezpiecznych i szkodzących interesowi Polski do aresztowanie na trzy miesiące [...] Tylko zdecydowane, szybkie, przygotowane działania, mogą uchronić Nas od WOJNY DOMOWEJ” – wystąpił w ubiegłym

lenników władzy określenie sędziów jako „nadzwyczajnej kasty”, deklarowała otwarcie: „Chcę zemsty!”, słowom jej nie towarzyszyło zakłopotanie zebranych, bynajmniej. Wzbudziły one entuzjazm. I tak jest na wszystkich spotkaniach czy wieczach lewicowo-liberalnej opozycji: każda wzmianka o przyszłej zemście, o „wsadzaniu” czy „skakaniu z okien” PiS-owców skutkuje zauważalnym ożywieniem.

Zwolennicy „żeby znów było, jak było” nie tylko lubią słuchać o stawianiu Kaczyńskiego, Ziobry i wszystkich członków PiS-owskiego rządu przed trybunałami i sądami, lecz także sami o tym mówią – po wpisaniu frazy „rozliczymy

konkretnych domniemyanych nadużyć („rozliczymy PiS za Smoleńsk” – Barbara Nowacka, „za śmierć stu tysięcy niezaszczepionych Polek i Polaków” – Borys Budka etc.). Powody do „wsadzania” wydają się już opozycji tak oczywiste, że nie trzeba ich konkretyzować, wystarczy mówić „za wszystko”, względnie „za wszystkie afery i nadużycia”.

Po drugie, lewicowo-liberalne listy proskrypcyjne wydłużają się niemalże z każdym dniem. „Będą siedzieć” już nie tylko wymieniani z nazwiska liderzy

Życzenie zemsty



Rafał A. Ziemkiewicz

Potrzeba snucia wizji wielkiej czystki i odwetu na zniechwalanym PiS jest coraz silniejsza – w miarę, jak kolejne nadzieje opozycji na zwycięstwo upadają

tygodniu z płomiennym apelem Lech Wałęsa (pisownia oczywiście zgodna z oryginałem).

Można to oczywiście, jak wiele innych wyskoków byłego prezydenta, traktować jako przejaw jakiegoś zamroczenia – ale przecież Wałęsa rzeczywiście streścił doskonale marzenia mniej lub bardziej jednoznacznie snute od lat przez polityków odsuniętych od władzy w 2015 r.

Gdy na spotkaniu zwalczających rząd Zjednoczonej Prawicy prawników sędzia Kamińska (ta sama, która stworzyła skwapliwie podchwyczone przez zwo-

PiS” lub podobnej przeglądarki internetowej wyrzucają dziesiątki stron jednoznacznych pogroźek nie tylko liderów opozycji i jej „autorytetów”, lecz także szeregowych wyznawców, przy czym ci ostatni zwykli formułować tę samą treść znacznie brutalniej.

„BĘDĄ SIEDZIEĆ”

Patrząc na rozłożenie występowania frazy w czasie, można zauważyć dwie prawidłowości. Po pierwsze, zapowiedź rozliczeń, wyrzucania i wsadzania do więzień coraz rzadziej dotyczy jakichś

czy szeregowi politycy PiS, lecz także wszyscy, którzy przyjęli od nich jakiegokolwiek posady czy nominacje. W szczególności oczywiście odpowiedzialność poniosą wszyscy sędziowie, którzy byli rekomendowani przez obecną KRS (czyli w praktyce wszyscy, którzy weszli do stanu sędziowskiego po roku 2015), co między innymi niedwuznacznie zasugerował na antenie TVN24 jeden ze zbuntowanych sędziów Sądu Najwyższego, Włodzimierz Wróbel. Zwraca tu uwagę to, że uczestnicy prawniczego rokoszu – w końcu ludzie ■



FOT. ADDBE-STOCK/12 KREDEK/JAN

z dyplomami prawniczymi, a często ze stopniami naukowymi – zupełnie ignorują tu elementarne zasady prawa, potwierdzone wyrokami Trybunału Konstytucyjnego (jeszcze sprzed roku 2015) i Naczelnego Sądu Administracyjnego (sprzed dwóch miesięcy), które jednoznacznie stwierdzają, że nawet jeśli na jakimś etapie procesu rekomendowania sędziego doszło do nieprawidłowości, to nie może to być powodem kwestionowania legalności statusu takiego sędziego ani jego prawa do orzekania. Mniejsza już zresztą o prawo, elementarny zdrowy rozsądek podpowiada, że frontalne atakowanie z nienawiścią wszystkich „neosędziów”, którzy po sześciu latach rządów PiS stanowią już prawie jedną piątą całego środowiska, znakomicie oddala szanse rokoshan na zwycięstwo. Nie jest to jedyny dowód, że snute przez opozycję wizje rozliczeń pod pozorem politycznej strategii stanowią przede wszystkim rodzaj psychicznej kompensacji.

LOGIKA ROZLICZEŃ

Warto jednak przy tej okazji zwrócić uwagę na próby projektowania przez środowisko prawników związanych z liberalną lewicą mechanizmów, które miałyby konkretnie tę kompensacyjną wizję zrealizować. Marcin Matczak na dostepnym w Internecie nagraniu z działaczami KOD referował np. koncepcję zwolnienia wszystkich żyjących jeszcze byłych członków Trybunału Konstytucyjnego,

**Rozliczenia,
o których marzy opozycja,
coraz częściej
oznaczają mają
czystkę „po całości”**

być może pod przewodnictwem pierwszej RPO prof. Łętowskiej, z nadzwyczajnymi kompetencjami weryfikowania ustaw, a przede wszystkim unieważniania nominacji. Byłby to bardzo spektakularny powrót „starego układu”, choć trudno doprawdy dostrzec cokolwiek, co ideę takiego nadzwyczajnego obertrybunału łączyłoby z rzekomo bronioną praworządnością w większym stopniu niż pozbawianie immunitetów i aresztowania postulowane przez Wałęsę.

Jeszcze dalej poszedł Roman Giertych, bodaj najgłośniejszy zapowiadający wszystkim swoim politycznym wrogom straszną zemstę. Publicznie przedstawił koncepcję ukarania wszystkich „nominatów PiS”, nie tylko sędziów, lecz także prokuratorów, urzędników ministerstw, a nawet dziennikarzy państwowych mediów z artykułu przewidującego karę więzienia za „podszywanie się pod osobę publiczną”. Ta karkołomna interpretacja prawa, przewidzianego na okoliczność oszusta, który np. podszywając się pod kogoś, kim nie jest, dokonuje wyłudzeń, oparta jest na założeniu, że rządy PiS są nielegalne, a więc wszystkie nominacje po roku 2015 są nielegalne, a ci, którzy je przyjmują, zostali o nielegalności rządu poinformowani przez TVN i podobne media – świadomie współuczestniczą więc w oszustwie. Znowu, pomijając traktowanie prawa przez praktykującego adwokata z nonszalancją godną stalinowskich „trojek”, mamy do czynienia z maksymalnym poszerzaniem grupy zagrożonych po zmianie władzy represjami, co przecież w oczywisty sposób szkodzi obozowi, który tę wizję „depisyzacji do korzeni” głosi.

Ale taka właśnie jest logika „rozliczeń”, o których marzy opozycja. Coraz częściej oznaczać one mają czystkę „po całości”. „Będziesz siedział!” – krzyczą aktywiści KOD czy Strajku Kobiet już nie tylko do polityków Zjednoczonej Prawicy i pracowników TVP (która w ogóle w ramach zemsty ma zostać „zaorana”), lecz także do działaczy organizacji pro-life, uczestników nabożeństw, a nawet do polityków i zwolenników Konfederacji, skądinąd też przecież niestroniącej od podobnych pogrozek, by wspomnieć tylko straszenie ministra Niedzielskiego przez posła Brauna: „Będziesz wisiał!” A i tak zwolennikom „opozycji totalnej”, tak żywo, jak to już wspomnieliśmy, reagującym na wszelkie bodaj tylko aluzje i napomknienia, że „nadejdzie wreszcie dzień zapłaty, sędziami wtedy będziemy” (jak to ujmie zapisana głęboko w kulturowym DNA tych środowisk stara, rewolucyjna pieśń), wydaje się to nie wystarczać.

Dowodem niedawna przygoda Adama Michnika, który na spotkaniu ze zwolennikami musiał tłumaczyć się z zarzutu, że opozycja nie ma wystarczająco przekonującego planu rozliczeń, co, zdaniem stawiających ten zarzut, powoduje jej słabe poparcie – „ludzie” chcą bowiem działać stanowczych, gwarantujących, że PiS zapłaci za to „wszystko, co się dzieje”. To

spory paradoks, kiedy redaktor naczelny gazety codziennie trąbiącej o rzekomych nadużyciach czy wręcz zbrodniach PiS próbuje mitygować ofiary swojej własnej propagandy w ich odwetowych zapędach. Zresztą czynił to groteskowo, tłumacząc, że, oczywiście, jest za surowymi karami dla polityków i działaczy PiS, ale tylko dla nich, a nie dla tych, którzy na nich głosowali, i uzasadniając: „Tak, jak rozliczyliśmy funkcjonariuszy reżimu PRL-owskiego po roku 1989”. Każdy, kto ma choćby blade pojęcie o najnowszej historii Polski, wie, że żadnych funkcjonariuszy reżimu PRL po 1989 r. nie rozliczono ani nie ukarano i że właśnie Adam Michnik jest jednym z ludzi w największym stopniu za to odpowiedzialnych.

KORZENIE NIEPOKOJU

Radykalni „mściciele”, zaludniający bańkę „żelaznego elektoratu anty-PiS”, nie sięgają jednak pamięcią aż tak daleko. Korzenie ich niepokoju tkwią w bliższej historii, tej sprzed lat 15. Zaraz po deklaracjach „rozliczymy PiS”, składanych rytualnie przez liderów, rodzi się bowiem wątpliwość: Czy aby na pewno? Bo przecież przed rokiem 2007 ci sami ludzie zapowiadali to samo. Na licznych „obywatelskich” spotkaniach „oboju demokratycznego”, przyciągających z zasady najbardziej zaangażowanych, powtarza się dramatyczne pytanie: Dlaczego nie dobiliście wtedy PiS-owskiej bestii?! Dlaczego pozwoliliście na to, żeby „zbrodnie PiS” z lat 2005–2007 uszły wrogom płazem? Gdybyście wtedy na to nie pozwolili, „oni” nigdy by nie wrócili do władzy!

Kanoniczna odpowiedź, udzielana na to przez polityków opozycji i wspierających ich redaktorów Agory czy Ringiera Axela Springera, brzmi: Tak, zgrzeszyliśmy, ale tylko nadmiarem dobroci! Naiwnie uznaliśmy, że społeczeństwo, dojrzawszy całą ohydę obalonych w 2007 r. rządów, nigdy już nie poprze PiS, więc można pokonanym okazać łaskę... Jest to, obok „nie umieliśmy się chwalić sukcesami naszych rządów”, jedyne niedociągnięcie, do którego odsunięci od władzy potrafią się dziś przyznać. A tymczasem zawarte zarówno w pytaniu, jak i w odpowiedzi milczące założenie, że po roku 2007 nie rozliczono PiS, bo nie próbowało, jest przecież oczywiście nieprawdą.

Próbowano. Jak najbardziej. W sprawie rzekomych „nacisków” i „nadużyć” toczyły się po roku 2007 w sumie 62 postępowania prokuratorskie, przez

długi czas ciągnęli ludzi związanych z poprzednią władzą na przesłuchania (rekordzistów nawet po kilkanaście razy), powołano też do zdyskredytowania PiS dwie specjalne sejmowe komisje śledcze. Wszystkie śledztwa zostały w końcu umorzone, przewodniczący komisji zwanej potocznie „naciskową”, Andrzej Czuma, ogłosił oficjalnie, że żadnych nadużyć nie znalazł i wszystkie oskarżenia okazały się fałszywe.

Przewodniczący drugiej komisji, mającej doprowadzić do skazania Ziobry i Kaczyńskiego za rzekome zabicie Barbary Blidy, Ryszard Kalisz, próbował ratować sytuację, ogłaszając, że odkrył „rażące złamanie konstytucji” (którym miało być powołanie międzyresortowego zespołu do zbadania sprawy mafii węglowej, bo w konstytucji nie ma wymienionych zespołów międzyresortowych – jak zresztą wielu innych rzeczy, na przykład gabinetów politycznych). „Zbrodni PiS” nie rozliczono nie dlatego, że PO chciała być łaskawa, tylko dlatego, że ich nie umiała znaleźć.

Paranoiczna narracja ma jednak swoje konsekwencje: w tę lukę w opowieści obozu sprzyjającego poprzedniej władzy chętnie wchodzi wspomniana już Konfederacja, podsuwając w licznych memach i wypowiedziach wyjaśnienie proste jak cios cepa: brak rozliczeń po 2007 r. to znak, że, jak głosimy od zawsze, PiS i PO to jedna banda, cały ten spór jest pozorowany, a w istocie – kruk krukowi łba nie urwie. Jakich jeszcze potrzeba wam dowodów?

EWOLUCJA TUSKA

Czy w ten sposób Konfederacja może wyrwać część zwolenników PO i jej „przystawkom”, trudno powiedzieć, ale tej pierwszej najwyraźniej obawa taka nie jest obca. Dowodzi tego porównanie kolejnych wystąpień Donalda Tuska. „Nie chcę zemsty” – deklarował w „Gazecie Wyborczej” zaraz po powrocie do polskiej polityki. „Nie jestem krwiożerczym człowiekiem, ale po zwycięstwie musi nastąpić rozliczenie, bez rozliczenia nie będzie spokoju społecznego” – zmieniał to już kilka tygodni później. „Nie śpijcie spokojnie” – zwracał się do rządzących po kilku kolejnych tygodniach – „rozliczymy każdą waszą aferę aż do najmniejszej” – by w ostatnich dniach deklarować już, że „rozumie te emocje”, które każą mówić: „Zdelegalizujemy PiS, bo to organizacja przestępcza”.

Ta ewolucja Tuska jest zrozumiała: w pierwszej chwili wydawało mu się, że pod wrażeniem triumfalnego powrotu

PiS ma wciąż bezpieczną sondażową przewagę, a tymczasem Giertych „ułaskawia”, jakby już był prokuratorem kierującym „depisyzacją”

„króla Europy” lewicowo-liberalni konkurenci sami mu się podporządkują, więc zwracał się do decydującego o wyborczym sukcesie elektoratu centrowego, umiarkowanego. Szybko zorientował się jednak, że o przywództwo nad antypisem musi powalczyć, więc zmienił retorykę na tę, która trafia do politycznego „betonu”.

WSZYSTKO, CZYM GARDZĄ

A tam, jak już podkreślaliśmy, potrzeba snucia kompensacyjnych wizji wielkiej czystki i odwetu na znienawidzonym PiS jest silna i w miarę, jak kolejne nadzieje na zwycięstwo upadają i narasta frustracja, coraz silniejsza. Stała się ona istotnym, być może najistotniejszym elementem tożsamości byłej elity czy „byłej warstwy wyższej”, uformowanej w pierwszym ćwierćwieczu po Okrągłym Stole. PiS jest dla nich nie tylko partią polityczną, co więcej, nie tylko uosobieniem polskiego katolicyzmu, patriotyzmu, „zaściankowości”, wszystkiego, czego ta warstwa definiująca się jako „ Europejczycy polskiego pochodzenia” nienawidzi, czym gardzi i czego się boi. PiS jest dla nich także siłą, która zaburzyła oczywisty dla nich porządek świata, zaneigowała podstawowe hierarchie, zaprzeczyła „oczywistym oczywistościom”, na których klasa wyższa (czy raczej: aspirująca do bycia wyższą i do 2015 r. w aspiracjach tych przez wszystkich utwierdzana) zbudowała poczucie swojej wyższości.

„W obozie panowie bracia po całych dniach z batów strzelali, mówiąc – ot, czym chamów uspokoiimy, szabli nie dobywając” – opowiadał w powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem” jeden z drugoplanowych bohaterów, relacjonując nastroje wyprawy mającej stłumić kozacką rebelię. Czyż nie pasuje ten opis idealnie do zachowania współczesnych polskich „lemingów”, poza tą historyczną zmianą, że miejsce fizycznego batożenia zajęło w ich myśleniu chłostanie „chamów” medialną propagandą, okazywaniem pogardy, a w końcu, w ostatecznej

frustracji, wulgarnym bluzgiem, kryptonimowanym gwiazdkami?

Sięgam po ten przykład także dlatego, że, jak wiedzą ci, którzy Sienkiewicza czytali, za swe pogardliwe lekceważenie dla „chamów” los srodze pewną ich łatwego poskromienia szlachtę ukarał. Licytowanie się przez lewicowo-liberalną opozycję w odwetowych emocjach prowadzi do zwracania przeciwko sobie coraz liczniejszych grup, które – tak jak podani tu jako przykład sędziowie, którzy przyjęli ślubowanie od Andrzeja Dudy – wcale nie muszą być zwolennikami PiS, ale opozycja, strasząc prześladowaniami, sama ich w tę rolę wypycha. Zauważył to wspomniany już Roman Giertych, skądinąd, wnosząc po jego aktywności w Internecie i pozwach do trybunału w Hadze, zupełnie już z frustracji i bezsilności oszalały, oferując nadzwyczajną amnestię dla tych „funkcjonariuszy PiS-owskiego reżimu”, którzy przejdą na stronę „sił demokratycznych”, by pomagać im w obaleniu władzy czy przynajmniej jej delegitymizacji.

Mniejsza już o to, jak groteskowe jest to zachowanie – PiS wciąż ma bezpieczną sondażową przewagę i nawet gdyby doszło do wyborów i gdyby je przegrał, pozostanie największą partią w Sejmie, ze swoim prezydentem, a tymczasem Giertych „ułaskawia”, jakby już był prokuratorem specjalnym kierującym „depisyzacją”. Istota sprawy to fakt, że tym, co uniemożliwia obozowi lewicowo-liberalnemu powrót do władzy, nie są tacy czy inni „funkcjonariusze reżimu”, tylko zupełnie jawnie okazywany zamiar wywarcia zemsty na wszystkich sympatykach i wyborcach obecnej władzy.

Tutaj działa nie rozum, ale emocje. PiS zaburzył porządek świata i porządek ten musi zostać przywrócony. „Hołota kupiona za pińśet” ma wrócić tam, gdzie była za rządów Kopacz i Komorowskiego, a nie smrodzić elitom smażyną i puszczać głośno Zenka Martyniuka w ich ulubionych kurortach, „mianowańcy PiS” mają zniknąć z zarezerwowanych dla elity posad... Takie jest oczekiwanie „żelaznego elektoratu”, za którym muszą postępować ubiegający się o jego wsparcie zarówno lewicowo-liberalni politycy, jak i media. A robiąc to, skutecznie zniechęcają elektorat umiarkowany i zapobiegają przepływowi do siebie wyborców Zjednoczonej Prawicy. Rojenia o zemście przynoszą więc „wielkomiejskim elitom” subiektywną ulgę w ich frustracjach, ale i obiektywną szkodę.



Kamila Baranowska

PiS obiecał Pawłowi Kukizowi zmianę ordynacji wyborczej. Prace ruszyły, w tym celu w Sejmie powołano nawet specjalny zespół. Jak polską politykę może zmienić nowa ordynacja wyborcza?

Parlamentarny Zespół ds. Zmiany Ordynacji Wyborczej na Ordynację Mieszaną rozpoczął prace w połowie października ubiegłego roku. Czyli mniej więcej dwa miesiące po tym, gdy z rządu odszedł Jarosław Gowin z kilkoma posłami, a PiS rozpaczliwie szukał poparcia, by zachować większość. Wtedy miał się dogadać z Pawłem Kukizem, a jednym z warunków tego nieformalnego sojuszu była obietnica spełnienia części postulatów zgłaszanych od dawna przez Kukiz'15. I tak w połowie września PiS pomógł uchwalić ważną dla Kukiza ustawę antykorupcyjną, a miesiąc później powołano w Sejmie zespół w sprawie zmiany ordynacji wyborczej na mieszaną.

Kukizowcy zamierzają wykorzystać sytuację i przygotować nowe przepisy jak najszybciej, by móc położyć konkrety na stole i prowadzić dalsze negocjacje z PiS już w oparciu o gotowy projekt.

– Sytuacją idealną byłoby, gdyby udało nam się przygotować projekt i uchwalić ustawę jeszcze w tej kadencji, ale tak, by zaczęła obowiązywać nie od najbliższych, lecz następnych wyborów w 2027 r. – deklaruje w rozmowie z „Do Rzeczy” Jarosław Sachajko, poseł Kukiz'15 i przewodniczący zespołu pracującego nad nową ordynacją wyborczą.

Zespół spotkał się już kilkakrotnie. Były spotkania z ekspertami i prezentacje możliwych wariantów i modeli wyborczych, które mogłyby zostać przeniesione na polski grunt. Jeszcze w tym półroczu zespół chce zorganizować konferencję naukową, a potem skupić się na pisaniu projektu. Wiadomo już mniej więcej, w jakim kierunku będą prowadzone prace.

Podstawą ma być mieszany system wyborczy na wzór niemiecki, ale odpowiednio dostosowany do polskich warunków – z jednym oddanym głosem,



Jednym z warunków nieformalnego sojuszu Pawła Kukiza (z lewej) była obietnica spełnienia części postulatów zgłaszanych od dawna przez Kukiz'15

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

Nowe zasady gry?

a nie dwoma (na wzór systemu niemieckiego, ale w wersji badeńskiej) i bez nadliczbowych mandatów, czyli ze stałą liczbą posłów (w tym kierunku z kolei zmodyfikowano ten system np. w Boliwii). Chodzi o to, by dokonać rewolucji, wprowadzić jednomandatowe okręgi wyborcze, ale jednocześnie zachować elementy obecnego systemu proporcjonalnego. To ma sprawić, że szok związany ze zmianami nie będzie tak duży, a i opór części środowisk politycznych będzie mniejszy.

POŁOWICZNA REWOLUCJA

Model niemiecki, który ma być podstawą nowych przepisów, jest najdłużej funkcjonującym na świecie systemem mieszanym. Wyborca oddaje tu dwa głosy: osobno głosuje na zamkniętą listę partyjną, zgłoszoną w danym landzie, i osobno na kandydatów w jednomandatowych okręgach wyborczych. Połowa deputowanych jest więc wybierana w systemie proporcjonalnym, a połowa

w systemie większościowym. Ten system byłby trudny do przełożenia wprost na warunki polskie choćby przez komplikacje związane z oddawaniem aż dwóch głosów oraz ryzyko pojawienia się nadliczbowych mandatów, co w polskich warunkach stałoby w sprzeczności z konstytucją. Dlatego eksperci, w tym m.in. socjolog prof. Jarosław Flis, który prezentował już swoje propozycje na posiedzeniach zespołu, proponują, by elementy modelu niemieckiego połączyć z elementami systemu, który od lat funkcjonuje w Polsce.

BĘDZIE MNIEJ TOKSYCZNIE

W tym modelu, określanym jako „ordynacja proporcjonalno-lokalna”, każdy wyborca ma wciąż jeden głos. Oddając go na danego kandydata, oddaje go jednocześnie na partię, co oznacza, że wynik partii jest sumą głosów uzyskanych przez wszystkich kandydatów. Taki sam pozostaje także sposób przeliczania głosów na mandaty, nadal odbywałoby

się to znana z obecnej ordynacji metoda d'Hondta. Nowością byłoby podzielenie obecnych 41 okręgów na 230 podokręgów. W każdym takim podokręgu komitet wyborczy mógłby wystawić tylko jednego kandydata, a nie – jak dziś – kilkunastu. Przykładowo: jeśli w wyborach startuje sześć zarejestrowanych komitetów, to dostajemy listę sześciu kandydatów, po jednym z każdego komitetu, a nie – jak dziś – sześć list z kilkunastoma kandydatami na każdej z nich. – Te zmiany pozwoliłyby wyczyścić to, co jest najbardziej toksyczne w obecnym systemie, czyli rywalizację kandydatów w ramach jednej listy, a także zapęlić białe plamy na mapie, bo w tym systemie każdy okręg będzie miał swojego posła – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Jarosław Flis.

– Nie będzie już tak, że wielu kandydatów biegnie tym samym torem i łokciami musi spytać swoich kolegów z listy. Tutaj każdy biegnie swoim torem i ściga się z rywalami z innych partii, jednocześnie grając na lepszy wynik całej swojej partii. To nieco cywilizuje wewnętrzne relacje w partiach – wyjaśnia prof. Flis. I zapewne wyeliminuje przy okazji zjawisko „spadochroniarzy”, czyli polityków zsyłanych na listy z dala od swojego miejsca zamieszkania, niemających nic wspólnego z danym regionem. Profesor Flis zastrzega jednak, że dużo będzie zależało od szczegółowych zapisów ostatecznego projektu ustawy. – Nawet w najlepiej pomyślanym systemie można śrubki podokręcać tak, że efekt będzie odwrotny do zamierzonego, a przecież nie o to chodzi. Rzecz w tym, by uczynić nasz system wyborczy mniej toksycznym, niż jest w tej chwili – mówi „Do Rzeczy”.

– Najważniejsze, by rozpocząć dyskusję o potrzebie, a właściwie konieczności zmiany naszego systemu wyborczego i uświadomić ludziom, że ponad 70 proc. demokratycznych społeczeństw głosuje w systemie mniej lub bardziej nawiązującym do jednomandatowych okręgów wyborczych – podkreśla Jarosław Sachajko z Kukiz'15. On i jego środowisko polityczne od samego początku postulują wprowadzenie JOW-ów. To w nich Paweł Kukiz widział receptę na odpartyjnienie polskiej sceny politycznej i wprowadzenie do polityki nowych ludzi, niekoniecznie związanych z istniejącymi partiami. Dziś Kukiz nieco zmodyfikował swoje podejście do JOW i zaczął szukać innych rozwiązań. W „Rzeczpospolitej” mówił

niedawno, że jest „ogromnym zwolennikiem systemu STV”, funkcjonującego m.in. w Irlandii, na Malcie, w Australii i Estonii.

STV (z angielskiego Single Transferable Vote), znany też pod nazwą Pojedynczy Głos Przechodni, to system opierający się na głosowaniu preferencyjnym. Głosując, nie zaznaczamy na liście jednego kandydata, lecz porządkujemy wszystkie nazwiska od, w naszej ocenie, najlepszego do najgorszego. Temu systemowi poświęcono nawet osobne posiedzenie zespołu pracującego nad zmianami w ordynacji, szybko okazało się jednak, że w warunkach polskich generowałby on więcej problemów, niż niósłby korzyści.

– Na ten moment najbardziej rozsądnym i realnym do wprowadzenia systemem jest ten zaprezentowany przez prof. Jarosława Flisa. Oczywiście diabeł tkwi w szczegółach i będziemy musieli jeszcze sporo rzeczy omówić i dopracować, więc na rozmowę o konkretnych zapisach przyjdzie jeszcze czas – wyjaśnia poseł Sachajko.

CO NA TO KONSTYTUCJA?

Przy okazji omawiania zmian w ordynacji powraca wątek zapisów konstytucyjnych. Artykuł 96 mówi wprost, że wybory do Sejmu są „powszechne, równe, bezpośrednie i proporcjonalne oraz odbywają się w głosowaniu tajnym”. Nowy system musi więc przynajmniej w części pozostać proporcjonalny, bo o zmianach w konstytucji przy obecnych podziałach politycznych raczej nie ma mowy. Wśród ekspertów zajmujących się kwestią zmiany ordynacji dominuje przekonanie, że w przypadku ordynacji mieszanej kwestia konstytucyjności nie powinna być problemem. Politolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prof. Bartłomiej Michalak, z którego opinii korzysta zespół, pisze w jednej z ekspertyz, że „dla oceny, czy wybory są czy nie są proporcjonalne, rozstrzygający jest skutek, a nie narzędzie, jakie w tym celu zastosowano”, i wyciąga z tego wniosek, że mieszane systemy proporcjonalne prowadzą w efekcie do podziałów bardzo proporcjonalnych mimo funkcjonowania jednomandatowych okręgów wyborczych.

Konstytucyjność zmian to jedno, druga kwestia, która może zniweczyć starania wprowadzenia nowej ordynacji wyborczej, to interes polityczny tych,

którzy są beneficjentami obecnego systemu proporcjonalnego. Innymi słowy: Dlaczego PiS miałby się zgadzać na zmianę ordynacji wyborczej, która zapewni mu zwycięstwo? – Zmianą ordynacji najczęściej najmniej zainteresowani są ci, którzy mogliby ją wprowadzić, bo dysponują odpowiednią większością – przyznaje prof. Flis.

Do tego dochodzą obawy, że jeśli już rządząca obecnie większość zaczyna majstrować przy ordynacji, to zwykle po to, by umocnić swoją przewagę. Z tego powodu Platforma Obywatelska nie chciała brać udziału w pracach nad nowymi przepisami.

Opozycja chętnie też przypomina, że PiS może chcieć pójść drogą Orbána, któremu zarzucano, że zmiany w ordynacji wyborczej przeprowadzał pod siebie i swoją partię. Zwłaszcza ostro krytykowane były zmiany z 2014 r., dotyczące zmiany granic okręgów wyborczych. Podobnych zarzutów twórca nowej ordynacji chciałby uniknąć. – Wszystko będziemy robić przy otwartych drzwiach i przed kamerami, a nie w zaciszu gabinetów właśnie po to, by cały proces był transparentny i by nikt nie miał poczucia, że nowe prawo wyborcze jest skrojone pod jakąkolwiek partię. Dlatego też ciągle podkreślam, że dla pokazania czystości intencji powinno ono obowiązywać nie od najbliższych, lecz dopiero kolejnych wyborów – mówi poseł Sachajko.

Z kolei prof. Jarosław Flis uspokaja, że jego dotychczasowe symulacje i wyliczenia pokazują, że przesunięcia w wynikach wyborczych przy zastosowaniu nowej ordynacji wyborczej byłyby niewielkie. – Przeliczyłem wyniki wszystkich wyborów od 2005 r. i gdybyśmy poruszali się w obecnych okręgach, to nie byłoby większych przesunięć niż o jeden mandat. To byłyby niewielkie różnice – mówi. Politycy mogą mieć jednak wątpliwości, czy da się to w tak prosty sposób przełożyć, bo inny system wyborczy może generować także inne zachowania wyborcze i inną polityczną rzeczywistość w momencie wyborów.

– Myślę, że warto podjąć ryzyko, bo gorzej niż obecnie nie będzie. Teraz mamy ordynację wodzowską, gdy poseł jest de facto wybierany przed wyborami, bo decyduje o tym miejsce, które dostał na liście, a nie jego praca na rzecz wyborców czy regionu, z którego się wywodzi. To trzeba będzie w końcu zmienić – podkreśla.



FOT. BETA Z WIZJEL/REPORTER

Ambasador na trudne czasy?



Jacek Przybylski

Kilkadziesiąt lat po tym, jak jego dziadek Tadeusz Brzeziński zdołał opuścić Polskę tuż przed inwazją Adolfa Hitlera, syn Zbiga Brzezińskiego – słynnego doradcy prezydenta Cartera – powraca do Warszawy jako ambasador wciąż najpotężniejszego mocarstwa świata. Czy Mark Brzezinski pomoże obronić Polskę przed Putinem?

Nominacja Marka Brzezinskiego na ambasadora w Warszawie to z pewnością dobra zmiana. To bowiem zawodowy dyplomata, który bardzo dobrze rozumie region Europy Środkowo-Wschodniej. Zna też najważniejsze zagrożenia i jako specjalista

ds. Rosji rozumie także nasze największe lęki. To również człowiek, któremu od małego wpajano miłość do Polski właśnie. Po polsku mówi więc biegle. Zna też dobrze nasze osiągnięcia, w tym naszą konstytucję, ponieważ jako stypendysta Fullbrighta pisał pracę właśnie o niej.

Walce o konstytucjonalizm w Polsce poświęcił również swą rozprawę doktorską na Uniwersytecie Oksfordzkim. Książka ta przez „Legal Times” została uznana „za niezbędną pozycję na półce z książkami każdego zainteresowanego globalnymi zmianami politycznymi we współczesnym świecie”. Za działalność na rzecz Polski Mark Brzezinski został w 2009 r. odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

RÓD DYPLOMATÓW

Nowy ambasador USA w Warszawie wychowywał się nie tylko w rodzinie z polskimi korzeniami, lecz także od małego miał do czynienia z polskimi patriotami. Ważną rolę w jego wychowaniu odegrał były dyrektor Radia Wolna Europa Jan Nowak-Jeziorański. „Kurier z Warszawy będzie dla mnie bardzo ważnym punktem odniesienia, podczas mojej misji dla prezydenta Bidena w Warszawie” – napisał niedawno na Twitterze Mark Brzezinski.

Podczas przesłuchania na forum amerykańskiego Senatu, jeszcze jako kandydat na ambasadora, podkreślał zaś, że w jego rodzinie słowa „Niech żyje Polska” i „Jeszcze Polska nie zginęła” coś znaczyły. – To wspólne wartości i gotowość do ich obrony – podkreślał Mark Brzezinski, syn słynnego Zbiga, stratega, dyplomaty, socjologa, politologa i doradcy amerykańskich prezydentów. Dyplomata był również dziadek nowego ambasadora USA. Tadeusz Brzeziński był ochotnikiem 2. Pułku Strzelców Lwowskich. Walczył w wojnie polsko-ukraińskiej. Brał też udział w Bitwie Warszawskiej 1920 r. A gdy został zdemobilizowany, rozpoczął pracę w polskich placówkach dyplomatycznych w Essen, Lille, Lipsku i Charkowie. To dzięki niemu jeszcze przed drugą wojną światową do Polski trafiły z Niemiec zbiory rękopisów Fryderyka Chopina. Rok przed niemiecką inwazją na Polskę Tadeusz Brzeziński został wraz z rodziną wysłany jako konsul do Montrealu, gdzie pozostał do śmierci, działając m.in. w Kongresie Polonii Kanadyjskiej i organizując kampanie pomocy dla rodaków – zebrane dary przekazano Polakom m.in. za pośrednictwem kard. Stefana Wyszyńskiego – a także dbając o skarby wawelskie, które uratowane w pierwszych dniach wojny trafiły do Kanady.

Z kolei Mark Brzezinski – z wykształcenia prawnik – w ciągu ostatnich dwóch dekad był również wysokiej rangi urzęd-

nikiem w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego przy prezydencie Billu Clintonie. Specjalizował się nie tylko w Rosji, lecz także w zagmatwanych problemach kotła bałkańskiego. W 2009 r. był również bardzo poważnie rozważany jako kandydat na amerykańskiego ambasadora w Warszawie. Ostatecznie jednak administracja Baracka Obamy zdecydowała o wysłaniu 43-letniego wówczas Marka Brzezinskiego na ambasadora Stanów Zjednoczonych do Sztokholmu. Ustupującego Victora H. Ashe'a zastąpił zaś 50-letni Lee A. Feinstein.

WIELE WSPÓLNYCH INTERESÓW

Amerykański Senat zatwierdził tę nominację przez aklamację w połowie grudnia ubiegłego roku.

Przyjazd Marka Brzezinskiego – który do Warszawy przybył 21 stycznia – kończy okres ponadrocznego bezkrólewia w amerykańskiej ambasadzie w Warszawie. George Mosbacher zakończyła swoją misję 20 stycznia 2021 r., w dniu inauguracji Joe Bidena jako prezydenta USA. Charge d'affaires Bix Aliu, który od tego czasu zarządzał placówką, miał tendencję do zapomniania, że jest reprezentantem sojuszniczego mocarstwa w niepodległym kraju, a nie miłościwie panującym namiestnikiem we wschodnioeuropejskiej kolonii USA z misją krzewienia lewicowej religii. Jest więc spora szansa na to, że w stosunkach polsko-amerykańskich mniej będzie górnolotnego pouczenia i że jako zawodowy dyplomata Mark Brzezinski będzie zwracał uwagę na te punkty, w których interesy Polski i Stanów Zjednoczonych są zbieżne. Jeszcze przed zatwierdzeniem jego kandydatury przez Senat zapowiadał podjęcie działań na rzecz umacniania relacji obronnych Polski z USA i nie jest wcale wykluczone, że zapowiedź Waszyngtonu dotycząca przesłania do Europy Środkowo-Wschodniej 8,5 tys. żołnierzy do wzmocnienia Sił Odpowiedzi NATO to właśnie rezultat jego starań. Realizacja tych planów byłaby szczególnie istotna. Do tej pory trzymano się bowiem zasady, że aby nie drażnić rosyjskiego niedźwiedzia, w Europie Środkowo-Wschodniej nie będzie „znaczących sił” NATO, przez co rozumiano mniej więcej dwie brygady, czyli 10 tys. żołnierzy. Dodanie 8,5 tys. do ponad 5 tys. już stacjonujących w Polsce byłoby więc symbolicznym przekroczeniem progu „znaczących sił” i uznaniem wreszcie, że skoro Rosja co kilka lat dokonuje kolej-

nych agresji na sąsiadów, to trzymanie się starych zapisów Rady Rosja-NATO nie ma już większego sensu.

Mark Brzezinski konsekwentnie wyraża też swój sprzeciw wobec rosyjsko-niemieckiego projektu Nord Stream 2, zresztą robił to jeszcze jako amerykański ambasador w Szwecji w 2011 r.

Amerykańskiej placówce pod wodzą nowego ambasadora zależeć ma również na pogłębianiu więzi gospodarczych z Polską i krajami regionu. Kryje się za tym zarówno rozwój inicjatywy Trójmorza, która cieszy się za oceanem poparciem zarówno republikanów, w tym byłego prezydenta Donalda Trumpa, jak i obecnie rządzących demokratów. Takie ponadpartyjne poparcie w czasach wyjątkowo ostrej rywalizacji między amerykańskimi liberałami a konserwatystami to naprawdę rzadkość. Amerykanom podoba się jednak m.in. to, że inicjatywa Trójmorza może stanowić atrakcyjną konkurencję dla chińskiej inicjatywy współpracy Pekinu z państwami Europy Środkowej (17 + 1). O zainteresowaniu Trójmorzem świadczy również niedawny tekst napisany przez Frieda Mosbacher oraz Iana Brzezinskiego – starszego brata nowego ambasadora USA w Warszawie. Amerykanie będą też chcieli utrudnić Chińczykom możliwość budowy infrastruktury 5G w Polsce.

Mark Brzezinski z pewnością dobrze rozumie też zagrożenie dotyczące bezpieczeństwa energetycznego Polski. USA będą się więc zapewne starały zwiększać eksport gazu LNG do Polski. Amerykanie są także zainteresowani kontraktem na budowę w Polsce elektrowni atomowej, a także inwestycjami z zakresu zielonej energetyki.

RODZINA „GAZETY WYBORCZEJ”?

Oczywiście nie będzie zawsze wyłącznie różowo, bo jest on również reprezentantem wyjątkowo liberalnej administracji Joe Bidena, tymczasem Zjednoczona Prawica to przedstawiciele zniechęconego przez wielu członków zachodnich lewicowych elit rządu konserwatywnego. – Będę nadal podkreślał w kontaktach z polskimi władzami wagę bezstronnego sądownictwa, niezależnych mediów i poszanowania praw człowieka dla wszystkich, w tym osób LGBTQI+ i członków innych mniejszości – podkreślał Mark Brzezinski przepytany w grudniu przez amerykańskich senatorów.

Przedstawiciele opozycyjnych partii oraz mediów wiążą więc z jego przyby-

ciem ogromne nadzieje. Jego siostra Mika – współprowadząca poranny talk-show „Morning Joe” w lewicowej telewizji MSNBC – w wywiadzie udzielonym Dorocie Wysockiej-Schnepf zauważyła, że nowy ambasador w Polsce codziennie czyta „GW”. Wysocka-Schnepf przypomniała zaś, że Zbigniew Brzeziński przyjaźnił się z Adamem Michnikiem i czytywał „Gazetę Wyborczą”, po czym spytała, czy można zatem założyć, że rodzina Brzezińskich i „GW” to jedna i ta sama rodzina. „Wszyscy tak uważamy!” – odparła Mika Brzezinska, dodając, że zamierza poprowadzić swój program „Morning Joe” ze stacji TVN, co ma być „rodzajem symbolicznego wsparcia dla tej stacji”.

I choć nie było to stanowisko ambasady, to niezależnie od tego, kto byłby nowym ambasadorem, z pewnością wspierałyby interesy amerykańskich firm. Źródłem konfliktów teoretycznie mogą być nachalne promowanie LGBTQI+ oraz wszelkie próby nacisków na demokratycznie wybrany polski rząd. Mark Brzezinski to jednak o wiele bardziej umiarkowany dyplomata niż Bix Aliu, jest więc szansa na to, że będzie realizował zadania stawiane mu przez Białą Dom, jednocześnie szanując suwerenność goszczącego go kraju i nie zrażając do siebie Polaków.

Politycy z prawej strony polskiej sceny politycznej są więc ostrożni w słowach. – Mam nadzieję, że będzie dobra współpraca z panem ambasadorem. Pochodzi z polskiej rodziny; ja osobiście liczę na propolską wrażliwość pana ambasadora – tak informacje o wyborze Marka Brzezinskiego na szefa misji dyplomatycznej USA w Polsce komentował wicepremier, minister kultury Piotr Gliński. Pozostali politycy PiS w oficjalnych wypowiedziach również liczą po prostu na „dobrą współpracę”.

Na szczęście rozwojowi strategicznych relacji służyć może również objęcie pod koniec ubiegłego roku placówki w Waszyngtonie przez niezwykle zdolnego dyplomata Marka Magierowskiego.

Obaj dyplomaci dobrze wiedzą o tym, że Polska jest państwem frontowym, które potrzebuje silnego sojusznika, ale które jest jednocześnie na tyle duże i gospodarczo atrakcyjne, że warto mieć Polskę po swojej stronie w czasach, gdy w wielu państwach miłość do Ameryki nie jest już tak żywa jak przed laty i gdy Chiny nie ustają w promocji nowego jedwabnego szlaku.



Witold Repetowicz

„Raport o europejskiej islamofobii” to doroczny paszkwil wydawany przez austriacką instytucję wyduszkę, będącą de facto ekspozyturą tureckiego reżimu. Erdoğan wielokrotnie wykorzystywał rzekomą islamofobię do wywierania nacisku na Europę. Tegoroczny rozdział dotyczący Polski, napisany przez Karola i Annę Wilczyńskich z proimigranckiej organizacji Salam Lab, jest wyjątkowo kuriozalny

Jednym z podanych przez Wilczyńskich przykładów islamofobii w mediach jest mój artykuł „Nowy atak demograficzny na Europę” napisany dla jednego z portali w marcu 2020 r. Problem w tym, że w tekście tym ani razu nie padają słowa „muzułmanie” czy „islam”. Za to kilkanaście razy mowa jest o Turcji. Dotyczy on bowiem ataku przy użyciu migrantów, który Turcja przypuściła na Grecję w lutym 2020 r. Półtora roku później to samo modus operandi zastosował Alaksandr Łukaszenka w stosunku do Polski. Wilczyńscy, próbując narzucić cenzurę, przerzucają winę za zbrodnicze zjawisko ze zbrodniarza na ujawniającego zbrodnię. Trudno się dziwić, skoro tym zbrodniarzem jest ich zleceniodawca.

Można oczywiście to zlekceważyć, bo wpływ tego raportu na rzeczywistość w Polsce jest w tej chwili żaden. Niestety, kropla draży skałę, a jeśli spojrzymy na to, jak skutecznie oskarżenia o islamofobię (połączone zwykle z zarzutami rasizmu) zamykają usta w innych krajach Europy, to lepiej dmuchać na zimne. Przedstawiciele Turcji wielokrotnie domagali się zresztą, również na forum ONZ, by islamofobię uznać za zbrodnię przeciw ludzkości.

WIELE MANIPULACJI

Turcja nie tylko wielokrotnie sama wykorzystywała broń demograficzną przeciwko Europie, w szczególności Gre-

Raport uznaje za „ograniczanie praktyk muzułmańskich” m.in. zakaz chodzenia w burce. Dla afgańskich kobiet walczących o swoje prawa jest to symbol kulturowej opresji, a nie ich religii

FOT. ADOBE STOCK



Promigracyjni tropiciele islamofobii w służbie Erdoğan

cji, lecz także odegrała istotną rolę w ataku dokonanym na nas przez Łukaszenkę. To bowiem w dużej mierze samoloty Turkish Airlines zwoziły migrantów do Mińska, a w samej Turcji bez problemu działały mafie oferujące te „wycieczki”. Tymczasem Wilczyńscy oraz Salam Lab (będące również częścią Grupy Granica) od samego początku tego ataku uprawiały propagandę uderzającą w Polskę i jej instytucje, m.in. już w sierpniu wyzywając, by „nie ufać Straży Granicznej”, a następnie używając obelżywej narracji kojarzącej się z czasami okupacji, tj. nazywając działania polskich funkcjonariuszy broniących granicy „łapankami” czy „wywózkami”. Nie dziwi zatem to, że Wilczyńscy postanowili napiętnować wszelką krytykę instrumentalnego wykorzystywania migrantów jako broni, za-

rzucając, że jest to islamofobia, a zatem, według ich zleceniodawców z Ankar, zbrodnia przeciw ludzkości.

Obrona interesów reżimu Erdoğan przez Wilczyńskich nie sprowadza się wyłącznie do takiej prymitywnej próby dyskredytacji pojęcia ataku demograficznego. Na ich liście „islamofobów” znalazł się też Petar Petrović za artykuł dla portalu TVP Info z listopada 2020 r. o atakach islamistów we Francji i w Austrii. Wilczyńscy oparli swój zarzut na słowach: „Dlatego islam jest ciągle poważnym zagrożeniem”. Tyle że Wilczyńscy je zmyślili, a autor napisał coś wręcz przeciwnego, tj. „nie oznacza to oskarżenia wszystkich muzułmanów”. Ale w artykule jest za to krytyka Turcji, m.in. za jej ataki na władze Francji w związku z delegalizacją tureckiej organizacji terrorystycznej Szare Wilki.

Innym przykładem jest podanie przez Wilczyńskich jako dowodu na islamofobię w Polsce krytyki decyzji Erdoğan'a o przekształceniu kościoła Mądrości Bożej (Hagia Sophia) w Stambule w meczet.

Jan Wójcik z portalu Euroislam w swej analizie raportu Wilczyńskich wskazuje znacznie więcej przykładów takich kłamstw i manipulacji. Na przykład Michał Rachoń trafił na ich listę za rzekome stwierdzenie, że witanie imigrantów kończy się muzułmańskimi atakami i zamieszkami. Abstrahując od tego, że nie ma nic zbrodniczego w takich słowach, to w przywołanym przez Wilczyńskich nagraniu one po prostu nie padają. Rachoń mówi tam za to o negatywnych konsekwencjach traktowania masowej migracji jako źródła taniej siły roboczej. Kolejnym islamofobem jest, według Wilczyńskich, Sławomir Jastrzębowski za słowa „widzę zagrożenie przez islam”. Tyle że autorzy wyrwali je z kontekstu, którym była ironiczna polemika z dokonaniem przez Marka Migalskiego porównaniem odcięcia głowy francuskiemu nauczycielowi Samuelowi Paty'emu przez muzułmańskiego ekstremistę do zapisu w polskim prawie o karze dwóch lat więzienia za obrazę uczuć religijnych. Islamofobką jest też Dominika Cosić za to, że komentując mord na Patym, uznała, iż laickość Francji odnosi się tylko do chrześcijan, a „muzułmanie korzystając ze swej rosnącej siły, narzucają swoje zasady”.

Wilczyńscy oskarżyli o islamofobię również wielu polityków, przy czym – jak pokazuje Wójcik – zarzuty te są znów kuriozalne. Joachim Brudziński trafił na ich czarną listę za stwierdzenie, że zamachowiec z Nicei przybył do Europy przez Lampedusę jako uchodźca miesiąc przed atakiem, a Robert Winnicki za przestrzeganie, by nie iść „błędną drogą multikulturalizmu i masowej migracji”. Okazuje się jednak, że islamofobami są też politycy PO, np. Krzysztof Brejza, bo zasugerował, że działania PiS wobec kobiet jakoby przypominają ich sytuację w niektórych państwach islamskich. Zważywszy na to, że Karol Wilczyński jest blisko związany z Szymonem Hołownią (prowadził m.in. jego fanpage na Facebooku), ten ostatni przykład może być elementem brudnej rywalizacji między dwoma głównymi partiami opozycyjnymi.

FARBOWANI SPECJALIŚCI

Wilczyńscy, udając specjalistów od islamu, sugerują, że weryfikują mity i ste-

reotypy dotyczące tej religii. Tak naprawdę ich „wiedza” budzi jednak głębokie wątpliwości, skoro już we wstępie do polskiego rozdziału tego raportu wykazują się ignorancją, myląc nazwę jednej z głównych organizacji muzułmańskich w Polsce, tj. nazywając Muzułmański Związek Religijny w RP „Związkiem Muzułmanów Polskich”. Znacznie istotniejsze jest jednak to, że jakkolwiek krytykę prawa szariatu również uznają za islamofobię, czym pokazują, że albo nie wiedzą, czym w istocie jest szariat, albo stają w jednym szeregu z ekstremistami. Tymczasem niemiecki politolog, pochodzący z Syrii i promujący islamski reformizm (tzw. Euroislam) prof. Bassam Tibi, uważa, że warunkiem integracji muzułmanów w Europie jest wyrzeczenie się przez nich szariatu, który uznaje za całkowicie niekompatybilny z niemieckim prawem.

„Raport o europejskiej islamofobii” promuje jednak zupełnie inne podejście i już na wstępie uznaje za „ograniczanie praktyk muzułmańskich” m.in. zakaz chodzenia w burce. Tyle że pochodzący z krajów muzułmańskich obrońcy praw człowieka oraz tamtejsze kobiece aktywistki wielokrotnie wskazywali, że noszenie takich strojów jak burka nie wynika z nakazu religijnego, lecz jest uwarunkowane kulturowo. Burka to wielki worek narzucony na kobietę, której pozostawiono jedynie możliwość widzenia przez gęstą kratkę na twarzy. To strój charakterystyczny dla niektórych rejonów Afganistanu i narzucany przez talibów w czasie pierwszego okresu ich rządów. Dla afgańskich kobiet walczących o swoje prawa jest to symbol kulturowej opresji, a nie ich religii.

Takie podejście autorów „Raportu o europejskiej islamofobii” nie jest jednak zaskakujące, zważywszy na ich bliskie związki z tureckim reżimem oraz Bractwem Muzułmańskim, organizacją nielegalną w wielu krajach muzułmańskich ze względu na promowanie ekstremizmu. Cały raport firmują bowiem dwaj „austriaccy badacze”, tj. Farid Hafez i Enes Bayrakli, a wydawcą jest rzekomo „Instytut Leopolda Weiss’a”. Problem w tym, że jest to wydawnictwo tureckiej fundacji SETA, której współzałożycielem jest Ibrahim Kalin, obecny rzecznik prasowy Erdoğan'a. Zadaniem SETA było od początku wspieranie polityki tureckiego reżimu. Krytyka tej instytucji, która miała

miejsce przy okazji poprzednich edycji raportu, doprowadziła do próby zatarcia śladów powiązań między autorami a reżimem Erdoğan'a. Z raportu zniknęło zatem logo SETA, a w Internecie usunięto niektóre informacje o autorach.

RAPORT I PIENIĄDZE

Zrobiono to również po to, by utrzymać spore dofinansowanie raportu przez Komisję Europejską (w 2018 r. wynosiło ono 126 tys. euro), wielokrotnie krytykowane przez eurodeputowanych z różnych frakcji. W 2019 r. eurodeputowani Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w zadanym KE pytaniu zwrócili uwagę na to, że wpisywanie dziennikarzy na „czarną listę islamofobów” przez SETA naraża ich na niebezpieczeństwo. KE w odpowiedzi nie ustosunkowała się do tego wątku, ale przyznała, że raport jest projektem realizowanym w ramach programu o nazwie „Dialog Społeczeństw Obywatelskich”, który w ramach wsparcia przedakcesyjnego Turcji powierzono tureckiemu MSZ. Jest to samo w sobie kuriozalne, zważywszy na to, że tureckie „społeczeństwo obywatelskie” dawno trafiło w tym kraju za kratki, a akcesja Turcji do UE, zwłaszcza pod rządami Erdoğan'a, jest totalną fikcją.

Poszukiwania strony internetowej „Instytutu Weiss’a” prowadzą natomiast prosto na stronę... fundacji SETA, gdzie oczywiście na pierwszym planie reklamowany jest raport o europejskiej islamofobii. Jak na zawołanie cytuje go również chór reżimowych mediów tureckich, wykorzystując go do tworzenia obrazu Europy jako wroga islamu, w którym szaleją prześladowania wyznawców Allaha. Finansowanie „Raportu o europejskiej islamofobii” zostało też potępione w rezolucji Parlamentu Europejskiego w kwietniu 2021 r. Uznano tam, że Farid Hafez jest powiązany z Bractwem Muzułmańskim i tureckim rządem, który pod pretekstem „zwalczania islamofobii” usiłuje „uciszyć niezależnych dziennikarzy i wolność mediów”. Enes Bayrakli jest natomiast nie tylko jednym z dyrektorów SETA, lecz także jest ściśle związany z tureckim rządowym Instytutem Yunusa Emre, będącym jednym z głównych narzędzi soft power tureckiego reżimu. Wilczyńskim najwyraźniej to nie przeszkadza. W końcu pecunia non olet. Warto jeszcze zadać pytanie, czy to samo dotyczy ich aktywności na polsko-białoruskiej granicy.



Krzysztof Masłoń

Był wybitnym krytykiem, autorem świetnych szkiców o twórczości Bolesława Leśmiana i Cypriana Norwida, także poetą i tłumaczem. A w swoim bogatym dorobku literackim miał też zmarły 23 stycznia prof. Jacek Trznadel pozycję zgoła wyjątkową. Była nią „Hańba domowa” – jedna z najważniejszych książek schyłkowej epoki komunizmu

Odwaga profesora Trznadla

FOT. JAKUB AN STACIOWICZ / FORUM

Wydanych w 1986 r. 13 rozmowach z pisarzami (w późniejszych edycjach dołączył do nich jeszcze dwa wywiady – z Marią Janion i Arturem Międzyrzeckim) przeprowadził uczciwy rozrachunek ze stalinowską przeszłością literatury polskiej i... literatów polskich, a pomieszczona w „Hańbie...” rozmowa ze Zbigniewem Herbertem w historii naszej kultury znalazła już poczesne miejsce.

Ta rzecz o próbie zniewolenia literatury polskiej na przełomie lat 40. i 50. zyskiwała – co dostrzegł z emigracyjnej perspektywy Tadeusz Nowakowski – właściwe proporcje moralne dzięki wspomnieniom autora zawartym w obszernym eseju „otwierającym tę podróż do piekiel”. Pisał w nim: „Ja także byłem w OMTUR, potem w ZMP, zdarzało mi się założenie czerwonego krawata do zielonej koszuli, potem byłem członkiem PZPR. W moim pokoju także wisił, może rok, portret Stalina. Pamiętam, że w owym czasie na początku lat pięćdziesiątych istniał wśród niektórych osób pewien snobizm. Mieć zwykły portret Stalina to banalne, należało mieć stylizowany z fajką. Nie postarałem się o taki portret”.

Z młodzieńczej choroby lewicowości wyleczył się Jacek Trznadel w wieku dojrzałym, za to definitywnie. Przetrwał fascynację komunizmem, po której pozostało mu wyczulenie na przejawy lewicowych aberracji. Niewykluczone, że wpływ na to wywarły również wydarzenia 1968 r., ale na Zachodzie, gdyż był świadkiem ówczesnej rewolty studenckiej we Francji, gdzie pracował na uniwersytetach

w Nanterre i Paryżu. Wspominał potem rozmowę z jednym z uczestników tamtego buntu:

„– Ale w końcu, o co wam chodzi?
– O socjalizm i o wolność, tak jak w krajach Europy Wschodniej.
– Wolność? W zasadzie przecież już ją macie!
– Na pewno nie, policja zabiera nam ulotki!
– Ale – przerywam mu – w Warszawie (a było to po wypadkach marcowych 1968 r.) policja zabiera ulotki i na dodatek wrzuca studentów do więzienia!
– I powinno tak być – jego głos stał się twardy. – W socjalizmie trzeba dyscypliny! Odszedłem. Rozmowa z młodym trockistą, adeptem karności totalitarnej, była skończona”.

ANTYKOMUNISTYCZNY SAVONAROLA

Wskazywał na przykłady zarówno swobodnego urzucenia ideologią komunistyczną, jak i ugięcia się przed nią. „W swoim czasie – przypominał w 2002 r. na łamach »Gazety Polskiej« – napisałem, że ta »urzekająca« oferta związana była nieodłącznie z pragmatyką jej urzeczywistnienia. Ideologia ta mogła urzekać, ale tylko za cenę fałszu zakrywającego miliony trupów, ofiar komunizmu, albo za cenę totalitarnego przyjęcia tej ceny. [...] W Polsce komunizm został ustanowiony zbrodnią, tępieniem elit kulturotwórczych, które na komunizm nie poszły, fizycznym unicestwieniem dziesiątków tysięcy, masowymi deportacjami elit akowskich i patriotycznych. Zniszczono w PRL-u wszelkie wolne słowo, spowodowano

wano zapaść kulturową, z której do dziś nie jesteśmy w stanie się podnieść”.

To za sprawą Jacka Trznadla karierę zrobił, niezależnie od samej książki, wielokrotnie wznawianej i mającej tłumaczenia na obce języki, jej tytuł. Słowo „hańba”, zapomniane, wydobyte przez niego ze słownikowej czeluści, a z przymiotnikiem „domowa” będące cytatem z wiersza Norwida „Duch Adama i skandal”, nabrało nowego życia, a dziś jest wręcz nadużywane. Choćby na sali sejmowej. Kiedy jednak książka się ukazała (oczywiście poza oficjalnym obiegiem), tytułowa „hańba” wzbudziła niesłychane emocje; wielu ludzi o znanych nazwiskach, także – a może przede wszystkim – wśród opozycji nazywanej lewicą laicką oburzyło się, a ten, na którego w podobnych wypadkach zawsze można było liczyć, czyli Jerzy Urban, nazwał autora „ideowym wykonawcą polityki amerykańskiej”. Że bez sensu? A jakie to miało znaczenie? Gorzej, że nie minęło wiele czasu, a np. Marta Fik, która wręczała Jackowi Trznadlowi nagrodę Komitetu Kultury Niezależnej za „Hańbę domową”, właśnie po tym mianowała go „antykomunistycznym Savonarolą”. Niewykluczone, że nadała mu tymi, w zamierzeniu obraźliwymi, słowy tytuł do chwały.

Odważnie pytał o odpowiedzialność pisarzy, intelektualistów za zło wyrządzone przez system komunistyczny. Ale zajmował go również ich stosunek do przeszłości, do tradycji, to, czym był i jest dla nich patriotyzm. I tak w sławnym eseju „Lewy profil” przywołał znamienne opowieści Zbigniewa Herberta, charakteryzującą opinię Czesława Miłosza o przedwojennej Polsce:

„Miłosz mówił mi, że takie śmiesznie strojone były te mundury oficerskie w dwudziestolecie. A ja go pytam: które, polowe?”. Wnikliwie analizując „lewoskręt” twórcy „Traktatu moralnego”, wskazywał krytyk, że „argumentacja Miłosza służy dziś nie tylko usprawiedliwianiu własnej postawy i postawy innych pisarzy zaangażowanych po wojnie w komunizm, lecz także w jakimś stopniu również postawy polskich komunistów budujących po wojnie polską gubernię sowiecką. Różne wzmówienia w imieniu »historii« wraz z antyprawicową fobią utrzymały się zresztą pośród wielu osób odrzucających »nadużycia« komunizmu i ludobójstwo. Wiem coś o tym nawet z okresu nagrań do »Hańby domowej«. Podobne oceny przecinają się w którymś miejscu z sądami polskich neotrockistów spod znaku Adama Michnika, Jacka Kuronia (wyrażającego radość, że Lwów nie jest już polski) i im podobnych, ostrzegających przed »zoologicznym antykomunizmem« (termin Michnika). To niewątpliwie także argumenty przeciw rozliczeniom i osądom PRL-u”.

Z wielkim znawstwem pisał Jacek Trznadel o poezji naszego noblisty, unikając polonistycznego pustosłowania i – co najważniejsze – stawiając wprost najbardziej nawet drażliwe problemy: i poetyckie, i te, powiedzmy, daleko wykraczające poza sferę zainteresowań literaturoznawczych. Dlatego akcentował fakt, że Miłosz w Norwidowym: „Nie jestem Polakiem” poszedł dalej, o wiele za daleko. „Poczucie własnej tożsamości – komentował – jest oczywiście rzeczą wolnego wyboru. Rzecz się komplikuje, jeśli część narodowej wspólnoty przyznaje takiemu twórcy charyzmę jednego z duchowych przewodników”.

ZŁOTA KSIĘGA ŚWIATA

Naraził się salonowi warszawskiemu okrutnie. Potrafił jednak iść pod prąd także wobec bliskiego ideowo środowiska, kierując się przeświadczeniem wziętym od autora „Kontry” (był Jacek Trznadel członkiem Kapituły Nagrody im. Józefa Mackiewicza), że jedynie prawda jest ciekawa. Szeroko komentowany był np. jego głos w dyskusji po opublikowaniu przez Jarosława Marka Rymkiewicza w 2008 r. książki „Kinderszenen” o powstaniu warszawskim. Wykraczał on daleko poza krytykę samego powstania, którego mit – wywodził – „zaczęto zatwierdzać i przywoływać już po odzyskaniu niepodległości. By ożywić w obywatelach jakąś

transfuzję tradycji i historii. Czy jednak nie bez kuglarstwa? Nie znam bowiem kraju, w którym powstało podobne naszemu Muzeum Powstania – muzeum kłeski. Nie ma w Paryżu muzeum kłeski Wielkiej Armii Napoleona w Rosji i muzeum Waterloo. Nie ma w Niemczech muzeum Grunwaldu czy kłeski stalingradzkiej. A to, co można by nazwać muzeum Verdun, to długi na sto metrów pawilon kości, kostnica, Ossuaire Verdun”.

Ale dlaczego miałyby nie powstać Muzeum Powstania? „Jeżeli kłeska nie jest godna upamiętnienia, to może przynajmniej warto upamiętnić tych, którzy bohatercko oddali życie? – retorycznie pytała potem na łamach »Arcanów« Marzena Woźniak-Łabieniec. – Podobnie jak profesor Trznadel boleję nad stratą »dwóch trzecich niewydanych listów Krasińskiego do Delfiny«, które »spłonęły od miotaczy ognia na Okólniku«. Ale jeszcze bardziej obawiam się tego, że bezcenne archiwa i biblioteki, które przetrwały, będą stały puste, przestaną kogokolwiek obchodzić, gdy rząd dusz przejmie pokolenie nierozumiejące mechanizmów historii, obojętne dla przeszłości, kształtujące swój stosunek do państwa zgodnie z etyką relatywizmu, obliczonego na partykularną korzyść i najbliższą przyszłość”.

Być może w polemicznym ferworze zapędzał się Jacek Trznadel w „Rymkiewiczza falsyfikacie o powstaniu” za daleko, wysnuwał nawet wnioski przeczące temu, co sam wielokrotnie pisał i co było mu naprawdę drogie. Zasugerował np., że „nie wiadomo, czy nie zaczynamy żyć w epoce, w której upominać się należy nie o polskość, ale – jak chciał Norwid – o POEZJĘ I DOBROĆ”. Otóż nie. Jest dokładnie na odwrót. Właśnie o polskość musimy się dziś upominać. Na to nam przyszło.

Zresztą był tego prof. Trznadel świadomy. Pisząc o Mickiewicz (na którego osobę i twórczość patrzył skądinąd z pewnym dystansem; na pewno bliższy był mu Słowacki), oddawał mu cześć jako autorowi „najbardziej polskiego poematu w naszej literaturze” – „Pana Tadeusza”, w którym – stwierdzał – „znajduje się nie tylko centrum polszczyzny, natura w poemacie umieszczona jest tuż obok centrum świata, tam blisko znajduje się i znajduje axis mundi. My, Polacy, posiadając »Pana Tadeusza«, posiadamy złotą księgę świata”. I dziś – pisał dalej Jacek Trznadel – „w epoce kwestionowanych wartości narodowych i patriotycznych »Pan Tadeusz« pozostaje – jako wielkie dzieło sztuki – tych warto-

ści emanacją i symbolem. W tym sensie – póki jest nieśmiertelny, świadczy i o ich nieśmiertelności”.

HISTORIA W RUCHU

Pasjonowała go literatura, a także jej związki z historią, tradycją, polityką. Sam też angażował się politycznie. W latach 70. związał się z opozycją polityczną, m.in. podpisując w 1976 r. głośny „List 59” przeciw planowanym przez komunę zmianom konstytucyjnym. W latach 80. publikował w drugim obiegu, sygnował też oświadczenie twórców kultury w związku z protestami robotniczymi przeciw warunkom życia. W roku 1990 został członkiem Porozumienia ponad Podziałami i – co należy podkreślić – współzałożycielem Polskiej Fundacji Katyńskiej. Był przewodniczącym komitetu wyborczego Jana Olszewskiego, gdy kandydował on na prezydenta, wcześniej – z ramienia Solidarności – brał udział w pracach komisji opracowującej projekt Konstytucji RP. A w 2010 r. w liście otwartym do Donalda Tuska domagał się powołania międzynarodowego ciała, które zajęłoby się zbadaniem przyczyn katastrofy smoleńskiej.

Dwa lata temu został odznaczony przez prezydenta Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. A z wyróżnień, które otrzymał, może najważniejszą była Nagroda im. Jerzego Łojki przyznana mu za „walkę z fałszem i zdradą w życiu narodowym”.

Jacek Trznadel przeżył 91 lat. Pozostawił po sobie wnikliwą analizę poezji Bolesława Leśmiana (jako pierwszy podał do druku jego „Zdżyczenie obyczajów pośmiertnych”) i prozy Józefa Mackiewicza, liczne studia i artykuły literaturoznawcze, z których część zebrana została w takich tomach jak m.in. „Płomiń obdarzony rozumem” (1978), „Polski Hamlet” (1988), „Ocalenie tragizmu” (1993), „Spojrzenie na Eurydykę” (2003), bardzo ważne prace odnoszące się do zbrodni katyńskiej i... wiele kwestii, które wciąż bez skutku usiłujemy rozstrzygnąć. Bo choć wiek totalitaryzmów mamy za sobą, to nie uzyskaliśmy odpowiedzi na związane z nim pytania. „Wszystko to – pisał prof. Trznadel – jest Historią w ruchu, która domaga się naszego udziału i pisze swój ciąg dalszy. Historia zawsze ma związek z tym, co Zbigniew Herbert w rozmowie ze mną nazwał nie bez szczypty ironii niezgłębią tajemnicą duszy ludzkiej”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Legenda

o św. Edwardzie



Piotr Semka

Reżyser filmu „Gierek” nie czuje tamtej epoki, nie dysponował dobrymi doradcami, za to chętnie pakuje się w bardzo ryzykowne teorie historyczne. Wyszło, jak wyszło, a wielu salonowców rozkochanych w Leszku Millerze czy we Włodzimierzu Cimoszewiczu stroi się teraz w togę pryncypialnych antykomunistów oburzonych przemilczaniem serwilizmu Gierka wobec Moskwy. Pocieszne to widowisko

Pomysł nakręcenia filmu o Edwardzie Gierku wydawał się skazany na sukces. Były I sekretarz KC PZPR z lat 70. to w polskiej powojennej pamięci dość wielobarwna postać. W porównaniu z liderami partii komunistycznych z lat 1944–1989 nie odgrywa roli zbyt złowrogiej. W III RP zasadniczo wymykał się wszelkim klasyfikacjom. Dla Adama Michnika superdemonem był Władysław Gomułka, naznaczony odpowiedzialnością za Marzec '68. Dla odmiany salon liberalno-lewicowy włożył swoją energię w wybielanie gen. Wojciecha Jaruzelskiego jako ojca polskiej demokracji. A Gierek? Przyciągał wzrok barwnością swojej epoki. Budził u wielu – nie tylko u byłych komunistów – dziwaczny sentyment niczym książkę Konstanty z Słowackiego. Generacja 60+ dobrze wspominała konsumeryzm tamtej Gierkowskiej epoki, symbolizowany przez małe fiaty 126p i wyjazdy do Bułgarii na wczasy.

Stary aparat postpeerelowski bronił Gierka jako człowieka, który dbał o ludzi, i jako budowniczego „Polski, która wówczas była”. Nawet Jarosław Kaczyński w czasie kampanii w 2011 r. ciepło wyrażał się o Gierku, być może pamiętając, że w 2005 r. jego syn, prof. Adam Gierek, przed drugą turą wyborów prezydenckich poparł Lecha Kaczyńskiego. Tak naprawdę jedynymi krytykami wywodzącego się z Zagłębia Dąbrowskiego I sekretarza była generacja opozycjonistów, którzy

Michał Koterski bardzo wczuwa się w rolę, ale wielkim aktorem raczej nie jest FOT. ROBERT PAŁKA

na własnej skórze odczuli w latach 70. brutalność Służby Bezpieczeństwa.

Skoro jedna postać budzi tak różne emocje, to wydawało się to gotowym paliwem dla sukcesu biograficznego filmu. Rozpoczynając oglądanie obrazu w reżyserii Michała Węgrzyna, naprawdę nie wiedziałem, co za chwilę otrzymam na filmowej tacy. Pewien niepokój budził we mnie już sposób reklamowania „Gierka” hasłem: „Każda prawda wreszcie musi wyjść na jaw”. Z kolei postać Rafała Wosia, współscenarzysty filmu i jednocześnie lewicowego nonkonformisty, dawała nadzieję na niekonwencjonalne spojrzenie na „towarzysza Edwarda”.

NIEZROZUMIANY SAMOTNIK

Otrzymał mi się opowieść o Edwardzie Gierku sprowadzoną do dwóch dość symbolicznych dat. Grudnia 1970 r., gdy do katowickiej willi ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Katowicach przybywa fikcyjny towarzysz Maślak, który ma symbolizować autentyczną postać Stanisława Kani, późniejszego następcy Gierka. Film zakończony jest sceną internowania komunistycznego przywódcy w noc wprowadzenia stanu wojenne-

go, którą puentuje dosyć łzawa scena zwolnienia Gierka z obozu odosobnienia i powitania go przez kochającego syna.

Pomiędzy tymi dwoma momentami dziejowymi mamy opowieść o osaczanym przez pachołków Moskwy polityku, który „chciał dobrze”. Który postanowił podnieść poziom życia Polaków, stworzyć nowoczesny, zdolny do konkurowania z Zachodem przemysł, a jednocześnie niczym jugosłowiański Josip Broz-Tito starać się wybić Polskę na niezależność od wszechpotężnego wówczas Związku Sowieckiego. Żeby było jasne, w epoce Gierka wszystkie te elementy, choć w różnym nasileniu, można odnaleźć i jest dobrym prawem filmowców użyć ich do obrony postaci I sekretarza KC PZPR. Problem w tym, że autorzy filmu w tej obronie Gierka przekroczyli wszelkie rozsądne granice, tym samym utrudniając rozmowę na temat jego zalet i przewin. Nie da się więc kogoś skutecznie bronić, gdy się go przesadnie wyszlachetnia.

W całym filmie nie ma ani słowa o długiej karierze Gierka jeszcze w Komunistycznej Partii Francji, potem Belgii, a wreszcie, po powrocie do Polski, w PZPR. Została pominięta rola Gierka

w wydarzeniach marcowych na Śląsku w 1968 r., kiedy to bardzo brutalnie zdławiono rewoltę studencką. Gierek na upiornym wiecu w Katowicach przestrzegał wtedy, że „śląska woda pogruchocze prowokatorom ręce”. Pominięta jest absolutnie rola Moskwy, która wsparła wybór Gierka na następcę Gomułki w grudniu 1970 r. Zamiast tego autorzy scenariusza sugerują, że inicjatorem osadzenia Gierka w fotelu I sekretarza byli Stanisław Kania i Jaruzelski działający ściśle na zlecenie KGB. Dosyć dobrze pokazana była odwaga nowego przywódcy, który potrafił przyjechać do stoczni i rozmawiać ze stoczniovcami „jak Polak z Polakiem”, ale autorzy znowu nabierają wody w usta i nie wspominają słowem, jak szybko ten dialog zamarł.

Pomijają wątek bardzo drobiazgowej esbeckiej pacyfikacji stoczni już po strajkach okresu od grudnia 1970 do stycznia 1971 r., którego najbardziej znanym epizodem było zwerbowanie Lecha Wałęsy do współpracy z SB.

Wpływ Rafała Wosia na scenariusz widać było w dwóch filmowych tezach. Po pierwsze, że wciągnięcie Polski w spiralę długów było sprytnym zabiegiem

REKLAMA



ŚWIAT STAJE NA KRAWĘDZI WOJNY.

TO OSTATNIA SZANSA, BY ZMIENIĆ HISTORIĘ....

Opowieść o lojalności i zdradzie, osnuta wokół brzemiennej w skutki konferencji monachijskiej z 1938 roku.

Ekranizacja powieści, z JEREMYM IRONSEM i GEORGE MACKAYEM W ROLACH GŁÓWNYCH,

WYŁĄCZNIE NA NETFLIX JUŻ 21 STYCZNIA!

WYDAWNICTWO ALBATROS

Książki dostępne w KSIĘGARNIE  Świat Książki i na  [swiatksiazki.pl](https://www.swiatksiazki.pl)

■ zachodnich banków, które w kryzysie naftowym potrzebowały kolejnych rynków dla swoich pożyczek. Tyle że znów autorzy scenariusza zarzynają jakąkolwiek refleksję, ile jest prawdy w tej hipotezie, gdy prezentują Gierka na spotkaniu z francuskim bankierem jako znawcę literatury francuskiej sypiącego cytatami z Moliера i Corneille’a. Owszem, Gierek mieszkał we Francji w latach 1923–1936, ale już od 1926 r. pracował w kopalni jako ładowacz. Jeśli nawet chodził w tym samym czasie do francuskiej szkoły, to trudno przypuszczać, by przerabiano tam dokładnie arcydzieła francuskich mistrzów literatury.

Takich drażniących przeszarżowań jest niestety więcej. Można przyjąć, że prymas Wyszyński w jakimś stopniu doceniał starania Gierka o podniesienie poziomu życia Polaków i dobrze mu życzył, ale przedstawianie relacji szefa partii z Prymasem Tysiąclecia niemal jako tajnego sprzysiężenia na rzecz wyzwolenia Polski jest niepoważne.

Przyznanie przez Gierka Leonidowi Breżniewowi Orderu Virtuti Militari, co oburzyło wtedy wielu Polaków, miało być – według autorów filmu – ceną za starania w Moskwie o przywrócenie w Polsce funkcji prezydenta.

OSACZONA OFIARA

Wreszcie autorzy zbyt często sięgają po chwyt scenariuszowe typowe dla filmu sensacyjnego. Tak jest, gdy pojawia się scena, w której postać stylizowana na premiera Piotra Jaroszewicza zmusza Gierka do feralnej – jak się potem okazało – podwyżki cen. Ma to być efekt szantażu sitwy Jaruzelskiego, która grozi szefowi rządu PRL skompromitowaniem syna Jaroszewicza, znanego playboya i bawidamka rozbijającego się po stolicy luksusowym sportowym modelem Porsche.

Druga połowa lat 70. przedstawiona jest już niemal wyłącznie jako osaczenie Gierka. Z jednej strony koteria Jaruzelskiego rozpoczyna kampanię plotek na temat rozbitego konsumeryzmu i sekretarza ze słynną opowieścią o Stanisławie Gierku latającej co tydzień samolotem do Paryża w celu wymodelowania swojej fryzury, z drugiej strony – i tutaj czuć wpływ Rafała Wosia – zapaść w zaopatrzeniu sklepów przedstawiana jest jako wyjątkowy efekt nacisku na Jaroszewicza grupy młodych gospodarczych doradców ekonomicznych, których poglądy bardzo przypominają późniejszą terapię szokową Leszka Balcerowicza.

Przedstawianie relacji Gierka z Prymasem Tysiąclecia **niemal jako tajnego sprzysiężenia na rzecz wyzwolenia Polski jest niepoważne**

Zresztą tu ciekawostka – sam Woś odgrywa jednego z takich doradców, który wymodelowany jest, jak się zdaje, na młodego Balcerowicza.

Cała epopeja strajku w sierpniu 1980 r. zostaje pominięta, podobnie jak karnawał Solidarności z lat 1980–1981. Wszystko to po to, aby efektownie przedstawić aresztowanie Gierka w noc grudniową i ubranie go w kostium niemal takiej samej ofiary ówczesnych wydarzeń jak internowani działacze Solidarności.

Jest w tym filmie parę dobrych scen. Oto np. na spotkaniu z wysokim generałem KGB stylizowanym chyba na Jurija Andropowa Sowietci zmuszają Jaruzelskiego do kolejnych toastów w postaci dużych szklanic wódki. Niepijący zbyt wiele Jaruzelski, nienawykły do picia gorzałki szklanicami – dusi się od mocnego alkoholu, ale z racji lęku przed utratą łask u wysłannika Kremla posłusznie wypija kolejne „stakany”. Inna dobra scena pokazuje, jak Gierek odważa się przybyć do strajkującej w styczniu 1971 r. stoczni i w rozmowie twarzą w twarz uzyskać zaufanie stoczników. Tyle że siłą pierwszej sceny osłabia zbyt karykaturalny sposób gry aktora grającego „Jaruzela”, a w wypadku drugiej sceny brak jest wytłumaczenia, co sprawiło, że Gierek to zaufanie stoczników roztrwonili.

Reżyser filmu Michał Węgrzyn najwyraźniej absolutnie nie wyczuwał wielu anachronizmów historycznych i zbyt łatwo przychodziło mu sięganie w filmie historycznym po zupełnie fantastyczne wątki, jak np. teoria o przygotowywaniu w Wojskowej Akademii Technicznej polskiej bomby neutronowej pod kierownictwem Sylwestra Kaliskiego. Być może był to efekt coraz bardziej typowego dla świata gier komputerowych przekonania, że młody widz bez efektownych wątków straci zainteresowanie filmem po kilkudziesięciu minutach. Ale łączenie takich efekciarskich chwytów z próbą opowiedzenia o tym, jak było naprawdę, kończy się bardzo niedobrze.

Co do gry aktorskiej, to Michał Koterski bardzo wczuwa się w rolę, ale wielkim aktorem raczej nie jest. Małgorzata Kożuchowska w roli Stanisławy Gierek bardzo ociepla wizerunek swojego filmowego męża, ale nadaje filmowi stylistykę telewizyjnych seriali tasiemców w stylu „M jak miłość” czy „Druga szansa”. Jaruzelski grany przez Antoniego Pawlickiego jest zbyt karykaturalny. Może tylko Breżniew, którego podjął się odgrywać Cezary Żak, dobrze ukazuje końcową fazę rządów kremlo-wskiego satrapy, gdy sowiecki kacyk coraz bardziej oddalał się od rzeczywistości.

NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Film wywołał lawinę krytycznych recenzji, w których odbijają się wszystkie aktualne tendencje w polemikach politycznych. Paweł Kowal na Twitterze zasugerował, że wybielanie Gierka w filmie mu poświęconym jest chytrą inicjatywą PiS. Napisał: „Albo Anna Walentynowicz jest bohaterką, albo Edward Gierek... Droga władzo, co się z wami dzieje”. Niedysiejszy polityk PiS, a dzisiaj dość ostry platformers najwyraźniej nie sprawdził, że film był inicjatywą prywatną i nie dostał ani grosza od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej ani MKiDN.

Z kolei Rafał Woś, który zalał za skórę lewicowemu salonowi, jest przy okazji filmu chłostany z wyjątkową lubością. Woś chciał w tym filmie zachęcić do refleksji nad tym, że zachodni bankierzy traktowali Polskę ze sporą dozą cynizmu i że inwestycyjny rausz Gierka, gdyby został mądrze wykorzystany przez władców PRL, byłby dobrym punktem do startu po 1989 r. Ale jak się ciągnie salonowe tygrysy za wąsy, to trzeba na taką potyczkę pójść uzbrojonym w dobry warsztat i dobrego reżysera. Woś trafił na reżysera, który nie czuje tamtej epoki, nie dysponował dobrymi doradcami, za to chętnie pakuje się w bardzo ryzykowne teorie historyczne. Wyszło, jak wyszło, a wielu salonowców rozkochanych w Leszku Millerze czy we Włodzimierzu Cimoszewiczu akurat przy okazji filmu „Gierek” stroi się w tożę pryncypialnych antykomunistów oburzonych przemilczaniem serwilizmu Gierka wobec Moskwy. Pocieszne to widowisko. Ale nastawienia do filmu „Gierek” nie polepsza. Powtarzany w recenzjach argument, że jest on dziwacznym zlepkiem różnych filmowych konwencji, jest trafny. Jeśli chcecie sprawdzić to na własne oczy, to wybierzcie się na własną odpowiedzialność. © Wszelkie prawa zastrzeżone

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY

Szusowanie bez obostrzeń



Agnieszka Niewińska

Polskie stoki i wyciągi są dostępne dla narciarzy bez względu na to, czy mają certyfikat covidowy. To przyciąga turystów z zagranicy. Na zimowe sporty na Podhalu zdecydowało się w tym roku wielu Słowaków

WTatry wybraliśmy się z dziećmi na kilka dni. Jeszcze przed mazowieckimi feriami, żeby uniknąć największych tłumów – opowiada pan Piotr z podwarszawskiego Halinowa. – Zdecydowaliśmy się na kwaterę z dala od Zakopanego. Na mniej popularnych stokach nie było tłoków, a i ceny nie odbiegały znacznie od ubiegłorocznych. Byliśmy jednak zaskoczeni frekwencją turystów z zagranicy. Na naszej kwaterze byli Węgrzy, Rosjanie i Czesi. Na stokach jest sporo narciarzy ze Słowacji – relacjonuje.

– Pandemia koronawirusa wyhamowała ruch turystyczny, a zwłaszcza dalsze podróże. Miłośnicy sportów zimowych w Alpach musieli zmienić swoje plany, na czym z kolei zyskały nasze tereny górskie. Chociaż spadek udziału gości zagranicznych w polskiej turystyce jest bardzo widoczny, to obywatele Czech, Słowacji i Niemiec stanowią silną reprezentację w znanych ośrodkach i na stokach – mówi p.o. prezes Polskiej

Organizacji Turystycznej Anna Salamoniuk-Mochel.

Polskie ośrodki narciarskie tej zimy dostępne są bez ograniczeń zarówno dla zaszczepionych, jak i niezaszczepionych. W obliczu surowych restrykcji covidowych za naszymi granicami nasze kurorty narciarskie przyciągają w tym roku zwłaszcza niezaszczepionych i tych, którzy mają dość covidowych ograniczeń.

„TU JEST NORMALNY ŚWIAT”

Podhale gości w tym roku w szczególności Słowaków. Decydują się nawet na krótkie weekendowe wypadki nie tylko do Zakopanego, lecz także do Bukowiny czy Białki Tatrzańskiej. Na Słowacji obowiązują surowe obostrzenia. Jeszcze w grudniu w kraju był lockdown. Do 19 stycznia tylko zaszczepieni i ozdrowieńcy mogli korzystać ze stoków narciarskich, ale nawet oni musieli przy zameldowaniu w hotelach pokazywać negatywny wynik testu. Teraz muszą być

zaszczepieni trzema dawkami lub dwoma w przypadku dzieci powyżej szóstego roku życia. Do ośrodków narciarskich obok zaszczepionych i ozdrowieńców (do 180 dni po przebyciu COVID) dopuszczono niezaszczepionych, ale pod warunkiem, że przy zakupie karnetu przedstawiają negatywny wynik testu PCR lub antygenowego. Dokumenty są drobniawo sprawdzane. Korzystający z wyciągów narciarskich muszą nosić maseczkę FFP2.

W czeskich kurortach szusować mogą zaszczepieni i ozdrowieńcy. Przy zakupie karnetu trzeba okazać ważny paszport covidowy. Podobnie jest w przypadku hoteli i restauracji. W większości niemieckich kurortów z infrastruktury mogą korzystać zaszczepieni i ozdrowieńcy. W niektórych krajach związkowych wymagana jest jednak trzecia dawka szczepionki lub testu w przypadku jej braku.

Aby wjechać do Włoch, nawet zaszczepieni muszą pokazać test. Nie-



FOT. ANDRZEJ STODOL

świat” – mówił. – „Życie musi iść dalej” – dodał.

O nartach w Polsce bez obostrzeń piszą słowackie media. „W polskich ośrodkach narciarskich pandemia jakby nie istniała” – stwierdza dziennik „Korzar” ukazujący się w Koszycach. Informował, że jednym z popularnych kierunków dla mieszkańców Koszyc jest Tylicz w Beskidzie Sądeckim, do którego można dojechać w 80 minut. Słowacy decydują się na wjazdy narciarskie na jeden dzień, a nawet na wieczorną jazdę. Cena ok. 45 euro za karnety dla czteroosobowej rodziny jest dla nich na tyle atrakcyjna, że opłaca się przekroczyć granicę i spędzić w Polsce jeden dzień. – Nikt niczego nie kontroluje, ale nawet jeśli by tak było, to nam to nie przeszkadza. Ja i moja żona jesteśmy zaszczepieni. Restauracje, bary – wszystko jest otwarte. To duży plus – opowiadał dziennikowi Ondrej Sabinovčan, który szusował w grudniu w Tyliczu. – Nikt nie ma maseczki. Ani w kolejce, ani na wyciągu – dodawał.

Na czeskich forach dla narciarzy wśród polecanych polskich ośrodków narciarskich są szczególnie te położone w Beskidzie Śląskim. – Spośród turystów z zagranicy zaglądają do nas właśnie Czesi – słyszymy w biurze informacji turystycznej w Szczyrku.

W Szklarskiej Porębie najwięcej jest telefonów od planujących zimowy wypoczynek w Polsce Niemców. – Spośród tras zjazdowych na razie otwarte są dwie. Wciąż jeszcze jest za mało śniegu, a nasze trasy przebiegają przez park narodowy, więc by zostały otwarte, niezbędna jest odpowiednia pokrywa śnieżna. Wielu turystów przyciągają jednak trasy biegowe w Jakuszycach. A w tej chwili wszystkie są ratrakowane – informuje Biuro Promocji Urzędu Miasta Szklarska Poręba.

Anna Salamończyk-Mochel z POT podkreśla, że takie kurorty jak Zakopane, Karpacz, Szklarska Poręba czy Białka Tatrzańska nie odbiegają od europejskich ośrodków, oferując bardzo wysoką jakość usług w konkurencyjnej cenie. – Ze względu na bliskie położenie geograficzne oraz rozwiniętą siatkę połączeń znaczna część turystów decyduje się na wyjazdy jednodniowe lub weekendowe – podkreśla Anna Salamończyk-Mochel.

OBOSTRZENIA? TYLKO TEORETYCZNIE

Ze względu na liberalne podejście do pandemii zimowy wypoczynek w Polsce

zyskuje międzynarodową sławę. W połowie stycznia Reuters opublikował zdjęcia tłoku w polskich restauracjach na Podhalu i kolejek do wyciągów narciarskich, na których nie widać między ludźmi żadnego dystansu. „Podczas gdy kraj stoi w obliczu najpoważniejszej fali infekcji, nie jest to zmartwieniem w południowym kurorcie, jakim jest Zakopane, gdzie rozpoczął się sezon ferii zimowych” – napisał Reuters.

Formalnie jednak obostrzenia obowiązują. Trzeba utrzymywać półtorametrowy dystans. Obowiązkowe jest zakrywanie nosa i ust w przestrzeniach zamkniętych. W restauracjach i hotelach obowiązuje 30-procentowa zajętość miejsc. Do limitu nie włączają się zaszczepieni. – W górskich kurortach o pandemii można zapomnieć, obostrzenia to raczej fikcja – mówi pan Piotr z podwarszawskiego Halinowa. – Nikt nas nigdzie nie prosił o paszporty covidowe. Kiedy do restauracji weszła osoba w maseczce, inni goście patrzyli na nią jak na kosmitę, bo była jedyną w masce – opowiada.

Komisarz Agnieszka Szopińska z Komendy Powiatowej Policji w Zakopanem zapewnia, że funkcjonariusze prowadzą rutynowe kontrole przestrzegania obostrzeń, a także interweniują w przypadkach napływających do nas zgłoszeń dotyczących ich nieprzestrzegania. – Jest szczyt zimowego sezonu i dużo turystów, więc mogą powiedzieć, że interwencji mamy naprawdę bardzo dużo, także tych w sprawie maseczek – mówi komisarz Szopińska.

Zimowe ferie zaczęły właśnie dzieci z województw dolnośląskiego, mazowieckiego, opolskiego i zachodniopomorskiego. – Największego ruchu turystycznego spodziewamy się właśnie teraz – informuje Biuro Promocji w Szklarskiej Porębie. Ostatnia tura zimowych ferii zacznie się 14 lutego. Przerwę w nauce będą miały dzieci z województw lubelskiego, łódzkiego, podkarpackiego, pomorskiego i śląskiego.

Oficjalny bilans tego zimowego sezonu, jeśli chodzi m.in. o liczbę zagranicznych turystów i wyniki branży turystycznej, GUS opublikuje dwa miesiące po jego zakończeniu. O tym, jak liberalne zasady korzystania z infrastruktury narciarskiej i towarzyszących im usług wpłyną na sytuację epidemiologiczną, dowiemy się z pewnością dużo szybciej.

zaszczepieni, nawet z testem, na nartach w tym kraju nie pojeżdżą. Z kolei, by wjechać do Austrii, trzeba być zaszczepionym trzema dawkami, w przeciwnym wypadku konieczny jest test. Z austriackiej infrastruktury narciarskiej mogą korzystać tylko zaszczepieni i ozdrowieńcy.

W obliczu surowych obostrzeń już pod koniec ubiegłego roku zwłaszcza Słowacy zaczęli przyjeżdżać na narty na polską stronę Tatr. Podhale gościło całe rodziny. Dorośli zwracali uwagę, że choć sami się zaszczepili, to nie zdecydowali się na zaszczepienie dzieci, więc na Słowacji nie mogliby korzystać z infrastruktury bez testów. „Tu nie ma żadnych ograniczeń covidowych. Jestem zaszczepiony, przyjaciółka nie i bez problemu mogła tu jeździć na nartach” – opowiadał „Tygodnikowi Podhalańskiemu” Paweł, turysta ze słowackiego Martina. Z kolei Marek z Łuceniec, choć przyznał, że jest zaszczepiony, to na narty i tak przyjechał do Zakopanego. „Tu nie ma obostrzeń, tu jest normalny

TOMASZ ROWIŃSKI: Dzięki zabiegom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wróciło do Polski wspiane dzieło utracone w czasie drugiej wojny światowej.

PIOTR GLIŃSKI: Tak, 31 stycznia we wrocławskim Muzeum Narodowym zaprezentujemy „Opłakiwanie Chrystusa” – obraz z warsztatu Łukasza Cranacha starszego. Dzieło to znalazło się na powrót w polskich zbiorach dzięki pracy naszego Departamentu Restytucji Dóbr Kultury oraz pracowników Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Informacja o odzyskaniu przez Polskę tego dzieła była trzymana w tajemnicy do ostatniej chwili.

Departament, o którym wspominałem, jest rzeczywiście wstrzemięźliwy, jeśli chodzi o udzielanie informacji. Wyznaje on zasadę, że trudnym rozmowom restytucyjnym sprzyja dyskrecja, wiadomości przekazywane są wtedy, gdy wszystko jest związane na ostatni guzik, a dzieło znajduje się w Polsce, w bezpiecznym miejscu. Dlatego dopóki nie ma pewności, że nie pojawią się jakieś dodatkowe przeszkody, dopóty najczęściej nie dzielimy się tą wiedzą.

Można zrozumieć tę ostrożność, szczególnie w tak niezwyklej sytuacji jak odzyskanie dzieła z warsztatu Cranacha.

Rzeczywiście, w tym przypadku odzyskaliśmy obraz przepiękny i wartościowy, pochodzący z warsztatu jednego z najwybitniejszych przedstawicieli niemieckiego renesansu.

Jaka jest historia tego dzieła?

Zgodnie z prawem za straty wojenne uznawane są wszystkie dzieła sztuki, które znajdowały się w granicach Polski po 1945 r. Dotyczy to także kolekcji poniemieckich, które znajdowały się np. we Wrocławiu. Podobnie jest w przypadku Gdańska, który w granicach Niemiec co prawda się nie znajdował, ale nie należał również do Polski, a po wojnie znalazł się w jej granicach. Z Gdańska akurat sporo ukradli Rosjanie. Zatem to, co wywieziono z Wrocławia, z Gdańska, ze Szczecina, prawnie należy do naszego kraju. Mówię o tym dlatego, że „Opłakiwanie Chrystusa” to właśnie przypadek dzieła, które znajdowało się przed wojną w muzeum wrocławskim, które było wtedy niemieckie.

Gdzie obraz został odnaleziony?

To ciekawa historia. Dzieło zostało zidentyfikowane przez prof. Piotra Oszczanowskiego i jego współpracowników z Mu-

FOT. WOJCIECH KOZIOL / FORUM



Z Piotrem Glińskim, wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego rozmawia Tomasz Rowiński

„Opłakiwanie Chrystusa” powraca

zeum Narodowego we Wrocławiu. Obraz został odnaleziony w jednej ze szwedzkich kolekcji i po otrzymaniu prośby o wszczęcie działań, rozpoczęliśmy proces restytucyjny. To był rok 2019. W 2020 r. ze szwedzkich mediów dotarła do nas informacja, że szwedzkie muzeum rekomenduje zwrot dzieła. Kluczowa była zgoda szwedzkiego rządu, ponieważ dzieło odnaleźliśmy w zasobach państwowych, w Muzeum Narodowym w Sztokholmie. Ostateczna decyzja zapadła w sierpniu 2021 r. Od tego czasu trwały procedury prawne. To właśnie konieczność przeprowadzenia rozmaitych zabiegów prawnych jest zwykle przyczyną tego, że procesy restytucyjne trwają dość długo. Trzeba udowodnić, że jest się właścicielem obiektu, druga strona musi ten fakt zaakceptować – i dopiero wtedy dzieło do nas wraca. Jeżeli jest dobra wola tej drugiej strony, to oczywiście proces ten przebiega w miarę sprawnie, ale nie zawsze tak jest i wtedy trzeba to różnymi sposobami przyspieszać.

W przypadku Cranacha była dobra wola po szwedzkiej stronie?

Tak, współpraca była dobra. Tu trzeba jednak jasno powiedzieć, że wiele utraconych obiektów nie jest odnajdywanych m.in. dlatego, że ich obecni posiadacze nie chcą się pozbywać tego, co mają w kolekcjach. Nawet jeśli domyślają się, że to, co jest w ich posiadaniu, niekoniecznie należy do nich, ponieważ np. zostało nabyte w niezbyt jasnych okolicznościach na powojennym rynku sztuki, który w znacznej mierze polegał na upłynianiu obiektów zdobytych w wyniku zwykłego szabrownictwa. Dlatego szczególnie w latach powojennych – ale i później – rynek sztuki w znacznej mierze miał charakter skryty. Do dziś część obiegu na rynku dzieł sztuki odbywa się – najprawdopodobniej – „na zapleczu”, ponieważ tylko tak mogą zmieniać właścicieli dzieła celowo „zaginione” czy po prostu skradzione.

Dotyczy to także dzieł utraconych przez Polskę?

Mam smutne przekonanie, że w bardzo wielu miejscach na świecie, a także w Polsce, znajdują się dzieła utracone, przetrzymywane bezprawnie gdzieś w prywatnych rękach. Wiszą w mieszkaniach, w niepublicznych kolekcjach, nawet w instytucjach. Albo nawet nie wiszą, ukryte gdzieś przed spojrzeniami. To jest dość oczywiste, ponieważ to, że je odzyskujemy, wynika na ogół z prac poszukiwawczych, które prowadzą nasi urzędnicy albo pracownicy

instytucji, z którymi współpracujemy, czyli przede wszystkim muzealnicy, historycy sztuki, konserwatorzy. Tak odzyskaliśmy np. Malczewskiego „Przy fortepianie”, namierzonego przez Paulinę Szymalak-Bugajską z muzeum w Radomiu, która akurat specjalizuje się w twórczości tego artysty. Dzięki temu obraz trafił z powrotem do Muzeum Narodowego w Warszawie. Większość odzyskanych przedmiotów odkryli urzędnicy naszego wyspecjalizowanego wydziału, a od 1 stycznia tego roku już Departamentu Restytucji Dóbr Kultury.

Wróćmy jeszcze do obrazu Cranacha. Jak to się stało, że obraz ten trafił do Szwecji i tyle lat tam się znajdował niezidentyfikowany?

To jedna z wielu historii – a wszystkie są ciekawe – ponieważ każda strata i każdy proces restytucyjny to odrębne i odmienne okoliczności. W przypadku obrazu Cranacha starszego wiadomo, że trafił on po wojnie w ręce Siegfrieda Häggberga, dyrektora znanej szwedzkiej firmy Ericsson. Sam Häggberg był ciekawą postacią, w latach 40. został przez Niemców skazany na śmierć za szpiegostwo. W rzeczywistości chodziło o współpracę z polskim podziemiem. Istnieją różne wersje opowieści na temat tego, w jaki sposób Häggberg wszedł w posiadanie obrazu Cranacha. Jedna mówi, że po prostu nabył go na powojennym rynku sztuki, według drugiej – podawanej przez spadkobierców – otrzymał ją od tajemniczej osoby na przechowanie. Jednak nikt nigdy się nie zgłosił, by obraz odebrać.

Wiadomo, że obraz był przez jakiś czas przechowywany w jednej ze składnic, w których Niemcy gromadzili zagrabione dzieła, szczególnie malarstwo.

Obraz znajdował się w Kamieńcu Żąbkowskim, takich składnic było wiele i wiele dzieł sztuki odnaleziono dzięki zidentyfikowaniu tych miejsc. Szacuje się, że niemieccy urzędnicy, na polecenie Hitlera, w czasie wojny ukradli ok. 5 mln dzieł sztuki. Jedno natomiast jest pewne – pan Häggberg musiał ten obraz przywieźć do Szwecji nielegalnie. Pozostawał on w rękach jego spadkobierców do roku 1970, gdy na aukcji sztuki kupił go sztokholmskie Muzeum Narodowe.

Ciekawe, że wtedy nie sprawdzono, skąd obraz się wziął...

W wielu przypadkach kiedyś tego nie sprawdzano – być może była to kwestia braku dostępu do odpowiednich danych, a może po prostu nie chciano tego sprawdzić.

Co powoduje, że historie wracających do Polski dzieł sztuki są na ogół niezwykle ciekawe?

Jedna z najbardziej interesujących historii to sprawa „Zimy w małym miasteczku” Maksymiliana Gierymskiego, które to dzieło zostało skradzione przez Niemców z Muzeum Narodowego w Krakowie i wisiało w gabinecie SS-Standartenführera Kajetana Mühlmanna w gmachu rządu Generalnej Guberni. Gdy Niemcy uciekali z Krakowa, gabinet się spalił. W związku z tym wszyscy byli przekonani, że ten obraz po prostu uległ zniszczeniu. Tymczasem w 2017 r. sensacyjnie się odnalazł w rękach prywatnych. W ramach sporu rodzinnego jedna osoba doniosła na drugą, że ta ma coś wartościowego „po babci”. Okazało się, że był to zwinięty w rulon obraz Gierymskiego. O ile wiadomo, w latach 60. XX w. obraz raz zmienił właściciela, ale ogólnie można powiedzieć, że przez 70 lat zbierał kurz na strychu. Został zabezpieczony i odzyskany. Niestety, był bardzo zniszczony, popękany, ponieważ niefachowo go zwinięto, ale naszym konserwatorom udało się go uratować.

Niedawno udało się także odzyskać obraz najbardziej znanego fińskiego malarza Alberta Edelfelta pt. „Pod brzozią/Dzieci w lesie brzozowym nad fiordem Haiko” z 1882 r.

To też jest ciekawa historia. Dzieło to przed wojną znajdowało się w siedzibie prezydenta Ignacego Mościckiego w Spale i zostało odnalezione na strychu drewnianego domu niedaleko tej miejscowości. Posiadacze obrazu sprawdzili jego pochodzenie i gdy się okazało, że znajduje się on na liście polskich strat wojennych, zwrócili go w wyniku negocjacji prowadzonych przez MKiDN. Obecnie obraz znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Szczęśliwie był w dobrym stanie.

Jeśli mamy przypadki, że ktoś sam oddaje dzieło, to znaczy, że powoli udaje się budować świadomość społeczną dotyczącą polskich strat wojennych.

We współczesnym świecie świadomość tego, że dzieła sztuki były grabione, jest już dość duża. To są historie, które budzą sensację, opublikowano na ten temat wiele książek, jest wielu ludzi, którzy się tym zajmują. W tym sensie możemy powiedzieć, że temat dociera do świadomości społecznej, ale po drugiej stronie są też czasami brak uczciwości, ludzka chciwość, często brak refleksji. Istnieje przekonanie, że jeśli jakiś obraz wisi gdzieś na ścianie, a sprawa nikogo nie dotyczy, to po co się tym zajmować. Aby ocenić właściwie



Łukasz Cranach starszy, „Opłakiwanie Chrystusa”

FOT. NATIONALMUSEUM STOCKHOLM

■ sytuację, musimy spojrzeć na proporcje. Po wojnie oszacowano, że utraciliśmy 516 tys. dzieł sztuki, a było ich zapewne więcej, bo o wielu obiektach po prostu nie wiemy. Ile wartościowych przedmiotów, choćby rzemiosła artystycznego, spłonęło razem z Warszawą podczas bombardowań, dwóch powstań i po powstaniu warszawskim, gdy Niemcy systematycznie i celowo palili Warszawę?

Nam w ostatnich latach udało się odzyskać w bardzo żmudnych procesach restytucyjnych nieco ponad 500 dzieł sztuki. I mimo że w tej chwili prowadzimy ponad 80 procesów restytucyjnych w 14 krajach świata, to dysproporcja wartości i wielkości tych zbiorów – liczby obiektów utraconych do odzyskanych – jest uderzająca. My zagarniamy tym naszym profesjonalnym sitem, łowimy, trafiają się grube ryby, ale ta ławica jest ogromna i przeważnie nie wiadomo, gdzie dokładnie zarzucić sieć.

Mimo to widzi pan sens tej pracy?

Sens jest oczywisty! Po pierwsze, to są cenne dzieła sztuki, które są nasze, ale

poza tym to jest nasza powinność wobec dziedzictwa historycznego, wobec naszej tożsamości. Jest też wymiar współczesny – my mamy obowiązek, budując przyszłość, czerpać z przeszłości. To nas, Polaków, też chyba łączy – że mamy to samo zdanie na temat konieczności odzyskiwania zagrabionych dóbr naszej kultury. Tak jak mamy powinności wobec pamięci o naszych zmarłych – szczególnie bohaterów naszej historii – tak mamy obowiązek szukać dzieł sztuki czy dóbr, obiektów wartościowych i cennych dla naszej wspólnoty. Stąd wzięła się decyzja polskiego rządu, który docenia także fachowość zespołu pracującego od wielu lat nad restytucjami, aby powiększyć ten zespół ludzi. Gdy przyszedłem do ministerstwa, zwiększyliśmy kilkuosobowy zespół o 100 proc., a teraz powiększamy go znów o kolejne 100 proc. – do ponad 20 osób, przekształcając też wydział w departament. Pracy jest bardzo dużo i była to decyzja wręcz konieczna. Jest to też zajęcie niezwykle ciekawe, multidyscyplinarne, łączące wiele kompetencji – historycznych, detektywistycznych, analitycznych, dotyczących systemów praw-

nych różnych krajów czy wreszcie wiedzy o sposobach transportu, przechowywania czy zabezpieczania dzieł sztuki różnego rodzaju. Jednocześnie trzeba nauczyć się poruszać na tzw. rynku sztuki, gdzie grasuje wielu handlarzy, ale i fałszerzy, a ponieważ mówimy tu o przedmiotach wielkiej wartości, można powiedzieć, że trzeba też mierzyć się z pewnego rodzaju niebezpieczeństwami.

Nic prawie nie mówi się o dziełach skradzionych przez komunistów, i to nie tylko Armii Czerwonej.

A to bardzo ciekawe tropy i wręcz symboliczne dla naszych losów i współczesności! Nie tak dawno wypłynął np. obraz Stanisława Maślowskiego „Gryka”, który zaginął wraz z kilkudziesięcioma innymi obrazami – pozostałe nie odnalazły się do dzisiaj – z kolekcji wypożyczonej kiedyś z Muzeum Narodowego w Warszawie do siedziby Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. I kamień w wodę! Towarzysze z TPRP byli uprzejmi nie zwrócić nigdy tych obrazów do muzeum. Tutaj zaapelowałbym szczególnie do państwa z SLD i innych środowisk postkomunistycznych, żeby popytali starszych kolegów, czy przypadkiem nie wisi u nich na ścianie coś, co jest własnością polskiego narodu. Obraz Maślowskiego udało się odzyskać, ponieważ pojawił się na aukcji i został zauważony przez naszych urzędników, pozostałe pewnie zostały skradzione. Jestem przekonany, że wiele naszych „strat wojennych” znajduje się np. w mieszkaniach dawnych dygnitarzy (i ich spadkobierców) z okresu stalinowskiego i PRL. Elita, która wtedy rządziła Polską, korzystała przecież bez żadnej społecznej kontroli z własności państwowej i inwestowała swe apanaże m.in. na bardzo „szarym” czy wręcz „czarnym” w owym czasie powojennym rynku dzieł sztuki. Była zainteresowana pięknymi przedmiotami i gromadziła je, począwszy od mebli, a kończąc na malarstwie, które zdobiło i dalej pewnie zdobi ściany w mieszkaniach dawnej resortowej Warszawy. A co do Armii Czerwonej, to w Federacji Rosyjskiej mamy złożonych 20 wniosków restytucyjnych, ale oni nie respektują prawa międzynarodowego. „Trofejne” to dla nich „trofejne”. Tych przysłowiowych zegarków też nigdy nikomu nie oddali! Tak to niestety wygląda.

Nie tracimy jednak determinacji. Zwiększyliśmy zespół, poszerzyliśmy możliwości i mogę zdradzić, że już niedługo będziemy prezentować kolejne odzyskane dzieła.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

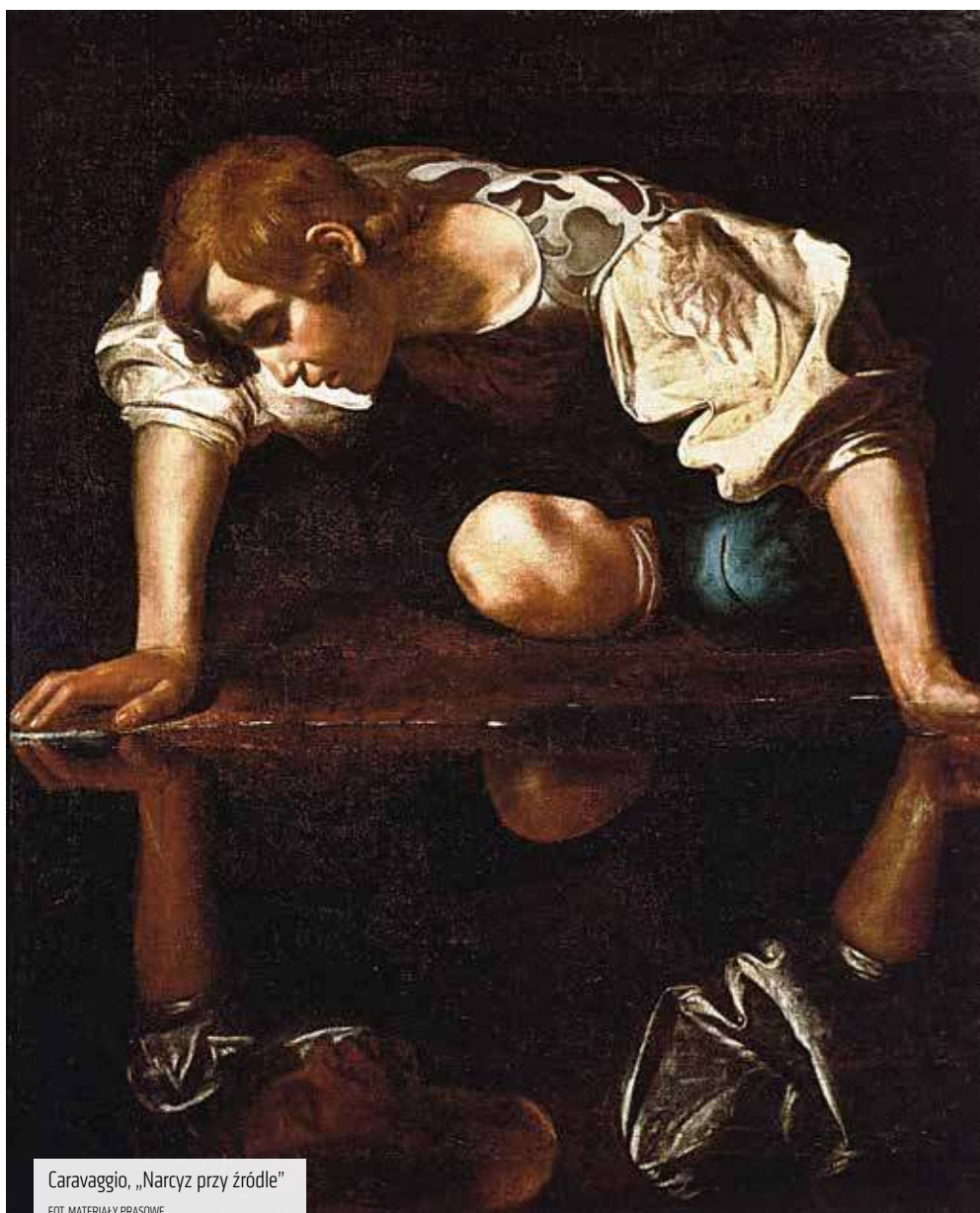
Dawna rezydencja Jagiellonów przechodzi metamorfozę. 30 czerwca otworzy swe podwoje Skarbiec Koronny, udostępnione zostaną również na nowo zaaranżowane reprezentacyjne komnaty i prywatne apartamenty monarchów. Ale już teraz wizytę na wawelskim wzgórzu można sobie ubarwić, oglądając ekspozycję sztuki z południowych Niderlandów.

Trzydzieści pięć dzieł pochodzi ze zbiorów własnych i Muzeum Narodowego w Gdańsku. Łączy je miejsce powstania – Antwerpia, która na przełomie XVI i XVII w. była jednym z najzamożniejszych miast Europy. W przeciętnym antwerpskim domu znajdowało się wtedy dwadzieścia kilka obrazów. Oczywiście zwykle były to kopie lub dzieła lokalnych artystów. Zwiedzający mogą poczuć się jak w kunstkamerze, zgłębiać wymyślną symbolikę „Alegorii sprzyjającego losu” Fransa Franckena, podziwiać dramatyzm „Sceny z historii Jonasza” Paula Brila, jednak snobi mogą czuć niedosyt. Sławnych nazwisk jak na lekarstwo.

Dwie małe ilustracje niderlandzkich przysłów autorstwa Pietera Bruegla i jego syna (też Pietera), tryptyk „Sąd Ostateczny”, wzorowany na arcydziełach Boscha, tudzież wspaniały „Portret królewicza Władysława Zygmunta Wazy” z warsztatu Rubensa, od 1972 r. depozyt, a teraz już własność wawelskiego muzeum. Właściwie trudno się dziwić. Zygmunt III wywiozł królewskie zbiory sztuki do Warszawy, w XX w. odrestaurowane wnętrza wypełniły darowizny instytucji oraz osób prywatnych.

Dyrektor Andrzej Betlej znalazł na to radę. W sierpniu na Wawel zawita „Jeździec polski” pędzla Rembrandta, dziś perła zbiorów nowojorskiej Frick Collection. Okazją do sprowadzenia do Krakowa kilku arcydzieł będzie też wystawa dedykowana zmarłej 20 lat temu Karolinie Lanckorońskiej. Podobną politykę prowadzi gospodarz Zamku Królewskiego w Warszawie, Wojciech Fałkowski. Obiecał, że do jego placówki regularnie będą trafiać pojedyncze prace dawnych mistrzów. Obecnie jest to „Portret Anny Austriaczki” pędzla Rubensa.

Królowa Francji dzięki powieści „Trzej muszkieterowie” oraz jej ekranizacjom zyskała nieśmiertelność. Ma jednak mniejszą moc przyciągania niż malarz bandyta Michelangelo Merisi, lepiej znany jako Caravaggio. Gdy 26 lat temu w warszawskim Muzeum Narodowym



Caravaggio, „Narcyz przy źródle”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Blask Północy, cienie Południa



Wiesław Chełminiak

Sławne nazwisko to nie wszystko. Zamek Królewski na Wawelu wabi jednak wystawą „Nie tylko Bruegel i Rubens”, na Zamku Królewskim w Warszawie rządzą zaś „Caravaggio i inni mistrzowie”

■ pokazano „Złożenie do grobu”, uznano to za kulturalne wydarzenie roku.

TRIUMF SKANDALISTY

Gwiazda Merisiego rozbłysła w roku 1600. Europa była już zmęczona manieryzmem. Nikt jednak nie przypuszczał, że nowe objawi się w kaplicy Contarellich rzymskiego kościoła San Luigi dei Francesi. Decyzja, by jej ściany zamiast fresków ozdobiły obrazy olejne, okazuje się brzemienne w skutki. Dzieła mało znanego artysty z Lombardii wywołują sensację, lecz opiekunowie świątyni wcale nie są zachwyceni. Caravaggio musi dostarczyć drugą wersję „Świętego Mateusza i anioła”. Pierwszą uznano za trywialną. Historia powtarza się w kościele Santa Maria del Popolo, jednak malowidła oprotestowane przez skarbnika papieża natychmiast kupuje inny kardynał.

Naturalizm jednych odpycha, innych przyciąga. Najbardziej zaintrygowani są koledzy po fachu. Oglądają prace Lombardczyka i bez skrupułów kradną jego pomysły. Po 10 latach geniusz skandalista jest już martwy, a po 50 nikt już o nim nie pamięta. Trzy wieki później świat czci gigantów baroku: Rembrandta i Velásqueza, ignorując człowieka, który ich inspirował. Merisi nawet w oczach rodaków uchodzi za artystę drugorzędneho.

Zmieni to dopiero Roberto Longhi, autor fundamentalnych opracowań o włoskim baroku. Caravaggio był bohaterem jego pracy magisterskiej. W roku 1951, przy okazji wystawy



Caravaggio, „Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w Mediolanie, Longhi – rzucając na szalę swój autorytet uznanego historyka sztuki – proklamował ulubieńca „pierwszym malarzem epoki nowożytnej”. Dziś stwierdzenie, że twórca „Niewiernego Tomasza” odmienił europejskie malarstwo, jest truizmem.

Nie czarujmy się jednak, jego powrót z niebytu byłby mniej widowiskowy, gdyby jako człowiek miał lepszą reputację.

Ciemna strona życia fascynuje. Do mniemany biseksualista, niewątpliwie awanturnik, skonfliktowany z otoczeniem arogant zawsze wzbudzi większe zainteresowanie niż koleżeński i pocziwy ojciec rodziny. Już współcześni twierdzili, że charakter Lombardczyka odbija się w jego dziełach: gwałtownych, operujących skrajnościami, zmysłowych i makabrycznych, uduchowionych i przyziemnych, pięknych i brzydkich zarazem.

CO WIDAĆ W KAŁUŻY

„Odkrywca” Caravaggia pisał o sztuce i namiętnie ją kolekcjonował. Sto lat temu we włoskich antykwariatach, a nawet na targowiskach można było tanio kupić barokowe obrazy, zwłaszcza jeśli były w kiepskim stanie, anonimowe i niewielkich rozmiarów. Po śmierci Longhiego pieczę nad zbiorem przejęła fundacja, która obwozi go po świecie. Do Warszawy dotarło 45 płócien z 250 zgromadzonych przez krytyka w jego willi we Florencji. Wystawę pilotuje „Chłopiec gryziony przez jaszczurkę”, młodzieńcze dzieło Caravaggia. Ma ono brata bliźniaka w londyńskiej National Gallery. Powód był banalny – artysta pilnie potrzebował gotówki.

Wersja florencka powstała jako pierwsza. Potwierdza, że Merisi był mistrzem w oddawaniu emocji.

Kopia „Chłopca obierającego owoc” (oryginał się nie zachował) dla odmiany urzeka prostotą. Już po otwarciu wystawy na Zamek dotarł „Narcyz przy źródle”, wypożyczony z Palazzo Barberini w Rzymie, dość nietypowy dla imaginarium Caravaggia. Jego postaci zazwyczaj zwracają się do widza. Tymczasem zakochany w sobie młodzieniec, pochylony nad brudną kałużą, publikę ma w pogardzie.

Paradoksalnie bardziej od płócien mistrza rzucają się w oczy dzieła jego naśladowców i poprzedników. Caravaggio przełamywał konwencje, ale sam też ulegał wpływom, na przykład sztuki weneckiej. Pod niektórymi względami był artystą bardziej flamandzkim niż włoskim. Weryzm graniczący z turpizmem, upodobanie do scen łotrzykowskich, martwej natury i malarstwa rodzajowego kojarzyły się z północną Europą. Lombardia, z racji handlowych i politycznych związków z Niderlandami, była bardziej podatna na owe trendy niż inne części Italii.

Zacznijmy jednak od Wenecjan. Lorenzo Lotto, na wystawie reprezentowany przez cztery konterfekty świętych, podobnie jak Merisi rozwiązywał problem oświecenia. Upiorny obraz Battisty del Moro z Werony „Judyta z głową Holofernesa” to zapowiedź „Dawida z głową Goliata” Caravaggia. Dekapitacja fascynowała ówczesnych artystów i mecenasów, co widać również na warszawskiej wystawie. Z kolei „Handlarki drobiem” bolońskiego malarza Bartolomeo Passarottiego świadczą, że już w XVI w. we Włoszech uznaniem cieszyli się realiści ze skrzywieniem satyrycznym. Merisi mógł znać to krotochwilne płótno, bo należało do jego mecenasa.

MEMENTO W SYPIALNI

Geniusz z Mediolanu nie miał uczniów. Longhi zamiast o „szkole” wołał mówić o „kręgu Caravaggia” – malarzach stawiających na patos, ekspresję i chiaroscuro (z naturalizmem już różnie bywało). Powiedzmy sobie od razu: zaliczanie ich do artystycznej drugiej ligi jest krzywdzące. Prace caravaggionistów, często mylone z dziełami mistrza, eksponują najśłynniejsze światowe muzea. Dla kolekcjonerów pokroju Longhiego były nieosiągalne.

W katalogu warszawskiej ekspozycji brakuje tak sztandarowych postaci jak: Bartolomeo Manfredi, Francesco



Jusepe de Ribera, „Święty Tomasz”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Buoneri, Giovanni Baglione, Antiveduto Gramatica, Orazio Gentileschi i jego córka Artemisia.

Orazio Borgianni („Opłakiwanie Chrystusa” i „Święta Rodzina z prorokinią Anną”) równie chętnie jak Merisi wdawał się w uliczne burdy. Niedawno uczczono go monograficzną wystawą w rodzinnym Rzymie. Przyjaciół Orazia, Carlo Saraceni, był bardziej wszechstronny. Dekorował Pałac Kwirynalski i Pałac Dożów w Wenecji. Longhi cenił go za dopracowaną kolorystykę i „wyczucie kształtu rzeczy”, lecz krytykował za „wewnętrzną pustkę”. Chętnie kopiowana w XVII w. „Judyta z głową Holofernesa” to wykapywany Caravaggio, „Znalezienie Mojżesza przez córki faraona” – wręcz przeciwnie.

Ze wszystkich innowacji Lombardczyka największą karierę zrobił luminizm. Wyrafinowanym światłocieniem popisywali się artyści tak różni jak Filippo di Liagno („Nocny biwak w blasku księżycy”), Giovanni Battista Caracciolo („Złożenie do grobu”), Francesco Cairo („Judyta z głową Holofernesa”) czy Gioacchino Asseireto („Samsona i Dalilę” Longhi wytropił w Anglii). Płótno Giacinta Brandiego, przedstawiające płaczącego kartuza z czaszką w dłoni, kolekcjoner powiesił w sypialni, naprzeciw łóżka. Obraz „Zuzanna i starcy” zapewne zdobił salon, bo jego autor był jednym z ulubionych artystów Longiego. Mattia Preti może też pretendować do miana ostatniego caravaggionisty. Umarł na Malcie w 1699 r.

KĄPIEL W FONTANNIE

Włosi mają na wystawie miazdzącą przewagę, lecz warto zwrócić uwagę na prace artystów urodzonych poza Italią. To oni zarazili Europę caravaggionizmem. Hiszpan Jusepe de Ribera, osiadły w Neapolu, w kręgach znawców cieszy się zasłużoną estymą. Charakter miał paskudny, co dobrze wróży jego popularności wśród laików. Longhi dostrzegł w portretach czterech apostołów podobieństwo do stylu młodego Velázqueza. Prawdziwego autora – Ribera – zidentyfikowano dopiero w XXI w.

Malarze z Utrechtu – Dirck van Baburen („Pojmanie Chrystusa”) i Gerrit van Honthorst („Czytający mnich”) – przybyli do Rzymu zbyt późno, by poznać mistrza, lecz obracali się w kręgu jego znajomych i mecenasów. Gerrit zasłynął jako mistrz nokturnu, zyskując przydomek Gherardo della Notte. Jego uczeń, Matthias



Stom („Zapowiedź narodzin Samsona” i „Uzdrowienie Tobiasza”), działał w całej Italii – od Sycylii do Wenecji.

Obrazy z warszawskiej wystawy są trochę nietypowe. Przybysze z Niderlandów celowali w tematach rozrywkowych, sławiąc pędzlem uroki doczesnego życia, wesołe chwile spędzane w towarzystwie kobiet, z gitarą lub kielichem wina w ręku.

Wszystkich cudzoziemców, którzy na początku XVII w. terminowali w Rzymie, talentem przebijał Francuz Valentin de Boulogne. Jego „Zaparcie się św. Piotra” to arcydzieło, chociaż biblijny motyw jest pretekstem do sportretowania grupy wojaków grających w kości na stole, będącym wiekiem starożytnego sarkofagu (szczegół, który musiał zadziwić nie-Włocha). Trudno nie zauważyć podobieństwa tej sceny do „Powołania św. Mateusza” Merisiego.

Pewnej sierpniowej nocy de Boulogne, wracając z hulanki, wykapał się dla ochłody w fontannie del Babuino. Dostał gorączki i po kilku dniach umarł. Miał 41 lat. Borgianni i Saraceni żyli o rok dłużej. Manfredi i di Liagno o rok krócej. Van Baburen nie dotrwał nawet do trzydziestki. Fakt, że kostucha upomniała się o 38-letniego Caravaggia, dziwić może tylko ludzi mających blade pojęcie

o ówczesnym poziomie higieny i medycyny. W dodatku o większości artystów nie da się powiedzieć, że prowadzili zdrowy tryb życia.

Po śmierci geniusza z Mediolanu świat się nie skończył. Rzymscy malarze zwrócili się ku tradycji tym chętniej, że dla większości z nich caravaggionizm był tylko epizodem. Szkoły wenecka i bolońska przeżyły renesans, „ciemna maniera” ustąpiła miejsca rozjaśnionej palecie, naturalizm – barokowemu klasycyzmowi. Wpływ Merisiego nigdy nie był zresztą dominujący, wielu estetów wyżej ceniło sobie liryczny styl Carraccich.

W Niderlandach coraz jaśniej świeciła gwiazda Rubensa. W Italii lukę wypełnili przedstawiciele młodego pokolenia: Guido Reni, Domenichino czy Nicolas Poussin. Ten ostatni pozwolił sobie na uwagę, że Caravaggio przyszedł na świat, żeby zniszczyć malarstwo. Północna Europa nadal uznawała kulturowo-cywilizacyjną wyższość Południa. Miało się to jednak wkrótce zmienić. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Caravaggio i inni mistrzowie” na Zamku Królewskim w Warszawie można oglądać do 13 lutego.

Wystawa „Nie tylko Bruegel i Rubens. Malarstwo Niderlandów na Wawelu” jest czynna do 27 lutego.

Bardzo wielka wina



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Hazardzista” to prowokacyjny głęboki moralitet współtwórcy filmów „Taksówkarz” i „Ostatnie kuszenie Chrystusa”

W sztucznym świecie fałszywych obietnic szybkiego zarobku czuje się jak ryba w wodzie. Podróżuje od kasyna do kasyna, czasem przegrywa, czasem wygrywa. Częściej wygrywa. Zarabia na życie cierpliwością i ostrożnością. Cierpliwość potrzebna jest do liczenia kart w par-

tiach blackjacka, ostrożność podpowiada, kiedy odejść od stołu. „Właścicielom kasyn nie przeszkadza, że wygrywasz – powiada Will. – Przeszkadza im, kiedy wygrywasz za wiele”.

Życie Williama (wielka rola Oscara Isaaca) poza ścianami kasyn nie jest ani odrobinę interesujące. Godziny w samochodzie, drink w barze i kolejny tani motel. Wieczorem kilkaset dolarów do ugrania, to wszystko. Ciekawie się robi, gdy podążamy za nim do wnętrza najętego pokoju. Dlaczego zdejmuje ze ścian obrazy i odłącza telefon? Czemu owija wszystkie sprzęty w białe płachty płótna? Czy to psychol ogarnięty ciężką nerwicą natręctw? Może poszukiwany przestępca, który z ostrożności nie chce pozostawiać śladów? A może dopiero szykuje się do zbrodni i podejmuje

zawczasu środki ostrożności, by krew jego ofiary nie splamiła motelowych dywanów. Will jest człowiekiem dotkniętym ciężką traumą, widzimy to od pierwszej chwili. Ale dlaczego?

„Hazardzista” to powrót Paula Schradera, jednej z najważniejszych figur amerykańskiego kina minionego półwiecza. Schrader najbardziej znany jest ze współpracy z Martinem Scorsese, napisał scenariusze do jego filmów „Taksówkarz”, „Wściekły byk”, „Ostatnie kuszenie Chrystusa” i „Ciemna strona miasta”. Godne uwagi są także dokonania reżyserkie Schradera: „Mishima”, „Amerykański żigolak”, „Margines życia”, „Prywatne piekło” z wielkimi rolami Nicka Nolte'ego i Jamesa Coburn (tego ostatniego nagrodzono zresztą Oscarem).

Ostatnia dekada nie była dla Schradera łaskawa, poczynając od filmu „The Canyons” – nieudanej współpracy z pisarzem skandalistą Bretem Eastonem Ellisem (tym od „American Psycho”). Był fatalny thriller „Zanim nadejdzie noc”, zniszczony ostatecznie wojną między producentami a reżyserem (Schraderowi odmówiono wpływu na ostateczny kształt filmu), równie słaby był film kolejny, „Geniusze zbrodni”. I kiedy już wydawało się, że długa kariera Schradera dobiega końca (nawet bardzo długa – wspomnijmy, że pierwszy film, do którego współtworzył scenariusz, to surowy dramat kryminalny „Yakuza” z 1974 r.), wielki moralista amerykańskiego kina powrócił znakomitym „Pierwszym reformowanym”, dramatem, który przyniósł Schraderowi pierwszą w życiu nominację do Oscara za scenariusz.

„Hazardzistę” wiele łączy z „Pierwszym reformowanym”, obydwa są – jak mówi sam autor – jego „filmami dziennikowymi”, obydwa wywiedzione są z głębokiej fascynacji Schradera kinem Roberta Bressona, szczególnie filmem „Pamiętnik wiejskiego proboszcza”. Dotyczy to zarówno chwytu formalnego, jak i rozterek głównych bohaterów. Zaczynając od formy: tak jak książka z filmu Bressona, również bohaterowie dwóch ostatnich filmów Schradera odsłaniają swą duszę, prowadząc zapiski, obserwujemy ich na ekranie pochylonych nad kartkami, wypowiadają na głos (spoza kadru) swoje wątpliwości. „Nie sądzę, bym robił coś niewłaściwego, opisując codziennie z pełną szczerością najprostsze i najmniej istotne sekrety codziennego życia, w którym brakuje śladów jakiegokolwiek tajemnicy” – pisze książka na początku filmu Bressona. „Wiem, że nic nie mogę zmienić, i wiem, że nie ma nadziei” – rozważa słowa Thomasa Mertona bohater „Pierwszego reformowanego” – również książka. Zarazem zastanawia się jednak, czy rozpacz nie jest następstwem wielkiej pychy, przeświadczenia, że wiemy lepiej od Stwórcy, jak świat powinien być ułożony.

ODMIENIĆ LOS

William Tell, bohater „Hazardzisty” (nazwisko nieprzypadkowe, wszyscy zwracają się do niego „Will Tell”, tak jak w zwrocie „will tell” – „opowie”), nie jest księdzem, ale jego wątpliwości są równie głębokie. Nie wypływają z tęsknoty za

absolutem, ale z własnego smutnego doświadczenia. Ten samotny wędrowiec po świecie sztucznych światła i miraży bogactwa ma za sobą wieloletni pobyt w więzieniu. Tam nauczył się karcianego fachu, ale tam też czuł się na swoim miejscu. Jest bowiem Will człowiekiem winnym, człowiekiem grzesznym, człowiekiem, który dopuścił się wielkiego zła. W oczach społeczeństwa odkupił winy – odsiedział swój wyrok. Ale to za mało. On nadal czuje się winny, może nawet niewart życia. A w każdym razie przekonany jest, że życie nic już mu przynieść nie może, bo on sam na to nie zasługuje. Zaczynamy rozumieć, że jego obsesyjne przekształcanie wnętrza motelowych pokojów to dążenie do kontynuowania życia w celi. Jednak Will żyje na co dzień w innym więzieniu: celi, którą zbudował we własnym umyśle.

Fatalnie wypada polski przekład tytułu. „Hazardzista” sugeruje opowieść o ryzykancie, który wszystko rzuca na jedną szalę, lub przynajmniej o człowieku uzależnionym od hazardu. Żadne z tych wy tłumaczeń nie pasuje do Willa. „The Card Counter” – tytuł oryginalny – jest oczywisty, bo bohater specjalizuje się w zapamiętywaniu i liczeniu kart w kasynie. Ma jednak drugie dno: wszyscy patrzymy w karty, które rozdał nam los, czekając, aż przyjdzie ta jedna, która ów los odmieni. Na co czeka Will?

Dochodzimy tu do wielkich kłopotów ze zrozumieniem nowego filmu Schradera. Recenzenci (także polscy) skupiają się na warstwie doraźnej. Skoro reżyser opowiada, że zbierał wspomnienia weteranów wojny w Iraku, że długo z nimi rozmawiał, że zagłębiał się w te traumy, to film jest rozliczeniem z amerykańską interwencją na Bliskim Wschodzie. Will, młody obiecujący żołnierz, trafił niegdyś pod skrzydła doświadczonego oficera, który uczynił z niego specja od tortur w więzieniu Abu Ghraib. Ale kiedy ponura prawda wyszła na jaw, konsekwencje ponieśli tylko ci, którzy wykonywali rozkazy – jak Will i jego koledzy z oddziału. Ci, którzy wydawali polecenia, pozostali w cieniu – tak jak nie ma ich na zdjęciach, które pogrążyły bohatera „Hazardzisty”. Bezkarci zleceniodawcy; system, który dopuszcza się zła, a przecież „rękę karaj, nie ślepy miecz”. Will ślepy narzędziem nie był – stąd głębia jego dramatu. Ocalił człowieczeństwo, ale to oznacza, że skazał się także na piekło wyrzutów sumienia. Żyje dalej, ale pozostaje poza

odkupieniem, bo jego winy – przynajmniej jego zdaniem – są niewybaczalne.

DROGA DO ODKUPIENIA

Wypada więc odrzucić publicystykę i zauważyć, że prawdziwe dramaty i prawdziwe zbrodnie są tu pretekstem, to nie jest film rozliczeniowy o Iraku, to jest traktat filozoficzno-religijny, w którym padają pytania o pochodzenie zła, o to, czy świat jest miejscem opuszczonym przez Boga, i gdzie, w takim razie, szukać ratunku. „Hazardzista” to moralitet. Ujrzyście w mi siły, które walczą o duszę Willa.

Podobnie jak bohater „Taksówkarza”, którego obsesją stało się ocalenie młodocianej prostytutki, tak i Will w „Hazardzisty” widzi swoją szansę na odkupienie win i uczynienie życia lepszym przez ocalenie niewinnej duszy przed grzechem. W tym przypadku grzechem śmiertelnym, bo młody Cirk (Tye Sheridan) planuje zbrodnię. Celem jest diabeł we własnej osobie, celem jest kusiciel (niewielka, lecz jakże znacząca i mocna rola Willema Dafoe), ów oficer, który wprowadził do piekła także Willa. Czego chce od nas Pan? – to pytanie nie pada wprost w „Hazardzisty”, ale film jest nim przesiąknięty, podobnie jak inne filmowe moralitety Schradera. Boga jest sprawiedliwość. Lecz kto ma ją wymierzać? Gdzie jest droga do odkupienia? Do ocalenia? Widziałem ostatnio w „Rzeczpospolitej” recenzję „Hazardzisty” zatytułowaną „Zemsta na oficerze z Iraku”. To mniej więcej tak, jakby tekst poświęcony „Zbrodni i karze” Dostojewskiego zatytułować „Fascynująca zagadka kryminalna – kto zabił?”.

Tak jak w finale „Pierwszego reformowanego”, tak i tutaj odpowiedzią jest miłość (wśród ważnych postaci dramatu „Hazardzista” mamy wszak i La Lindę graną przez Tiffany Haddish). Co ciekawe, część recenzentów odrzuca ten finał jako... No właśnie: nazbyt oczywisty? Niewiarygodny? Hollywoodzki? Biją kulą w płot. Prawdziwe przesłanie jest bowiem następujące: Choć świat jest zły, nie ma czasu, a w naszych żyłach płynie skażona krew (cytuję teraz argumenty z „Dziennika wiejskiego proboszcza”), to wciąż wystarczy, by z trójcy wiara, nadzieja, miłość ocalić choć jedno. Gdy tak się stanie, podążą za nim i dwa człony pozostałe. Tam gdzie miłość, przyjdzie więc i nadzieja – dopowiada Schrader.



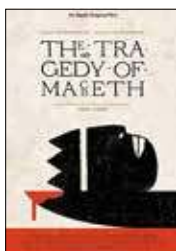
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Coś złego nadchodzi



★★★★★

REŻ. JOEL COEN
„TRAGEDIA MAKBETA”
 („THE TRAGEDY OF MACBETH”)
 USA 2021

wyst. Denzel Washington,
 Frances McDormand

Nakręcony w całości w studiu „Makbet” w wersji jednego z braci Coen (Joela, bo Ethan na razie odpoczywa) to skrzyżowanie ekspresjonistycznego teatru telewizyjnego z filmem. Nakręcony w całości w studiu, w czerni i bieli, przypomina hipnotyzujący krwawy sen. To podejście sprawdza się doskonale, atmosfera jest ponura, posępna (choć przepiękne) obrazy oddają mroki duszy głównych bohaterów. Rzecz zagrana została koncertowo: w roli głównej błyszczy Denzel Washington, lady Makbet zagrała Frances McDormand, jedna z ulubionych aktorek braci Coen.

Uczynienie z najważniejszych figur dramatu postaci mocno doj-

rzałych, by nie powiedzieć: u progu starości, dodaje tekstowi Szekspira nową, ciekawą warstwę znaczeń. Bezdietne małżeństwo w śnie o koronie widzi ostatnią szansę na dokonanie czegoś znaczącego w życiu pustym i mającym wkrótce dobiec końca. Świat Makbeta jest pusty, w jego zamku ponure korytarze ciągną się w nieskończoność, wielkie schody prowadzą donikąd, w komnatach i w krużgankach nikt na nikogo nie czeka. Marzenie o tronie to wołanie o sens, to próba – zapewne ostatnia – odcisnięcia swojego śladu na piaskach historii.

Ta próba racjonalizacji w niczym nie może umniejszać grozy czynów, których dopuściły się główne figury tej tragedii. Joel



Coen nie szczędzi nam drastycznych obrazów. Wszystkie jednak pobite zostają na głowę przez dwie sceny, w których pojawia się wiedźma wróżąca Makbetowi przyszłość. Gra ją Kathryn Hunter, znakomita aktorka i reżyser teatralna, słynąca z mistrzowskiego panowania nad gestem. To, co robi na ekranie, jest nieprawdopodobne i absolutnie przerażające. Oscar za rolę drugoplanową byłby tu jak najbardziej na miejscu.

Tekst został mocno skrócony, dostajemy słynny dramat w wersji kompaktowej, ale najważniejsze elementy zostały zachowane. Joel Coen dodał też trochę od siebie (wilcze prawo interpretatora), decydując o tym, że ważne zadanie do spełnienia będzie miał Ross, jeden z tanów Makbeta (nawet dwa ważne zadania). Film zapisze się w historii jako jedna z najciekawszych kinowych wersji „Makbeta”, ale jednocześnie trudno nie dostrzegać w nim dzieła charakterystycznego dla braci Coen (tu: jednego z braci). Ich filmy to przecież moralitety o ludziach, których jeden zły wybór, jedno zbyt śmiałe marzenie prowadzi w otchłanie występku. ©©



NOWE SERIALE: „MISTRZOWIE MISTRYFIKACJI”

Trzyczęściowy serial true crime Netflixa jeży włos na głowie, choć jego bohaterem nie jest żaden seryjny morderca, tylko czarujący z sąsiedztwa. Robert Hendy-Freegard był mistrzem manipulacji. Przystojny, inteligentny, bez trudu okręcał sobie wokół palca kolejne kobiety, wmawiając im, że jest tajnym agentem w służbie

MIS. Ta mistryfikacja służyła ukrywaniu prawdy o sobie samym i budowaniu sieci kłamstw, a potem praniu mózgów osób, nad którymi zdobywał władzę absolutną. Ostatecznie zaś zawsze chodziło o pieniądze. ©©

Piotr Gociek

• reż. Sam Benstead, Gareth Johnson
 „Mistrzowie mistryfikacji”

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• reż. Eytan Rockaway „Lansky”; USA 2021



• sezon 1 „Ktoś, gdzieś” („Somebody Somewhere”), USA 2021



• reż. Marco Pontecorvo „Fatima”, Portugalia/USA 2020

premiera DVD VIDEO

Mentalista 1941

KINO

Świat się kończy. Guillermo del Toro przestał być manierystą i nakręcił film pozbawiony łopatologicznego przesłania. Co nie znaczy, że z ekranu wieje akademickim chłodem. Obstawiam, że to odstępstwo jednorazowe i skruszony

to pozbawiony skrupułów self-made man. Nauczysz się od wędrownych kuglarzy odgadywać ludzkie sekrety i pragnienia, karierę naciągacza kontynuuje w Nowym Jorku. Fałszywa nadzieja, jedyny towar, który ma na



★★★★★
REŻ. GUILLERMO DEL TORO
„ZAUŁEK KOSZMARÓW” („NIGHTMARE ALLEY”)
USA 2021

wyst. Bradley Cooper, Rooney Mara, Cate Blanchett

zbyciu, sprzedaje się znakomicie. Stanton znajduje godną siebie konkurentkę-współniczkę. Imię owej femme fatale – Lilith – powinno go zaniepokoić, ale, jak wiadomo, cmy lecą do ognia, pycha zaś kroczy przed upadkiem. Los hochsztaplera, ściganego przez demony przeszłości, od początku jest przesądzony. Pozostaje więc podziwiać grację, z jaką del Toro i jego aktorzy poruszają się w bezlitosnym, choć stylowym świecie kryminału retro. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHODŹMY DO ALTANY

KINO

Alexandre to błyskotliwy, utalentowany i trochę zarozumiały student. Gdy na prośbę matki zaprasza córkę jej partnera do pubu, wszyscy wydają się zadowoleni. Tymczasem o poranku Mila zgłasza się na posterunek policji, twierdząc, że padła ofiarą gwałtu. Chłopak zaprzecza, jednak młynów sprawiedliwości po ich uruchomieniu zatrzymać nawet Herkules nie zdoła. Najpierw poznamy wersję obwinionego, potem oskarżającej. Komu wierzyć? Drzwi altany, w której doszło do brutalnego wymuszenia czy niezobowiązującego seksu, pozostaną dla widzów zamknięte. Łatwo jednak zgadnąć, że następstwa afery będą fatalne dla każdego (z wyjątkiem orłów Temidy, którym głośne procesy pomagają w karierze). Strach pomyśleć, co by z takim tematem zrobili nawrócenia na feminizm specje z Hollywood. Francuzi podeszli doń z ambiwalencją cechującą ludzi dojrzałych. Czyżby kino europejskie miało jednak przed sobą przyszłość?



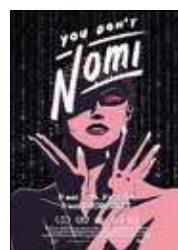
★★★★★
REŻ. YVAN ATTAL
„OSKARŻONY” („LES CHOSES HUMAINES”)
FRANCJA 2021

wyst. Ben Attal, Suzanne Jouannet, Charlotte Gainsbourg

WOJOWNICZKA Z VEGAS

Milęjkam
DOCS
AGAINST
GRAVITY

W 1995 r. Paul Verhoeven, cynik i skandalista, pozuający na awangardowego artystę, rozzuchwalony powodzeniem swych poprzednich projektów (zwłaszcza „Nagiego instynktu”) stracił instynkt – samoza-chowawczy. Po premierze „Showgirls” krytycy wdeptali go w ziemię. „Mizoginistyczna szmira”, „Popis onanizmu”, „Najmniej seksowny film w historii”. Laureata siedmiu Złotych Malin oglądano dla beki, ale z czasem co poniektórzy dostrzegli w nim zakonspirowane arcydzieło, ewentualnie satyrę na chory stosunek jankesów do goliżny i przemocy. W kręgach LGBT film stał się kultowy. Feministki też przestały nań psioczyć, gdy zauważyły, że wszyscy faceci pojawiający się na ekranie są obłeśni, a striptizerka Nomi to nieustraszona wojowniczka, chociaż puszczałska. Autorzy dokumentu trochę dali się zwariować. Bądźmy jednak uczciwi – kicz okraszony dezynwolturą potrafi siać spustoszenie w najtęższych umysłach. ©©



★★★★★
REŻ. JEFFREY MC HALE
„TAJEMNICE SHOWGIRLS” („YOU DON'T NOMI”)
USA 2019

recenzuje Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „RAINBOW SIX: EXTRACTION”

„Rainbow Six”, w którym zamiast z drużyną graczy walczyć w kooperacji przeciw sztucznej inteligencji? Tak po trzykroć! „Rainbow Six”, w którym walczyć z czymś w rodzaju... kosmicznych zombi? Meh! Z mocno ambiwalentnymi uczuciami podszedłem do najnowszej odsłony serii

i chciałbym napisać, że przekonałem się do tego pomysłu w stu procentach, ale tak nie jest. Nadal wolalbym mniej SF w fabule, ale jeśli komuś to nie przeszkadza i lubi taktyczne shootery, to będzie zachwycony. Choć trzeba nastawić się na wysoki poziom trudności. Nie ma lekko, w świecie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

opanowanym przez pozaziemską bakterię każde zwycięstwo wymaga wysiłku. Ale dzięki temu lepiej smakuje. ©© **Radosław Wojtas**
• Gatunek: Taktyczny FPS
• Platforma: PC, XSX, XONE, PS5, PS4
• Producent, wydawca: Ubisoft

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jedyny stan polskiej duszy

Rzeź wołyńska datowana jest na okres od lutego 1943 do lutego 1945 r. O tym, że jest to nieprawda, przekonuje Stanisław Srokowski w „Widmach nocy”, będących – zgodnie z podtytułem książki – dokumentacją ludobójczej zbrodni dokonanej na Kresach na ludności polskiej przez Ukraińców między – uwaga! – 1939 a 1947 r.

W tej bardzo osobistej, pełnej własnych i rodzinnych kresowych wspomnień, w jego wypadku głównie z Podola – pisarz urodził się bowiem w Hnileczach, w powiecie Podhajce – pomieszczone są dowody masowych mordów, które miały miejsce w sumie na terenie aż siedmiu województw, w tym także na obrzeżach lubelskich, poleskich i krakowskich. Tylko we wrześniu 1939 r., zdaniem badającego problem Stanisława Żurka, w wyniku ataków ukraińskich straciło tam życie 6–8 tys. Polaków. Stanisław Srokowski uważa zresztą, że jest to rachunek zaniżony. Ofiarami zbrodni byli polscy mieszkańcy kresowych wsi oraz nasi żołnierze wracający z wojny.

Pandemonium rozpiętało się więc znacznie wcześniej, niż wskazują prace poważnych, zdawałoby się, historyków. W Szumlanach, wiosce w tym samym powiecie Podhajce, w nocy z 18 na 19 września 1939 r. – czytamy w przedstawionych przez autora „Widm nocy” materiałach – „miejscowi nacjonaliści ukraińscy inspirowani przez działaczy OUN dokonali napadu na zagrody polskie. Zabijali wszystkich, od niemowląt do starców, przy użyciu siekier, wideł, kołków, broni palnej, także pałac żywcem. Masakrę tę przerwało dopiero wejście wojsk Armii Czerwonej”.

To Kresowiaci ponieśli w czasie wojny największe straty. Z rąk kolejno zmieniających się okupantów, a także za sprawą tego może



FOT. GRZEGorz BUKALA/REPORTER

najokrutniejszego wroga, bo domowego, zdawałoby się oswojonego. A bronić się przed nim nie było jak: „... kiedy lud ten był masowo wyrzynany w akcjach ludobójczych przez bandy ukraińskie, państwo polskie nie było w stanie go uratować, bo już nie było państwa polskiego, a podziemne państwo wtedy jeszcze na Kresach nie istniało, bowiem Armia Krajowa zaczęła się organizować na Wołyniu dopiero w połowie 1943 roku. A kiedy nadchodziła kulminacyjna fala mordów, czyli 11 lipca 1943 roku, w tym województwie zaczęły powstawać załążki podziemia akowskiego. Większa jednostka utworzona w akcji »Burza«, 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK, powstała dopiero w marcu 1944 roku i liczyła jedynie 6 tysięcy żołnierzy, a Wołyn już w tym czasie został wymordowany. Z centralnej Polski AK przysłało tylko 20 ludzi”. Niestety, dowództwo Armii Krajowej nie stanęło na wysokości zadania, marginalizując znacznie tego, co działo się na Kresach i skupiając się – wyłącznie! – na walce z Niemcami, bo już drugiego, sowieckiego okupanta traktując zgoła inaczej. Dość poczytać Józefa Mackiewicza.

Stanisław Srokowski, wybitny prozaik (m.in. „Nienawiść”, „Zdrada”, „Ukraiński kochanek”) i poeta, pomysłodawca i współtwórca słynnego już filmu Smarzowskiego „Wołyń” (o czym ciekawie pisze w „Widmach nocy”), nie tylko pisarstwem, lecz także swoją działalnością (w Solidarności Walczącej, Towarzystwie Miłośników Kultury Kresowej) upomina się o sprawiedliwość dla tych, którym w godzinie najcięższej próby nikt nie przyszedł z pomocą, a ci, którzy cudem przeżyli rzeź, „zostali wyrzuceni ze swojej ziemi, ze swojej ojczyzny, wygnani jak psy, w bydlęcych wagonach”.

Ten odważny, mądry człowiek ostrzega: „Patrzmy [...], kto narodowi pomaga, a kto szkodzi. I nie sądzmy, że zło idzie tylko od Wschodu. Zło idzie już z wielu stron naraz, osacza nas, przymila się, rozdaje nagrody, uśmiecha się do nas, lansuje i podciąga do góry miernoty, które mu służą. Biorą z graniczne stypendia, nagrody i służą już obcym panom, idąc na pasku cudzych i często chorych ideologii, choć krzyczą, że to nieprawda.

Tak Polska zanika i znika w samych Polakach”.

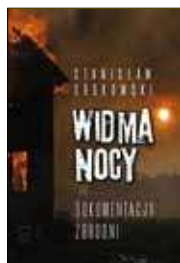
A w wierszu „Zamordowani oddychają”, z jego najnowszych tomów poetyckiego „Ciszo, milcz! Bólu, mów!”, pisze:

Poeta do każdej metafory jak do dołu śmierci wrzuca odrąbane głowy, krwawe sny, ciężkie westchnienia, a noc połyka stropy.

Wygnanie to jedyny stan polskiej duszy.

*Zamordowani oddychają
W naszej mowie, w piwnicach słów,
W kryjówkach niechcianych wierszy.*

*A czarne dziury ciszy
wciągają w głębię siebie
nasze lęki
i gaszą światła poezji. ©*



★★★★★

STANISŁAW
SROKOWSKI
„WIDMA NOCY.
DOKUMENTACJA
ZBRODNI”
FRONDA,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koszmar szczęśliwości

Przysadzisty szary budynek o zaledwie trzydziestu czterech piętach. Nad głównym wejściem napis: »Ośrodek Rozrodu i Warunkowania w Londynie Centralnym«, na tablicy zaś wyryte hasło Republiki Świata: »Wspólność, Identyczność, Stabilność«. Tak brzmiały pierwsze zdania powieści „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya, która ukazała się w Londynie 1 lutego 1932 r. – 90 lat temu.

Huxley i Goerge Orwell („Rok 1984”) w odstępie niepełna dwóch dekad stworzyli dzieła fundamentalne dla zrozumienia cywilizacyjnych przemian i zagrożeń wieków XX i XXI. W rocznicę premiery „Nowego wspaniałego świata” zachęcam, by wrócić do tej lektury. Książka nie zestarzała się wcale. Może warstwa fabularna wydaje się staroświecka, natomiast styl jest prosty i czysty, wywód pozostaje klarowny.

Podobnie jak rozważania francusko-rosyjskiego Alexandre’a Kojève’a, które po latach podjął Francis Fukuyama w „Końcu historii i ostatnim człowieku”, diagnoza Huxleya wynikała z lęków charakterystycznych dla lat 20. i 30. XX w. Istnienie Związku Sowieckiego było faktem, strach przed jego ekspansją – realny i uzasadniony. Nawet ci, którzy teorię i praktykę komuni-

zmu uważali za niewłaściwą, niepokoił się zarazem wywołanym masową produkcją i masową kulturą zwyrodnieniem kapitalizmu („fordyzm” u Huxleya). Czy możliwa była fuzja jednego i drugiego? Pół wieku temu rzeklibyśmy: mrzonka! Zimna wojna była przecież walką systemów na śmierć i życie. To, co wydarzyło się po upadku Sowietów, sprawiło, że lęki odżyły.

Ideologia powszechnej szczęśliwości poprzez masową konsumpcję. Dodatkowy bodziec (soma) wypychający masy w ów stan bezmyślnego zadowolenia (nie trzeba nam narkotyku, dostaliśmy mass media i Internet). Usankcjonowanie podziałów klasowych przez biologię (hodowanie ludzi na potrzeby zadań społecznych, jak w mrówisku) – to ostatnie zdawało się czystą fantazją, postęp nauk biologicznych sprawia, że dyktaturę manipulacji genetycznych łatwo sobie wyobrazić. Precz z religią, precz ze sztuką w imię państwa racjonalnego. Absolutny prymat tego, co

państwowe, nad tym, co prywatne i indywidualne. Przesadzam? Kto groźby nie widzi, niech weźmie sobie do serca uwagę Bogdana Barana z posłowia: „Sedno antyutopii Huxleya wyraża się dobrowolnością niewolnictwa. Nawet nie to, że jest ono akceptowane: jego się w ogóle nie dostrzega”. ©©



★★★★★
ALDOUS HUXLEY
„NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT”
MUZA 2019

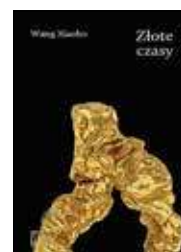
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasyczna praca wreszcie po polsku. Strauss analizuje myśli Machiavellego (przede wszystkim „Księcia”) w ujęciu klasycznym, zatem odrzucając jego tezy o konieczności uwolnienia polityki od moralności. Inspirujące.



LEO STRAUSS
„O MACHIAVELLIM”
TEOLOGIA
POLITYCZNA

Powieść otwierająca najpopularniejszy w dorobku chińskiego pisarza cykl była swego czasu olbrzymią sensacją i skandalem. Stała się dla studentów książką kultową, wymierzoną w fundamenty maoistowskiego kłamstwa.



WANG XIAOBO
„ZŁOTE CZASY”
PIW

Kilka wieków po zagładzie świat pogrążony jest w nowych czasach mroku. Sztejer, twardej „zabijający dla srebra” i bohater trzech powieści, powraca w nowej serii. Polskie postapo w dobrym stylu: bezcelne, zabawne i gorzkie.



ROBERT FORÝŠ
„SZTEJER. KRONIKI TORUNIU”
WARBOOK

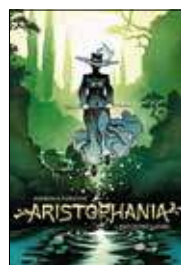
Kolejny zbiór opowiadań o dżentelmenie włamywaczu. Wśród ośmiu tekstów także dwa, w których mierzy się ze słynnym brytyjskim detektywem. Po protestach Conan Doyle’a francuski pisarz zmienił Sherlocka na Herlocka. ©© **poleca Piotr Gociek**



MAURICE LEBLANC
„ARSENE LUPIN KONTRA HERLOCK SHOLMES”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „ARISTOPHANIA”

Pierwszy tom ciekawej serii historyczno-fantastycznej, w której realizm rodem z powieści Zoli czy Hugo łączy się z intrygą pełną złowrogiej magii. Główni bohaterowie, dzieci, których ojciec zginął w tajemniczych okolicznościach, trafiają pod opiekę jeszcze bardziej tajemniczej damy, bogatej i potężnej. Jej moc wiąże się jednak nie tyle z fortuną, ile z czarodziejską siłą zwaną „lazurem”. W cza-



XAVIER DORISON,
JOËL PARNOTTE
„ARISTOPHANIA”
TAURUS MEDIA
2021

sach dominacji amerykańskich komiksowych superbohaterów na dużym i małym ekranie francuskie podejście do tematu jawi się jako niezwykle odświeżające: piękna kreska, ciekawe historyczne tło i subtelna, zwiewna fantazja. ©© **poleca Piotr Gociek**

To, co miało być jednorazowym uwolnieniem twórczej energii, przerodziło się w projekt, który trwa już ładnych parę lat. Joanna Kupczyńska, wokalistka i autorka piosenek, wraz z mężem Łukaszem, poetą, rysownikiem, kompozytorem i multiinstrumentalistą, zdecydowali się stworzyć własny, autorski projekt – miłosną opowieść muzyczną inspirowaną „Pieśnią nad Pieśniami”. Tak przed dekadą powstała płyta „Wejdz”. „Po latach zbierania doświadczeń muzycznych i życiowych postanowili zrealizować swoje twórcze marzenie i wydać album, w którym ważne dla nich duchowe treści zostaną ubrane w kreatywne, a nawet alternatywne brzmienia” – czytamy na stronie Fishecleptic. Owszem – to piosenki z motywem chrześcijańskim, ale przede wszystkim piosenki o miłości.

Ciepłe przyjęcie debiutanciego albumu z pogranicza



FOT. FOT.FISHECLEPTIC.PANPAC

dream indie popu i akustycznego folku sprawiło, że państwo Kupczyńscy nie odłożyli instrumentów do futerałów. Duet zmienił się w trio dzięki dołączeniu do składu gitarzysty Michała Dziuby, rozszerzył działalność studyjną i koncertową. Jest ich troje, ale głównie za sprawą Łukasza Kupczyńskiego instrumentarium mają bogate. Nie tylko w studiu, lecz także na występach na żywo

berze do rąk kilka różnych instrumentów – kontrabas elektryczny, mandolę, mandolinę, skrzypce, banjo, gitarę basową, instrumenty klawiszowe.

Trzy lata po wydaniu pierwszej płyty, w 2015 r., pojawił się drugi, tym razem dwujęzyczny album Fishecleptic pt. „Biorę Ciebie”. W 2018 r. muzycy wydali kolejny autorski album zatytułowany „Jeszcze nie znikaj”, z którym

przebili się na ogólnopolskie anteny radiowe.

Znajdziemy ich na YouTube, znajdziemy w serwisach streamingowych, możemy też posłuchać na żywo. W Warszawie wystąpią w przededniu walentynek w Katolickim Centrum Kultury „Dobre Miejsce” (ul. Dewajtis 3). Szczegóły na: dobremiejsce.org/koncert-fishecleptic. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

By nie zapomnieć

Kiev Office stworzył muzyczne słuchowisko opowiadające o losach Słowińców. Narodu, który przez wieki żył na Kaszubach, a po którym pamięć dziś już prawie zanikła.

Twórczość trójmiejskiego zespołu od początku jest związana z lokalnymi klimatami. Tym razem opowiedzieli o Kaszubach Nadlebskich – Słowińcach. Podobnie jak Warmiacy, Mazurzy, Łemkowie Słowińcy zniknęli ze świadomości przeciętnego Polaka.

„Album opowiada historię wygnania, wykorzenienia, tęsknoty za małą ojczyzną. To elegia za utraconym światem, kolorytem, który zniknął” – tłumaczy wokalista Maciej Bandur, który jest też redaktorem naczelnym kaszubskiego pisma „Skra”. Tytuł „Gjinjenjë”

znaczy znikanie. Bandur napisał kaszubskie teksty, ale na płycie pojawiają się również piosenki śpiewane po polsku i w plattdeutsch, czyli językach, którymi posługiwali się protestanci Kaszubi. W utwory wpleciono nagrania archiwalne, w tym wypowiedź Hermana Koetscha, jednego z ostatnich Słowińców. „To są historie, które wciąż boją, które trzeba opowiadać głośno i krzyć, więc czemu nie do mikrofonu?” – dodaje Bandur.

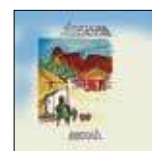
Kiev Office jest gitarowym zespołem indie rockowym, ale na płycie wykorzystał również ludowe instrumenty. Muzycy nie grają na nich w sposób tradycyjny, lecz wplatają ich brzmienie do tworzonej przez siebie mrocznej, nieco jazzującej muzyki psychodelicznej. ©©



★★★★★
BLACK FLOWER
„MAGMA”
SDBAN

Wpisując się w dokonania nowej

londyńskiej sceny jazzowej, belgijski sektek tworzy muzykę multikulturową. Punktem wyjścia dla zespołu jest etiopski jazz modalny, ale też wyłowimy w nagraniach bałkańskie rytmy, afrobrazylijskie voodoo czy brzmienia sufi. Inspirujące.



★★★★★
IMARHAN
„ABOOGI”
CITY SLANG

Tuaregowie, tak jak i rodacy

z zespołu Tinariwen, łączą bluesa i rocka z pustynnym folklorem. Na trzecim albumie Imarhan stawia na akustyczne, melancholijne brzmienia oraz wyraziste wokalne harmonie, nie zapominając przy tym o popowych melodiach. ©©

★★★★★
KIEV OFFICE
„GJINJENJË”
SOUND8

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
RZECZY

FUNDACJA
 STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)



**PARTNER
STRATEGICZNY**

Rządzić to przewidywać



Wojciech Golonka

Na tle ostatnich dekad czy w kontekście globalnych trendów bilans czteroletnich rządów Mateusza Morawieckiego nie wygląda błado, ale z pewnością nie ma powodów do aż takiego samozadowolenia, jakie słycać w rządowej narracji

FOT. ADAM CHŁOSTOWSKI/FORUM

W grudniu ub.r. minęły cztery lata, odkąd Mateusz Morawiecki zastąpił Beatę Szydło na stanowisku prezesa Rady Ministrów. Rocznicą tą, w zasadzie czysto symboliczną, przeszła bez większego echa, niemniej premier – zdaje się – otrzymał z tej okazji okazały prezent od prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Ten bowiem udzielił mu, choć może nie w formie oficjalnej, niemniej dość jednoznacznego „namaszczenia” na następcę i dziedzica swej politycznej schedy. Trudno bowiem inaczej zinterpretować bardzo klarowne słowa z wywiadu, który w tym samym czasie naczelnik udzielił portalowi Interia: „Mateusz Morawiecki to bardzo zdolny, najzdolniejszy człowiek w polskiej polityce. Jak się kogoś takiego ma w składzie, w zespole, to warto, by pracował dla Polski, a nie zabierać mu szansę. Często jego przeciwnicy mają coś przeciwko, bo nie podoba im się, że po prostu jest od nich lepszy. Ode mnie też jest zdolniejszy, ale ja się z tego cieszę”. Ten pisany złotymi literami panegiryk Jarosław Kaczyński spuentował zresztą aluzją do sukcesu pokoleń w polityce, odnosząc się do patriarchy polskiej prawicy, swego własnego onegdaj mentora: „Nawiasem mówiąc, między mną a premierem Morawieckim jest taka sama różnica pokoleń jak między premierem Olszewskim a mną”.

Oczywiście rzeczywista sukcesja po Jarosławie Kaczyńskim może być jak najbardziej, i prawdopodobnie będzie, przedmiotem walk klanów, frakcji i liderów, nie wykluczając nawet rozłamu w partii, czemu zapobiegając zawnaz, naczelnik próbuje maksymalnie wzmocnić pozycję Mateusza Morawieckiego; przy czym robi to słowami, które mogą zadziać jak miecz obosieczny, kiedy patos naraża emfazę na groteskowość. Biorąc bowiem je dosłownie, należałoby dojść do wniosku, że Mateusz Morawiecki to w zasadzie najzdolniejszy polityk doby obecnej, a skoro jest zdolniejszy od Jarosława Kaczyńskiego, to jest zatem także być może najzdolniejszym politykiem III Rzeczypospolitej (z którą skądinąd nie tak po drodze Prawo i Sprawiedliwość, choć budowę owej słynnej IV Rzeczypospolitej partia od dłuższego czasu zarzucała, podobnie jak systemowe reformy państwa).

Ma się rozumieć, Mateusz Morawiecki niewątpliwie należy do grona tych polityków III RP, którzy odnieśli spore sukcesy osobiste (zawodowe...) w polityce, pytanie jednak, czy z błyskotliwą karierą

polityczną wiąże się trwałe dokonania, które rzeczywiście kształtują bieg historii; innymi słowy, jaka jest rzeczywista skuteczność polityczna Mateusza Morawieckiego poza niewątpliwą zdolnością oczarowywania Jarosława Kaczyńskiego. Ten ostatni atut, choć już sam w sobie niebagatelny, jest przecież tylko punktem wyjścia do realizacji dalszych działań, ale nie dokonaniem samym w sobie.

WŁADZA OCZAMI WŁADZY

Zacznijmy od sukcesów osobistych: oto człowiek szerzej nieznan opinii publicznej wspiął się błyskawicznie po szczeblach władzy wykonawczej, zostając na start, po swym wejściu do aktywnej polityki w 2015 r., wicepremierem, a już dwa lata później premierem, zastępując niespodziewanie (przynajmniej w oczach wyborców) na tym stanowisku Beatę Szydło. Jego sukces był tym bardziej spektakularny, że Mateusz Morawiecki dopiero wdrażał się w rolę zawodowego polityka i nie był nawet posłem ówczesnej ósmej kadencji Sejmu, tymczasem w rankingu długości urzędowania na stanowisku prezesa Rady Ministrów, plasując się za Donaldem Tuskiem, zdążył już prześcignąć wszystkich pozostałych premierów III RP, z Jerzym Buzkiem włącznie.

Nie będąc także wieloletnim działaczem partyjnym, odniósł znaczący sukces, gdy już po pięciu latach członkostwa w Prawie i Sprawiedliwości (od 2016 r.), w lipcu ub.r., dołączył do grona wiceprezesów partii, ciesząc się największymi szansami, jak widzieliśmy, na sukces po Jarosławie Kaczyńskim, który w tym roku, zaznaczymy, ukończy 73 lata. Obok wyżej wymienionych osiągnięć osobistych należałoby dodać, że wchodząc do świata polityki, Mateusz Morawiecki posiadał zapewne cenny atut właściwy osobom nieskażonym wieloletnim stażem pracy w polityce, tj. pewną świeżość i trzeźwość osądu, kontakty z doradcami zakorzenionymi w realiach polskiej gospodarki, urozmaicone doświadczenie zawodowe, słowem – kontakt z rzeczywistością społeczną będący warunkiem sine qua non trafnych reform. Jak zatem Mateusz Morawiecki spożytkował swe atuty i jak wygląda bilans jego czteroletnich rządów?

Oddajmy w tej kwestii głos propagandowemu spotowi publikowanemu 16 grudnia ub.r. na koncie „Popieramy Premiera Mateusza Morawieckiego” w kilku mediach społecznościowych na okoliczność podsumowania czterech lat

rządów premiera Morawieckiego. Fachowe wykonanie spotu wskazuje, że mamy do czynienia z ludźmi wykonującymi profesjonalną robotę PR-owską na rzecz premiera i obozu władzy, co na potrzeby naszej analizy jest akurat w sam raz – możemy bowiem być pewni, że w spocie dostaliśmy obraz dokonań władzy oczami samej władzy. Dowiadujemy się zatem, że „dzięki skutecznym działaniom premiera Morawieckiego Polska przeżywa najszybszy rozwój w swojej historii”. Kryje się za tym duży i wyolbrzymiony skrót myślowy; działania Mateusza Morawieckiego w kwestii uszczuplania dziury VAT-owskiej rzeczywiście doprowadziły do znacznego zwiększenia wpływów państwa, niemniej przypisywanie głównie premierowi dobrej koniunktury ekonomicznej sprzed epoki COVID mija się z empirią stwierdzoną już pod koniec lat 90. XX w. – siła polskiej gospodarki leży niestety w jej zdolności uodporniania się na kolejne pomysły władzy i nowości legislacyjne.

Wspomniawszy o „największym rozwoju” Polski w historii, spot ukazuje ważne inwestycje strukturalne (w tym wiele programów i funduszy na rzecz rozwoju), ale przede wszystkim programy socjalne, czytaj: redystrybucji pieniądza w społeczeństwie, do czego zresztą najczęściej nawiązuje PR władzy w ogóle („500+” na pierwsze dziecko, 13. i 14. emerytura, program „Maluch+”, bon turystyczny). Spot wymienia oczywiście Polski Ład, ale także zerowy PIT dla młodych czy estoński CIT. Duży nacisk położony jest na głębokie zaangażowanie Mateusza Morawieckiego w różne kampanie wyborcze Prawa i Sprawiedliwości z ostatnich lat i, rzeczywiście, wykazał się on aktywnością i determinacją, zwłaszcza w czasie wyborów prezydenckich 2020 r., których zabrakło politykom opozycji walczącym o zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego. Na koniec zaś spot podkreśla „wzmocnienie pozycji Polski na arenie międzynarodowej” i dokonuje wizualnego przeglądu spotkań premiera Morawieckiego z przywódcami państw z całego świata, coś, co Mariusz Max Kolonko określał onegdaj trafnym mianem „photo-op” – operacja fotka. Mamy tu zatem dobre podsumowanie czterech lat pracy Mateusza Morawieckiego na stanowisku premiera w optyce prorządowej.

PARTIA NA POMOC OBYWATEŁOM

Obejrawszy ten niespełna dwuminutowy filmik, pierwszą rzeczą,

■ która rzuca się w oczy, jest to, czego nie ma wśród wymienionych dokonania premiera, a mianowicie gruntownej reformy państwa, która do roku 2015 była notorycznym hasłem wyborczym Prawa i Sprawiedliwości. Owszem, praca nad zlikwidowaniem dziury VAT-owskiej, jeszcze w czasie, gdy obecny premier był ministrem finansów, reperowała budżet państwa, trudno jednak mówić o naprawie finansów publicznych, jeśli nie prowadzi się jednocześnie polityki oszczędności, nie tylko po to, aby zrównoważyć budżet publiczny – co być może premierowi Morawieckiemu by się w końcu udało, gdyby własną polityką lockdownów (dziś wiadomo, że nonsensowną) nie załamał ówczesnej prosperującej koniunktury gospodarczej – ale przede wszystkim, aby zmniejszać zadłużenie publiczne.

Pomijając strategiczne inwestycje w toku (Baltic Pipe, przekop Mierzei Wiślanej) oraz bieżące inwestycje infrastrukturalne (drogi i obwodnice), rząd od lat stawia na redystrybucję pozyskanych pieniędzy w ramach polityki socjalno-społecznej Prawa i Sprawiedliwości, a także w ramach praktykowania dość skutecznej dźwigni wyborczej. W rzeczy samej położenie ekonomiczne wielu emerytów bądź młodych rodzin było trudne, w niektórych przypadkach dramatyczne, a co za tym idzie – polityczna wola naprawy tej sytuacji była i pozostaje czymś szlachetnym i pożądanym. Przy czym stworzono aparat zapomóg, który swym konstruktem de facto wpaja ludziom, że bez pomocy państwa (ba, bez pomocy partii!) – na które składają na każdym kroku płacą rozmaite daniny – nie są w stanie osiągnąć wystarczająco zadowalającego poziomu życia; puszczono w ruch mechanizm, który uzależnia obywateli od państwa, potęguje roszczeniowość i otwiera licytację na niepohamowany etatyzm.

Analogicznie rzecz ujmując, podobne wady znaczą flagowy projekt Mateusza Morawieckiego, tj. Polski Ład. Abstrahując bowiem od jego wizerunkowego falstartu, charakteryzuje go wysoki stopień komplikacji (ponoć zamierzony), właściwy właśnie rozwiązaniom etatystycznym, oraz ogólny arytmetyczny paradoks: otóż zwiększa się przeszło dziesięciokrotnie kwotę wolną od podatku oraz podwyższa próg podatkowy o ponad 30 tys. zł, a następnie okazuje się, że uzyskane korzyści, jeśli w ogóle zachodzą, są bez proporcji do tych liczb, a w kontekście rekordowej inflacji beneficjenci per saldo się nie

wzbogacą. Innymi słowy, odróżniając meritum od hałaśliwego PR i przyjemnych dla oka infografik, jest to reforma, owszem, z rozmachem, ale w gruncie rzeczy małoskowna, nijak mająca się do wielko-duszności Sejmu, kiedy kilka miesięcy wcześniej przyznawał skokowe podwyżki wybrańcom władzy, rzeczywiście antycypując nadchodzące inflacyjne tsunami. Przy okazji kwestii ekonomicznych trzeba też mocno wytknąć, że w ostatecznym rozrachunku Prawo i Sprawiedliwość nie dokonało równomiernego rozłożenia obciążeń podatkowych wśród spółek, skoro spółki te, będące własnością zagranicznych podmiotów, w praktyce wciąż nie płacą w Polsce podatków.

Bardzo ważnym elementem podsumowania czterech lat rządów Mateusza Morawieckiego jest kwestia polityki zagranicznej, w której bodaj najbardziej widać rozdźwięk między samozadowoleniem, jeśli nie wręcz samouwielbieniem, a coraz bardziej ponurą rzeczywistością. Tkwi tu tym większa ironia, że przecież zastąpienie Beaty Szydło na stanowisku premiera wiązało się, jak dawano do zrozumienia, z potrzebą wprowadzenia do gry polityka „europejskiego formatu”, który swoimi umiejętnościami zażegna spory z Unią. Przykład par excellence tego rozdźwięku: kampania informująca o słynnych 770 mld zł, „największych w historii Unii Europejskiej środkach dla Polski”, które, cytując materiały reklamowe, stanowią „sukces negocjacyjny polskiego rządu”. Są to, jak wiadomo, pieniądze, których wypłatę Bruksela wstrzymuje ad calendas graecas, gdyż krótkowzroczność decydentów, z premierem Morawieckim na czele, którzy zgodzili się na mechanizm szantażu „pieniądze za praworządność” (tłumacząc na polski: „pieniądze za suwerenność”), okazała się fatalna w skutkach, co przecież było do przewidzenia. Podobny brak wyobraźni miał miejsce w przypadku akceptacji unijnego Zielonego Ładu, który przyczynia się do obecnego kryzysu inflacyjnego, a próby przerzucania odpowiedzialności wizerunkowej na Platformę Obywatelską, tak jak w przypadku systemu opłat ETS za emisję CO₂, stanowią kolejny przejaw rozbieżności między propagandą PR a rzeczywistością. Mateusz Morawiecki miał bowiem cztery lata, aby podobnym mechanizmom przeciwdziałać, ale najwyraźniej bagatelizował je dopóty, dopóki możliwe do przewidzenia skutki nie okazały się dramatyczne.

Formułując powyższe uwagi, należy przyznać, że Mateusz Morawiecki doskonale wpisał się w trendy polskiej polityki, w której najwięcej energii i uwagi poświęca się doraźnym ruchom związanym z utrzymywaniem poparcia sondażowego, czyli władzy, następnie zaś nadaje się tym ruchom odpowiednią narrację PR-owską, tworzącą znamiona spójnej polityki sukcesu. Samo w sobie nie jest to wadą, jest to nawet przejaw realizmu politycznego, przy czym dzierżenie władzy dla władzy jest co najwyżej zrozumiałym celem partii, ale nie celem państwa. Pisałem już w „Do Rzeczy” o fasku podważania reżimu Łukaszenki i jego odwecie w postaci inwazji migracyjnej, ale dajmy jeszcze prostszy przykład: jeśli od lat wiadomo, że Zielony Ład będzie w Unii nieunikniony, że mimo solennych obietnic oraz zarzekania Prawa i Sprawiedliwości nieuchronnie odejdziemy od energii węglowej, to gdzie są prace państwa nad polskim atomem? Owszem, trwają one od końca lat 50. XX w. Ale co konkretnie zrobiono w tej kwestii pod rządami Mateusza Morawieckiego? Otóż najważniejsza informacja na stronie agencji Polski Atom z końca 2021 r. brzmi: „Inwestor pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce wskazał jej preferowaną lokalizację”. Konkretnie zatem nie zrobiono nic.

MOŻNA BYŁO WYMAGAĆ ZNACZNIE WIĘCEJ

Ma się rozumieć, na tle ostatnich dekad czy w kontekście globalnych trendów bilans czteroletnich rządów Mateusza Morawieckiego nie wygląda blado, ale z pewnością nie ma powodów do aż takiego samozadowolenia, jakie słychać w rządowej narracji. Przed nami niestety cięższe czasy, być może nawet bardzo ciężkie, w których obok drastycznego wzrostu cen i możliwego kryzysu finansowego, którego skali jeszcze nie znamy, czeka nas także krwawy konflikt zbrojny obok naszych granic. Od „najzdolniejszego człowieka w polskiej polityce” można było wymagać znacznie więcej przezorności wobec trapiących nas bolączek; ale skoro mleko już się rozlewa, oby paradygmatem działania na przyszłość było coś więcej niż doraźne łatanie problemów pod naskiem spadającego w sondażach poparcia. „Rządzić to przewidywać – pisał w XIX w. Émile de Girardin. Brak przewidywania oznacza brak rządzenia i pogoń za własną zgubą”.

ZDANIEM
KOWALSKIEGO

piątek
20:35

Marian Kowalski
z autorskim komentarzem
mijającego tygodnia

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).



Paweł Chmielewski

Media wydały wyrok: Benedykt XVI jest winny tuszowania przestępstw wykorzystywania seksualnego nieletnich. Powinien zniknąć w niesławie, pozbawiony wszelkiego autorytetu. Dowodów wprawdzie nie ma, ale w takich sprawach nikt ich nie potrzebuje. Wystarczy wytworzyć publiczne przekonanie. I to się udało

Monachijski raport dotyczący nadużyć seksualnych w latach 1949–2019 to najlepsze, czego mogły oczekiwać siły prądu do wewnątrzkościelnej rewolucji.

Niemieckie media, a w ślad za nimi duża część mediów polskich, zupełnie bezkrytycznie przyjęły twierdzenia prawników z kancelarii Westpfahl Spilker Wastl, którzy w czwartek 20 stycznia zaprezentowali w Monachium swoje twierdzenia. Autorzy obszernego, liczącego prawie 1,9 tys. stron raportu nie zostawili suchej nitki na kolejnych władarzach archidiecezji monachijsko-fryzzyngijskiej. W ich ocenie system przenoszenia z parafii na parafię księży, którzy wykorzystywali seksualnie dzieci, miał aprobatę wszystkich bez wyjątku kardynałów, którzy kierowali nią od 1949 r.: Michaela von Faulhabera, Josepha Wendela, Juliusa Döpfnera, Josepha Ratzingera, Friedricha Wettera oraz Reinharda Marxa. W przypadku niektórych z nich to zresztą osąd prawdopodobny, bo w Kościele katolickim w Niemczech po drugiej wojnie światowej z przypadkami przestępstw wobec nieletnich postępowano dość sztańpowo. Ofiarami nikt się szczególnie nie przejmował, nakładane na kapłanów kary były zwykle dość lekkie i często tymczasowe. Książd odpowiedzialny za molestowanie chłopców po krótkim okresie odsunięcia od posługi nierzadko był przywracany nawet do nauczania religii dzieci. Raport jest zatem poważnym napiętnowaniem patologicznego systemu; problem w tym, że oskarżając wyłącznie Kościół, dopuszcza się rażąco-



Operacja „Benedykt”

go anachronizmu, bo tak naprawdę podobne podejście do nadużyć seksualnych panowało w powojennych dziesięcioleciach w całym społeczeństwie – i dotyczy to nie tylko Niemiec. Przypomnę, że w Berlinie przez wiele lat w ramach tzw. eksperymentu Kentlera przekazywano chłopców z trudnych domów pod opiekę pedofilów – z pełną świadomością, co to oznacza. Uznawano wszakże, że relacja między pedofilem a dzieckiem wyjdzie obu stronom na dobre; takich bestialstw dokonywano w zgodzie z „nauką” po

rewolucji seksualnej 1968 r. Oczywiście nie usprawiedliwia to ludzi Kościoła.

BEZ ŻADNYCH DOWODÓW

Poza tym raport potwierdził też wiele prawideł, które ukazywały już podobne analizy z innych diecezji i krajów. Wśród 497 ofiar nadużyć w archidiecezji monachijsko-fryzzyngijskiej największą grupę stanowili chłopcy w wieku 8–14 lat; najwięcej przestępstw odnotowano w latach 60. i 70. Przy czym nie wiadomo, czy to wynik ogólnej degrengolady moralnej

w tamtych latach czy raczej formacji kulturowo-psychicznej ofiar, które chętniej niż te z wcześniejszych pokoleń opowiadały o swoich przeżyciach; być może istotne są oba czynniki.

Największą wagę mają te fragmenty raportu, które dotyczą Benedykta XVI. Monachijscy prawnicy twierdzą, że jako arcybiskup Monachium w latach 1977–1982 kard. Ratzinger popełnił błędy w odniesieniu do czterech księży. Najważniejsza sprawa dotyczy przypadku ks. Petera H., kapłana z diecezji Essen, który w 1979 r. został oskarżony o wykorzystywanie nieletnich. Władze tamtej diecezji postanowiły skierować go na psychoterapię i poprosiły kurię w Monachium o zgodę na jego przyjęcie. Sprawa została poruszona na spotkaniu urzędników kurialnych w 1980 r. Ostatecznie H. rzeczywiście trafił do Monachium i został poddany terapii; później skierowano go też do pracy duszpasterskiej. Niestety, dopuszczał się kolejnych czynów przestępczych.

Benedykt XVI zapewnia, że nie miał żadnej wiedzy na temat przeszłości ks. H. Odpowiadając pisemnie na pytania prawników, stwierdził, że na spotkaniu w 1980 r. w ogóle nie był, a decyzję w sprawie kapłana podjął ktoś inny. Był to najprawdopodobniej ks. Gerhard Gruber, ówczesny wikariusz generalny archidiecezji. W 2010 r. ks. Gruber wziął na siebie wyłączną odpowiedzialność za zaakceptowanie prośby diecezji Essen. Kancelaria Westpfahl Spilker Wastl ustaliła jednak na podstawie protokołu ze wspomnianego posiedzenia kurialnego, że kard. Ratzinger, wbrew swoim słowom, był obecny na tym spotkaniu; miał nawet opowiadać na nim o kilku ogólnokościelnych sprawach. Na tej właśnie podstawie prawnicy uznali, że Benedykt XVI musiał wiedzieć o pedofilskiej przeszłości ks. H. i aprobować jego pobyt w Monachium.

Problem w tym, że nie ma na to żadnego dowodu. Benedykt XVI wprawdzie rzeczywiście był na posiedzeniu: kilka dni po publikacji raportu wydał krótkie oświadczenie, w którym przyznał, iż poprzednie twierdzenie o nieobecności było efektem pomyłki. Zapewnił jednak, że na spotkaniu nie omawiano w żaden sposób życiorysu ks. H. Pojawiła się wówczas jedynie informacja, że diecezja Essen prosi o przyjęcie tego księdza na leczenie psychoterapeutyczne. To wszystko. Twierdzenie na tej podstawie, że kard. Ratzinger świadomie powierzył

jakąś posługę duszpasterską pedofilowi, jest zatem zwykłym oszczerstwem.

DATA NIE JEST PRZYPADKOWA?

Podobnie de facto oszczerczy charakter mają stawiane mu zarzuty w trzech innych sprawach. Kancelaria twierdzi, że kard. Ratzinger nałożył łagodne kary na dwóch księży, którzy dopuszczali się nadużyć. Benedykt XVI przekonuje, że tak samo jak w przypadku ks. H. to nie on podejmował w ich sprawie decyzje. W czwartej sprawie zarzuty są szczególnie perfidne. Otóż pod koniec lat 70. pewien ksiądz poprosił kard. Ratzingera o nadanie mu probostwa, na co ten przystał. Kapłan ów w latach 60. wykorzystywał seksualnie chłopców. Prawnicy uważają, że Benedykt XVI na pewno o tym wiedział, bo... swego czasu spędzał wakacje w byłej parafii tego księdza. Zakładają, że ktoś musiał opowiedzieć Ratzingerowi o pedofilskich czynach kapłana, a ten, pomimo posiadanej wiedzy, przydzielił mu później parafię. Ponownie nie ma na to żadnego dowodu, a sam Benedykt XVI przekonuje, że w ogóle nie znał tego księdza.

I choć nie ma powodu, by mu nie wierzyć, to krytyka spada nie tylko ze strony liberalnych mediów, lecz także wielu ludzi Kościoła. W Niemczech Benedykt XVI został skrytykowany m.in. przez przewodniczącego episkopatu bp. Georga Bätzinga oraz jego zastępcę bp. Franz-Josefa Bode'a. Ksiądz Hans Zollner SJ, czołowy niemiecki ekspert w sprawach nadużyć seksualnych i doradca rzymskiej Kongregacji ds. Duchowieństwa, załamywał ręce nad postawą Benedykta. Jego zdaniem powinien się on po prostu „przyznać do popełnienia błędu”. Do tego samego wezwał go biskup Akwizgranu, Helmut Dieser. Wpływowy niemiecki kanonista, prof. Thomas Schüller, uznał nawet, że papież Ratzinger swoimi słowami cytowanymi w raporcie „zniszczył dorobek całego swojego życia”. Bronić Benedykta próbują jedynie konserwatywni hierarchowie, tacy jak kard. Gerhard Müller czy Rudolf Voderholzer.

Być może data publikacji monachijskiego raportu jest przypadkowa. Tak się jednak składa, że już na początku lutego odbędzie się we Frankfurcie III Zgromadzenie Synodalne, czyli spotkanie organu decyzyjnego niemieckiej Drogi Synodalnej, inicjatywy, która dąży do głębokiego przekształcenia Kościoła katolickiego, tak by pogodzić katolicką praktykę i doktrynę ze współczesnymi poglądami na sposób

sprawowania władzy, rozumienie seksualności czy przeżywanie kapłaństwa. Liderzy Drogi Synodalnej to liberalni biskupi oraz świeccy z Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików. Reformistyczne postulaty uzasadniają koniecznością wycofnięcia wniosków z kryzysu nadużyć seksualnych. Oskarżenia pod adresem Benedykta XVI oraz faktyczne uczynienie go w oczach opinii publicznej obrońcą pedofilów są im na rękę. Nic więc dziwnego, że zaraz po publikacji monachijskiego raportu rozpoczął się za Odrą prawdziwy festiwal liberalnych roszczeń.

Głos zabrał na przykład kard. Reinhard Marx, obecny metropolita Monachium, który w raporcie został oskarżony o brak empatii wobec ofiary nadużyć oraz błędy proceduralne w przypadku dwóch kapłanów. Purpurat skupił się jednak nie tyle na przeprasaniu za swoją postawę, ile na zapewnieniach, że już wkrótce na Drodze Synodalnej podjęte zostaną „właściwe kroki”. Niemiecki Związek Katolickiej Młodzieży ogłosił, że w związku z raportem konieczne są zmiany w katolickiej nauce na temat moralności seksualnej. Do tego samego wezwał wpływowy wikariusz generalny z Essen, ks. Klaus Pfeffer. Biskup Helmut Dieser zażądał przeproszenia homoseksualistów za dotychczasową postawę Kościoła i wezwał do zgody na błogosławienie par jedнопłciowych. Tego samego dnia co raport monachijski francuski „La Croix” opublikował obszerny wywiad z metropolitą Luksemburga, kard. Jeanem-Claudem Hollerichem. Purpurat wezwał do liberalizacji celibatu i nowego spojrzenia na homoseksualizm księży; zaprzeczył też otwarcie tezie Benedykta XVI, zgodnie z którą kryzys nadużyć związany jest z rewolucją seksualną w 1968 r.

Jeszcze ciekawsze jest pytanie o wpływ, jaki oskarżenia wobec Benedykta XVI wywarą na przebieg synodu o synodalności, który papież Franciszek otworzył w październiku 2021 r. Również ten proces motywowany jest m.in. kryzysem nadużyć. Wydaje się, że niemożliwa byłaby dzisiaj do powtórzenia sytuacja z 2020 r., kiedy książka Benedykta XVI i kard. Roberta Saraha zablokowała plan Franciszka dotyczący poluzowania celibatu. Dzisiaj głosem papieża Ratzingera nikt nie musiałby się już przejmować. Jego autorytet został skutecznie naruszony – wprawdzie nie przez fakty, ale dla celów rewolucji to bez znaczenia. Liczy się skutek, a ten jest miazdzący.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

RYSZARD GROMADZKI: Minister Niedzielski straszy piątą falą epidemii. Jego zdaniem w połowie lutego liczba dziennych zakażeń koronawirusem w Polsce ma przekraczać nawet 100 tys., co w połączeniu z relatywnie niskimi wynikami akcji szczepień może doprowadzić do przeciążenia szpitali. Sytuacja jest rzeczywiście tak dramatyczna?

DR ZBIGNIEW HAŁAT: Nie mamy żadnych wiarygodnych informacji z Ministerstwa Zdrowia czy ze strony rządu. Mamy za to jakieś halucynacje, urojenia, pisane pod dyktando realizatorów zadań opisanych w biblii sekty kowidianistów, którą jest „COVID-19: Wielki Reset” Klausa Schwaba.

Na razie mamy informacje z Europy Zachodniej i ze Stanów Zjednoczonych. Okazuje się, że przeziębienia przypisywane wariantowi Omikron mają bardzo łagodny przebieg, może taki jak u pana prezydenta Andrzeja Dudy, który stwierdził, że przeszedł niemal bezobjawowo kolejne zakażenie wirusem SARS-CoV-2. Jeżeli nie ma powodów do hospitalizacji kogoś, kto jest przeziębiony i ma katar, nawet gorączkę, czy kogoś, kogo boli gardło, to – tak jak zawsze – należy leczyć go sposobami, które lekarzom znane są od bardzo dawna, a znachorom jeszcze dawniej. Mianowicie takimi sposobami, które doprowadzają człowieka do wyleczenia, a nie np. zamknięcia go w izolacji i poddawania terapii niezwykle ryzykownej, którą jest inwazyjna wentylacja mechaniczna, czyli podłączenie pod respirator, albo podawanie remdesiwiru firmy Gilead.

Zachęcam wszystkich, aby u notariusza złożyli oświadczenie woli, że odmawiają zgody, także gdy będą nieprzytomni, na tego rodzaju terapię, które się kończą ogromnym odsetkiem zgonów pacjentów. Tragedię pogłębia fakt, że przypisywanie pacjentowi rozpoznania COVID wynika z testu, którego zupełnie bezmyślna rutyna stosowania została odrzucona już w styczniu zeszłego roku przez WHO, zwłaszcza w przypadkach bezobjawowych. Z kolei w lipcu 2021 r. amerykańskie ośrodki zwalczania chorób (CDC) uznały test PCR za bezwartościowy i wymagający zastąpienia z końcem roku innym badaniem, mimo to nadal powszechnie używa się tego testu do terroryzowania ludzi.

Jeśli przeziębienie bez jakiegokolwiek diagnostyki różnicowej w oparciu o test, który jest niediagnostyczny, rozpoznaje się jako COVID, to na poziomie jednostki leczniczej czyni się to w celach przede wszystkim merkantylnych, a na poziomie administracji państwowej dla podtrzymania horroru – fantastyki grozy jako narzędzie



FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOPIUM

Z dr. Zbigniewem Hałatem, epidemiologiem, byłym zastępcą ministra zdrowia ds. sanitarno-epidemiologicznych i głównym inspektorem sanitarnym rozmawia Ryszard Gromadzki

Kto na pandemii traci, a kto się bogaci

dzia presji na wyszczepianie. Dotychczas na tego typu testy NFZ wydał 3,7 mld. Rabunek składki zdrowotnej i podatków przeznaczonych na ochronę zdrowia kwitnie, liczba nadmiarowych zgonów narasta, procedury diagnostyczno-terapeutyczne nie są stosowane, łatwiej umrzeć w kolejce, niż uzyskać dostęp do świadczeń zdrowotnych z koszyka świadczeń gwarantowanych.

Chce pan powiedzieć, że mamy do czynienia nie z „piątą falą” epidemii, lecz z kolejną falą hysterii?

W rezonansie publicznym na pewno tak, bo wrogie działania wobec ludności krajów świata zachodniego trwają już kolejny rok i one są skuteczne. Mają charakter podobny do prania mózgów, które robili hitlerowcy czy stalinowcy. Na stronie <https://www.halat.pl/> polecam lekturę świetnej pozycji dr. Joosta Meerloo,

„Gwałt na umyśle: Psychologia kontroli myśli, zabójstwo umysłu i pranie mózgu”.

Czy ta histeria ma stworzyć grunt do wprowadzenia w Polsce ustawy segregacyjnej?

Ona ma służyć wyszczepieniu, czyli doprowadzeniu mas ludzi, właściwie nas wszystkich, do przyjęcia preparatu o nieznanym składzie i nieznanym skutkach.

Są podstawy, żeby domniemywać, że skutkiem przyjęcia tego preparatu będzie masowe obniżenie naturalnej odporności populacyjnej?

Nie trzeba domniemywać, ponieważ to jest twarda opinia. Ba! Opinia Europejskiej Agencji Leków (EMA), która w 85 proc. utrzymywana jest przez koncerny. A mimo to wypowiedziała się głosem swojego szefa Marca Cavaleriego (https://youtu.be/c_bdtDczwK0), że wyszczepienie prowadzi do poszczepiennego zespołu nabytego niedoboru odporności, czyli VAIDS, spadku odporności wywołanego podaniem niebezpiecznych preparatów. Trzeba czytać, oglądać, słuchać i zrozumieć to, co jest powszechnie dostępne. Zainstalowani w ministerialnych gabinetach i wielu redakcjach „oficerowie prowadzący” poszczególnych koncernów, które pozornie między sobą konkurują, na pewno mają wspólny cel: wszyscy chcą doprowadzić do nieodwracalnych skutków.

Jakie mogą być następstwa masowej utraty odporności dla zdrowia publicznego?

Skutki w postaci niedoboru odporności są oczywiste. Możemy mówić o obniżonej odporności na jakiekolwiek wirusy, np. przebiegniowe, co może doprowadzić do zgonów osób mających niedoborowe zaburzenia immunologiczne. Problem komplikują ostrzeżenia biologów molekularnych przed skutkami wzmocnienia infekcji wirusowej zależnej od przeciwciał (ADE, z ang. antibody-dependent enhancement of infection). Polegająca na betonowaniu ust przeciwników kowidializmu walka z okrutną prawdą dotyczącą mechanizmów innych patologii trwa nadal, pomimo że już dziś liczymy w setkach tysięcy, a nawet milionów niepożądane odczyny poszczepienne – NOP-y – w postaci prowadzących do zgonów młodych, wysportowanych ludzi przypadków zapalenia mięśnia sercowego, osierdzia czy zakrzepicy ze zmianami w licznych narządach, na czele z mózgiem. Zejście śmiertelne, wyłuszczenie gałki ocznej, amputacja kończyny, operacja pękniętej cysty

jajnika itp. to potworny koszt przerzucanej na zwykłych ludzi odpowiedzialności rządu za skutki finansowanej z kieszeni podatnika propagandy i cenzury.

Czy w związku ze skalą niepożądanych zdarzeń poszczepiennych, o której pan mówi, można spodziewać się odwrócenia trendów społecznych w momencie, kiedy te skutki zaczną się ujawniać masowo w wielu krajach? Czy taki efekt może radykalnie zmienić nastawienie społeczeństw do akcji masowych szczepień?

Niewątpliwie tak. Nic nie przemawia mocniej niż spowodowana wyszczepieniem śmierć lub trwały uszczerbek czy rozstrój zdrowia bliskiej osoby. Tłumaczenie tego koincydencją jest absurdem. Szczególnie wtedy, kiedy te masowe koincydencje występują seryjnie. Tu można mówić wyłącznie o związku przyczynowo-skutkowym spowodowanym przez przyjęcie preparatu. Nie brakuje publikacji naukowych, które przedały się przez cenzurę, wskazujących, że preparaty podawane powszechnie ludziom w ramach akcji wyszczepień zawierają składniki niebezpieczne, uruchamiające stopniowo odsłaniane patomechanizmy poszczepiennych nagłych zgonów i nieuleczalnych chorób.

Naukowców i lekarzy, którzy podnoszą takie tezy, poddaje się ostracyzmowi, przedstawia się ich jako zwolenników teorii spiskowych, marginalizuje. Doświadcz pan tego na co dzień...

Ostracyzmu wobec siebie nie dostrzegam, wręcz odwrotnie, a powtarzanie tych wszystkich kłamstw i ubeckich manipulacji, tego totalitarnego zakłamania przyczyniającego się ludobójstwa nie ma sensu. Ludzkość to już przerabiała za Hitlera i Stalina. A współcześnie w Chinach Ludowych, których przywódca był przywitany z honorami na Forum w Davos przez Klausa Schwaba. Wiemy dobrze, jakimi kalumniami obrzucani są ludzie, którzy walczą o życie, zdrowie, wolność i majątek bliźnich. Nie ma sensu na to reagować. Sprzedawcykom należy współczuć, że sprzedali się za judaszowe srebrniki, a ich upadek niech będzie przestrogą dla innych gotowych frymarzyć zawodową etyką. Już w 1810 r. William Blake napisał: „Każdą nierządnica kiedyś była dziewczyną”.

Czy rok 2022 przyniesie polityczny i społeczny przełom wobec prawdopodobnego globalnego fiaska masowych szczepień?

Już przynosi przełom. Sam guru kowidianistów, William „Bill” Gates, podczas sabatu WEF 2022 w Davos głosił wysokie

odsetki fałszywie dodatnich wyników testów PCR i antygenowych. Brytyjski premier Boris Johnson zapowiada wycofanie się ze wszelkich restrykcji. Podobne argumenty przedstawia główny inspektor sanitarny Szkocji, która także odchodzi od restrykcji.

A u nas dymisja prawie całego składu Rady Medycznej jest też symptomem tego procesu, o którym mówimy?

Oczywiście, że tak. Do tej sytuacji jak ulał pasuje powiedzenie o szczurach opuszczających tonący statek. Poza tym na tych ludziach ciąży oskarżenie. Mówi się o śledztwie prokuratorskim dotyczącym finansowania ich przez wielkie koncerny farmaceutyczne. W tych dniach ujawniono publicznie informacje, z których wynika, że w czasie tzw. pandemii majątek 10 najbogatszych ludzi świata uległ podwojeniu, podczas gdy 99 proc. ludności naszej planety zbiedniało. Mówimy tu także o ludziach, którym odbiera się możliwość przeżycia, kradnąc budżet NFZ. Stąd pod koniec ubiegłego roku ogłosiłem podjęcie dochodzenia epidemiologicznego w sprawie osobistej winy podżegaczy, pomocników i egzekutorów ludobójstwa, którzy doprowadzili Polskę do katastrofy zdrowotnej. Powołaliśmy w związku z tym do życia Związek Ofiar, czyli związek pokrzywdzonych z osobistej winy podżegaczy, pomocników i egzekutorów ludobójstwa. Na czele związku stała pani dr Jadwiga Sokołowska, bardzo aktywna lekarka o wspaniałym dorobku i pięknej przeszłości rodzinnej. Będziemy działać skutecznie, nie wchodząc w puste dyskusje, unikając infiltracji przez agenturę i nie odpowiadając na rozmaite oczerniające ataki czy inwektywy.

Wielka Brytania chce wycofać się z restrykcji covidowych. Rezygnację z obowiązkowych szczepień potwierdził ostatnio nowy rząd Czech. Dlaczego wobec tego rysującego się trendu polski rząd, zresztą przy ponadpartyjnej zgodzie, tak obsesyjnie brnie w procedowanie ustawy segregacyjnej?

Pewnie przyjęli zlecenie, wzięli zapłatę, a nie wykonali zlecenia. Tego rodzaju grupy rozliczają się bezlitośnie za takie postępowanie. Nie wiem, w jaki sposób ci ludzie w Polsce będą rozliczeni, jeśli nie wykonają zlecenia. Znamy kraje, w których prezydent oddał życie za swój naród. U nas to dygnitarze zasłaniają się narodem. Stanowczo nikt nie chciałby być w ich skórze, kiedy świat albo przynajmniej część państw wycofa się z obecnej polityki.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dyrektora Theater der Stadt Warschau zabito dopiero za trzecim podejściem?!

MAREK TELER: Roman Niewiarowicz, zajmujący się organizacją zamachu, dwukrotnie podejmował próby unicestwienia Igo Syma. Pierwotnie miał zostać zastrzelony przy ul. Oboźnej, lecz przeszkodził w tym nagły wyjazd aktora do Wiednia. Później planowano dokonać egzekucji w barze-kawiarni Bazar w Teatrze Miasta Warszawy, ale akcja nagle została wstrzymana. Do zabójstwa Syma doszło więc dopiero za trzecim razem, 7 marca 1941 r., w jego mieszkaniu przy ul. Mazowieckiej 10. Wyroku śmierci próżno szukać w dokumentach Sądu Kapturowego przy Komendzie Głównej ZWZ, a tylko on zajmował się wtedy w Warszawie karaniem zdrajców ojczyzny. Według płk. Jana Rzepeckiego, wtajemniczonego w szczegóły operacji, nastąpiła ona jedynie na podstawie decyzji komendanta okręgu Zdzisława Zajączkowskiego. Jego zdaniem wyrok śmierci nie był potrzebny, gdyż Sym był „Niemcem i to wysoce szkodliwym”. Z zachowanych dokumentów wynika jednak, że rząd polski w Londynie był krytyczny wobec likwidacji artysty, uważając, że sprowadzi zbyt duże represje na ludność cywilną. Nie został też powiadomiony o tym, kto podjął decyzję o zabiciu Syma, a cała inicjatywa została podjęta bez konsultacji z delegatem rządu RP na kraj. Warto dodać, że Zajączkowski go niedługo po śmierci Syma usunął ze stanowiska – właśnie za buntowniczą postawę w stosunku do rządu londyńskiego.

Kiedy i w jakich okolicznościach Sym stał się niemieckim agentem? Co go do tego skłoniło?

Na przełomie lat 20. i 30. Igo Sym był gwiazdorem austriackiego i niemieckiego kina, lecz pojawienie się dźwięku w filmie zatrzymało jego błyskotliwą karierę. Choć zał po powrocie do Polski z powodzeniem występował w warszawskich teatrzykach rewiowych, to cały czas brakowało mu występów na ekranie. Kiedy więc w 1937 r. dostał propozycję zagrania głównej roli w filmie Williego Forsta „Serenade”, bez wahania przyjechał na zdjęcia do III Rzeszy. W tym samym roku pojawił się pierwszy raport polskiego podziemia o spotkaniu aktora z działaczami szczecińskiej placówki Abwehry. Miało ono nastąpić po projekcji „Serenade” w kinie Urania w Szczecinie (wówczas Stettinie). Entuzjastyczne recenzje roli Syma w tym filmie w prasie partyjnej NSDAP sugerują, że aktor rozpoczął współpracę z niemieckim



Z Markiem Telerem, dziennikarzem i pisarzem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Śmierć volksdeutscha

wywiadem, aby wkraść się w łaski ministra propagandy Josepha Goebbelsa. Sam nigdy nie manifestował specjalnie swojej fascynacji nazizmem, więc najprawdopodobniej zaczął współpracę z Niemcami z wyrachowania i dla własnej kariery, a nie z pobudek ideologicznych.

Jakie zadania powierzyli mu szpiegowscy mocodawcy? Komu podlegał?

Z informacji działaczy podziemia i przedstawicieli środowiska artystycznego (m.in. Romana Niewiarowicza i Dobiesława Damięckiego) wynika, że przekazywał niemieckim władzom, a zapewne także wywiadowi i policji, informacje na temat nastrojów panujących wśród polskich artystów. Damięcki wspominał też, że Sym chciał dotrzeć do poufnych dokumentów ZASP, aby dowiedzieć się, którzy artyści mają żydowskie pochodzenie. Fryderyk Jarosy twierdził z kolei, że to właśnie dzięki działaniom Syma niemieckie władze weszły w posiadanie jego antyniemieckich konferansje-rek. Sym znał doskonale polskie środowisko artystyczne i wykorzystywał słabe

punkty swoich kolegów po fachu, aby ich szantażować. Nie ma jednak jednoznacznych dowodów na to, że przyczynił się do aresztowań aktorów, a niektóre powielane przez lata informacje na ten temat (m.in. o zadenuncjowaniu przez niego Hanki Ordonówny) okazały się nieprawdziwe. Wiadomo natomiast, że na pewno nie należał do SS, SA, NSDAP czy Wehrmachtu, ponieważ w jego karcie volksdeutscha nie oznaczono przynależności do tych organizacji. Szpiegowskie powiązania Syma cały czas pozostają pełne niejasności, a część archiwaliów zapewne nie ujrzała jeszcze światła dziennego.

Czym zajmował się w okupowanej przez Niemców Warszawie?

Najogólniej rzecz ujmując – powierzono mu misję kierowania polskim życiem kulturalnym w okupowanej Warszawie, chociaż nie tylko. Był dyrektorem (intendentem) koncesjonowanego przez okupanta Teatru Miasta Warszawy, koncesjonariuszem teatru Komedia i kierownikiem kina „nur für Deutsche”

Helgoland. W styczniu 1941 r. działacze podziemia donosili też, że pracował jako lektor w niemieckim tygodniku dźwiękowym. Przede wszystkim jednak jako „mąż zaufania i pełnomocnik” Wien-Filmu szantażem oraz groźbą werbował polskich aktorów do antypolskiego filmu „Heimkehr”, który przedstawiał rzekome prześladowania mniejszości niemieckiej w II Rzeczypospolitej. Nie ulega wątpliwości, że jego postępowanie większość Polaków przyjmowała ze wstrętem i odrazą. Kiedy jego dawno koledzy trafiali do obozów koncentracyjnych, umierali w getcie lub walczyli z Niemcami na froncie, Sym chciał robić wielką karierę i chwalił się swoją bliską znajomością z gubernatorem dystryktu warszawskiego Ludwigiem Fischerem i innymi wpływowymi hitlerowcami.

Czemu planował przeprowadzkę do Wiednia?

Często tam podróżował, bo w tamtejszym atelier kręcono zdjęcia do filmu „Heimkehr”. Miał liczne znajomości wśród przedstawicieli austriackiej kinematografii jeszcze z lat 20., więc czuł się w tym mieście swobodnie i bezpiecznie. Wobec krążących po Warszawie plotek o wydanym nań wyroku śmierci chciał opuścić Polskę na zawsze i zacząć w Wiedniu nowe życie.

Co sprawiło, że został artystą?

Kinematografią zainteresował się, jeszcze będąc nastolatkiem, lecz wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił mu rozpoczęcie kariery aktorskiej. Poświęcił się służbie wojskowej, w tym czasie związał się też z córką malarza Juliana Fałata, więc nie miał wówczas czasu, by rozwinąć artystyczne zamiłowania. Dopiero kiedy po rozwodzie zaczął pracę jako urzędnik bankowy, zawodowe niespełnienie pchnęło go z powrotem w kierunku filmu. Do spróbowania swoich sił w aktorstwie przekonali go wówczas dwaj przyjaciele – architekt Edmund John i malarz Roman Gineyko, „odkrywca” Syma był zaś aktor i reżyser Wiktor Biegański. Znakomite warunki fizyczne spowodowały, że od razu spodobał się polskiej publiczności, a zaledwie po roku trafił do filmu austriackiego, gdzie zaczął występować u boku największych sław ekranu.

W filmie niemym wypadł korzystnie niż w dźwiękowym?

Miał świadomość, że swoją karierę zawdzięcza przede wszystkim aparycji.

Fotogeniczność była najważniejszą cechą aktora w czasach kina niemego i faktycznie przed kamerą wypadł znakomicie. Porównywano go nawet do słynnego Rudolpha Valentino, czyli naczelnego amanta filmowego czasów „wielkiego niemowy”. Pojawienie się na ekranie dźwięku doprowadziło jednak do tego, że zaczęto zwracać większą uwagę na dykcję aktorów, a Sym miał sporo problemów z wymową (między innymi głoski „r”). Kino niemieckie zapewniło się nowymi twarzami, toteż postanowił wrócić do Warszawy. Na szczęście polskie teatry rewiiowe przyjęły go z otwartymi ramionami, dzięki czemu utrzymał status gwiazdora, tym razem rewiiowego i operetkowego. Co jakiś czas powracał jednak do filmu – zagrał choćby w „Pałacu na kółkach” i „Szpiegu w masce”, a tuż przed wojną w „Złotej masce” (z której notabene po 1945 r. został „wykadrowany”) oraz obrazie „Żona i nie żona”.

Zdobyl rozgłos jedynie w Polsce?

Dzięki rolom w kinie austriackim i niemieckim zyskał międzynarodową sławę, ponieważ artykuły na jego temat można znaleźć – poza prasą polską, austriacką i niemiecką – także w prasie francuskiej, hiszpańskiej, włoskiej, a nawet brazylijskiej. Szczyt jego popularności przypadał na przełom lat 20. i 30. Później cieszył się renomą przede wszystkim w Polsce, chociaż na łamach zagranicznych gazet co jakiś czas pojawiały się pytania od wielbicieli, kiedy ich ulubieniec znów pojawi się na ekranie. Istniały nawet kluby miłośniczek przystojnego aktora, m.in. w Wiedniu i Mannheimie.

Swoje vie privé maskował?

Niechętnie o tym opowiadał, ponieważ nie było ono szczególnie udane. Małżeństwo z Heleną „Kuką” Fałatówną zakończyło się rozwodem, a kolejne miłosne relacje aktora miały raczej formę przelotnych romansów, nie zaś stałych związków. Owszem, można natrafić na pojedyncze artykuły, w których Sym mówi o tym, że jest zakochany, ale nigdy nie zdradzał dziennikarzom szczegółów dotyczących swoich miłosnych podbojów. Część przedstawicieli środowiska artystycznego (m.in. Stefania Grodzieńska) mówiła nawet, że był biseksualistą, chociaż nie ma na ten temat jednoznacznych dowodów.

A jaką rolę w jego biografii odegrała Ina Benita?

Była związana z Igo Symem w latach 1933–1934, chociaż nawet w tym krótkim czasie kilkakrotnie schodzili się ze sobą i rozstawali. Pozostali jednak w przyjaźni aż do wybuchu wojny, a w 1938 r. występowali nawet razem w sztuce „Na fali eteru” w Teatrze Marii Malickiej. Podczas okupacji Sym cały czas wykazywał słabość do Benity, namawiał ją do rozpoczęcia kariery w niemieckiej kinematografii i proponował jedną z epizodycznych ról w „Heimkehr”. Aktorka stanowczo odmówiła, czym ochłodziła ich wzajemne relacje. W tym czasie współpracowała już jako informatorka z polskim podziemiem, a jej wiadomości dotyczące aktora pomogły reżyserowi teatru jawnego Komedii i jednocześnie działaczowi ZWZ Romanowi Niewiarowiczowi w rozpracowaniu artysty i zorganizowaniu akcji likwidacyjnej.

Igo Sym miał dwóch braci...

Najstarszy z rodzeństwa był Ernest, biochemik i enzymolog, którego badania nad katalizą enzymatyczną były cenione na arenie międzynarodowej. Różnice charakterów między nim a Igo sprawiły, że nie byli w stanie znaleźć ze sobą wspólnego języka. Kiedy w 1930 r. Ernest pracował w Kaiser-Wilhelm-Institut w Berlinie, młodszy brat odmówił mu finansowego wsparcia, choć był już wówczas wielką gwiazdą. W czasie okupacji Ernest działał zaś w Związku Walki Zbrojnej, którego konspiratorzy rozpracowywali jego młodszego brata. Bliższy aktorowi był drugi z braci, Fred, który był cenionym kompozytorem neoromantycznej muzyki, a pod koniec lat 20. próbował nawet swoich sił jako aktor filmowy. Tuż przed swoją śmiercią z rąk polskiego podziemia Igo wykorzystał swoje wpływy u niemieckich władz, aby wyciągnąć Freda z obozu jenieckiego w Hadamarze. Odebrał go z dworca 7 marca 1941 r. o godzinie czwartej nad ranem. Trzy godziny później Igo Sym został zastrzelony przez zespół bojowy „ZOM” kontrwywiadu Okręgu Warszawa-Miasto ZWZ.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Teler – dziennikarz, pisarz, autor książek: „Zapomniani artyści II RP”, „Zagadka Iny Benity. AK-torzy kontra kolaboranci” i najnowszej „Upadły amant. Historia Igo Syma”.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Aryjski raj Hitlera

12 kwietnia 1934 r. do Sognefjorden u wybrzeży Norwegii wpłynął niemiecki pancernik kieszonkowy „Deutschland”. Była to wizyta krajoznawcza. Jego pasażerowie mieli zamiar podziwiać „malowniczą urodę” zapierającego dech w piersiach skandynawskiego fiordu.

Strona norweska podjęła rutynowe działania. Na pokład „Deutschland” wszedł pilot portowy Martin Karlsen, którego zadaniem było przeprowadzenie okrętu przez zdradliwe wody fiordu. Po tym, gdy znalazł się na pokładzie, Norweg stanął jak wryty.

Pprzed nim stał bowiem uśmiechnięty Adolf Hitler. Kanclerz III Rzeszy podróżował „półincognito” i była to jego pierwsza wizyta zagraniczna od wygrania wyborów i przejęcia władzy. „Wszyscy na pokładzie naprawdę go lubili – opowiadał później norweskiej prasie Karlsen. – Wydał mi się sympatycznym, wesołym człowiekiem. Do marynarzy na pokładzie odnosił się życzliwie i przyjaźnie. Mało tego, zachowywał się tak samo wobec generałów, jak i niższych rangą”.

Tak rozpoczyna się niesamowita opowieść Despiny Stratigakos „Północna utopia

Hitlera”. Sześć lat po tej wizycie wojska niemieckie przypuściły atak na Norwegię i kraj znalazł się pod okupacją III Rzeszy. Historię tej okupacji opisuje się najczęściej przez pryzmat kolaboracji podjętej przez Vidkuna Quislinga. Despina Stratigakos przedstawia inną, nie mniej ciekawą, historię. Mowa o zakrojonym na szeroką skalę projekcie, który rozpałał wyobraźnię Hitlera i jego architekta Alberta Speera.

Otóż Niemcy chcieli zmienić Norwegię w „nordycki raj na ziemi” i wzorcowe „aryjskie społeczeństwo”. Elementem tego utopijnego planu była – jak czytamy w książce – „budowa nowych, idealnych miast oraz superautostrady ciągnącej się od Berlina aż po północne krańce Skandynawii”.

Co ciekawe, Hitler marzył o tym, żeby Niemcy „zaprzyjaźnili się” z Norwegami. A w narodowosocjalistycznej optyce błękitnoocy Norwegowie byli ludem „rasowo wyższym” od Niemców! Mało tego, narodowi socjaliści mieli kompleks niższości wobec Norwegów i zazdrościli im pochodzenia od średniowiecznych wikingów.

Z owego „aryjskiego raju” na szczęście nic nie wyszło. I Norwegowie zupełnie tego nie żałują. ©©



★★★★★
DESPINA
STRATIGAKOS
„PÓŁNOCNA
UTOPIA HITLERA”
WIELKA LITERA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zamek i meteoryt

Wprawdzie największą ozdobą Pułtuską jest dawny zamek biskupów płockich, ale miasto pojawiało się w dziejach naszego kraju także z innych powodów. W jego okolicach rozegrano dwie ważne bitwy. Jako pierwsi potykali się w 1703 r. Szwedzi z Sasami, a 103 lata później Napoleon

w tereny niezamieszkane, a sporo z nich trafiło także w łód zamarzniętej Narwi. Było ich co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, a zdarzają się szacunki określające liczbę odłamków aż na 200 tys. Przyczyną kataklizmu był meteor, który eksplodował nad Pułtuskim, a którego wagę astronomowie obliczają na blisko dziewięć ton. Masa meteorytu była zatem zbliżona do masy tego, który eksplodował kilka lat temu nad Czelabińskiem, a warto pamiętać, że tamta eksplozja była 40 razy silniejsza od detonacji bomby atomowej nad Hiroszimą. Największy fragment skalny, który znaleziono pod Pułtuskim, ważył ponad 9 kg i obecnie znajduje się w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, natomiast wiele mniejszych odłamków jest eksponowanych w polskich muzeach. Meteoryt otrzymał nazwę miasta i pod tym określeniem przeszedł do historii astronomii.

Na szczęście zamek ani miasto nie ucierpiały od eksplozji, a w tym czasie w budowlu mieścił się szpital wojskowy. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zamek stał się siedzibą władz powiatowych i pełnił tę funkcję aż do reformy administracyjnej w 1975 r. Wówczas utworzono w nim Dom Polonii, a także Ośrodek Dokumentacji Wychodźstwa Polskiego. Celem jego działalności jest zbieranie i przechowywanie materiałów na temat życia codziennego, osiągnięć kulturalnych i intelektualnych Polaków poza granicami kraju. ©©

Meteor, który eksplodował nad Pułtuskim, ważył blisko dziewięć ton

walczył z Rosjanami. Natomiast sam zamek przestał być własnością kościelną po powstaniu styczniowym, gdy w ramach represji przejęły go władze rosyjskie. Niebawem też budowla wraz z miastem stały się znane na całym świecie z powodu astronomicznego. Wieczorem 30 stycznia 1868 r. nad zamkiem zaobserwowano kulę ognia, która pojawiła się od strony południowej.

Następnie rozległ się straszliwy huk, który słyszano aż w Warszawie, a błysk na niebie zaobserwowano nawet w odległych o setki kilometrów Królewcu, Wrocławiu i Lwowie. Zamek zatrzęsł się w posadach, a na wschód od niego runął na ziemię największy w dziejach deszcz meteorytów. Na szczęście odłamki uderzały głównie

COVIDOWA ZAGŁADA CHOMIKÓW

W Hongkongu jedna pracownica sklepu zoologicznego zachorowała na COVID-19. Ten sam wariant wirusa wykryto u 11 chomików sprzedawanych w tym miejscu. Administracja Hongkongu nakazała... zabić wszystkie chomiki sprzedawane w sklepach zoologicznych. Swoje zwierzęta musieli też oddać ich właściciele. W sumie eutanazja dotknie 2 tys. gryzoni. Nie pomogły masowe protesty.



FOT. ADRIAN STOK

DICAPRIO EMITUJĄCY CO₂

Leonardo DiCaprio, aktor zaangażowany m.in. w kampanie na rzecz ochrony klimatu (jest m.in. ambasadorem ONZ w tej sprawie), został przyłapany przez brytyjski tabloid na wakacjach na Karaibach. Tam bawił się na imprezie zorganizowanej na jachcie wartym ok. 150 mln dol. Jak wyliczyli dziennikarze, taki jacht emituje ok. 150 kg CO₂ na każdy przepełniony kilometr – czyli tyle, ile samochód osobowy w ciągu miesiąca.

BEZ SZCZEPIONIA NIE BĘDĄ RATOWAĆ

Szpital Brigham and Women's w Bostonie odmówił przeszczepienia serca 31-letniemu DJ Fergusonowi. Jak relacjonuje rodzina pacjenta, szpital zdjął go z początku listy oczekujących na przeszczep dlatego, że Ferguson nie jest zaszczepiony na COVID-19. Lecznica uważa, że musi wybierać osoby z największą szansą na przeżycie, a zdaniem lekarzy szczepienie – oprócz np. zdrowego trybu życia – jest jednym z elementów zwiększających szansę na przeżywanie zabiegów.

MALKOVICH ZOSTAŁ BEZ NOCLEGU

Gwiazda kina John Malkovich bierze udział w nagrywaniu serialu, którego sceny kręcone są w Wenecji. Jak podała włoska prasa – aktor nie został wpuszczony do luksusowego hotelu, w którym ekipa zaplanowała jego noclegi. Powód? Nie miał przepustki – tzw. super green pass, czyli zaświadczenia o zaszczepieniu na koronawirusa lub dowodu przechorowania. Negatywny test nie jest uznawany.

NARZECZONY TYLKO Z TESTEM

Znana norweska biegaczka – Therese Johaug – nie mogła się doczekać, by po zgrupowaniu kadry biegowej w Alpach, a jeszcze przed wyjazdem na igrzyska do Pekinu spotkać się ze swoim narzeczonym. Jak publicznie wyznała – postawiła jednak twardy warunek Nilsowi Jacobowi Hoffowi. Mężczyzna, z którym jest od siedmiu lat związana i który niedawno się jej oświadczył, będzie mógł spędzić z nią noc wyłącznie wówczas, gdy wykona sobie dwa testy PCR na obecność koronawirusa. ©

Lukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Mandat dla auta?



JACEK PRZYBYLSKI

Kto powinien ponosić odpowiedzialność karną oraz cywilną za wypadek spowodowany przez pojazd autonomiczny? Kierowca, właściciel, producent samochodu, a może programista, który nie przewidział algorytmu mogącego doprowadzić do uniknięcia zdarzenia?

Obecnie zgodnie z prawem nawet jeśli auto jest wyposażone w zaawansowany system wspomagający lub de facto przejmujący kierowanie pojazdem, odpowiedzialność spoczywa nadal na kierowcy. Według ogłoszonych w ubiegłym tygodniu propozycji komisji prawa

dla Anglii, Walii i Szkocji osoba siedząca za kierownicą w pełni autonomicznego samochodu nie powinna ponosić odpowiedzialności cywilnej za wypadek czy kolizję. A co z odpowiedzialnością karną?

Samochody w pełni autonomiczne wymagać będą nie tylko zmian w przepisach drogowych, lecz także zmian w kodeksach karnych – na razie odpowiedzialność karną może bowiem ponosić tylko człowiek. Kogo ukarać ma jednak policjant, jeśli autonomiczny samochód przejedzie na czerwonym świetle lub „nie zauważy” znaku ograniczenia prędkości, a siedzący w środku kie-

rowca zacytany w nowej książce nie był nawet świadom tego wykroczenia? Według wspomnianych ekspertów z komisji prawa z Anglii, Walii i Szkocji również w takiej sytuacji człowiek siedzący w aucie powinien cieszyć się prawnym immunitetem. Zgodnie z propozycją ekspertów ukarany ma być producent auta lub organ, który odpowiada za daną technologię. Czy brytyjski rząd zaakceptuje te pomysły i czy w innych krajach będzie podobnie? Na razie pewne jest tylko jedno: nowa era w motoryzacji przyniesie rewolucję nie tylko na drogach, lecz także w wielu dziedzinach naszego życia. ©

Zimowa wojna czy zimny prysznic?



Romuald Szeremietiew

Uważam, że eksperci na ogół przesadzają w ocenie militarnych możliwości Rosjan i nie doceniają możliwości obronnych wojsk ukraińskich

Napięcie na linii Rosja – Ukraina się nie zmniejsza. Politycy, wojskowi, eksperci i analitycy spraw militarnych Zachodu uważają, że atak rosyjski na Ukrainę może nastąpić w każdej chwili – na ogół sądzi się, że Rosjanie czekają, aż mróz zetnie ziemię ukraińskich stepów i rosyjskie czołgi będą mogły ruszyć do ataku. Dlatego właśnie „wojna zimowa”

powinna wybuchnąć w lutym – uważa się, że prezydent Putin nie może z tym czekać do wiosny.

NAPAŚĆ NA FINÓW

Przypomina się w tym kontekście inna „wojna zimowa”, przeprowadzona przez ZSRS, choć przecież to była Rosja, która napadła na Finlandię (1939–1940), kreując wówczas nieprawdziwy pretekst napaści (teraz też ma być jakaś prowokacja „ukraińska”). Mamy inny czas, inny rejon walk, ale wtedy dysproporcja sił między Finami i Rosjanami była dużo gorsza dla Finów niż obecna przewaga Rosji nad Ukrainą.

Przypomnijmy – Sowieci użyli przeciwko Finom ponad milion żołdatów, Finlandia miała armię liczącą 332 tys. żołnierzy. Przewaga sowiecka była też w sprzeczności – 6,5 tys. czołgów i 3,6 tys. samolotów, na 80 czołgów i 160 samolotów fińskich. A wynik starcia? Co prawda,

Finlandia musiała oddać część swego terytorium Stalinowi, z którego wcześniej ewakuowała całą ludność, ale obroniła swoją niepodległość, nie stała się kolejną republiką sowiecką. Finowie stawili zaciekły opór. obrońcy stracili w walkach 35 samolotów, ale stracili 934 samoloty sowieckie i zniszczyli ok. 2,3 tys. czołgów i pojazdów opancerzonych, nie tracąc żadnego własnego czołgu, a do tego włączając do swoich wojsk pancernych zdobyczne czołgi sowieckie (mieli ich nawet więcej niż przed wybuchem wojny).

Ten sukces osiągnęła armia cechująca się patriotyzmem i wysokim morale, odwagą, umiejętnie wykorzystując obronnie własne terytorium (fortyfikacje Linii Mannerheima), zdolna do działań w trudnych warunkach zimowych. Do legendy przeszły wyczyny fińskich narciarzy snajperów – grozę w sowieckich szeregach wzbudzał sierż. Simo Häyhä nazywany przez nich Białą Śmiercią,

59

skadrowane, korpus rezerwy), dwie brygady górskie i cztery brygady zmotoryzowane, siedem brygad desantowo-szturmowych, dwie brygady piechoty morskiej (kolejna brygada w trakcie formowania). Są brygady i pułki artylerii, pułki obrony przeciwlotniczej, pułki łączności, pułki inżynieryjne. Potencjał operacyjny armii w przypadku konfliktu na pełną skalę wzmocnią podległa MSW Gwardia Narodowa oraz Wojska Obrony Terytorialnej w składzie sił lądowych Ukrainy. Gwardia Narodowa dysponuje kilkoma związkami taktycznymi: sześć brygad i pułk, które mogą być użyte na froncie w zastępstwie jednostek zmechanizowanych. Brygady OT (ma ich być 25) zgrywają się na ćwiczeniach brygadowych i ćwiczeniach niższej rangi. Kadra wywodzi się z wojsk operacyjnych, a rezerwiści stale przechodzą szkolenia na poziomie kompanii i batalionów.

Występują oczywiście różne braki, zwłaszcza kłopoty finansowe i trudności związane z modernizacją techniczną armii. Modernizacja sprzętu pancernego, artylerii ma wybiórczy charakter i trudno za nowoczesną uznać znaczną część będącego na uzbrojeniu sprzętu bojowego. Jednak mimo tego siły zbrojne Ukrainy prezentują ogromny postęp w podniesieniu swojej wartości bojowej i zdolności bojowych wojsk, a posiadany sprzęt w zasadzie od-

powiada sprzętowi armii rosyjskiej, gdzie uzbrojenia nowocześniejszego jest więcej, ale też w ograniczonych ilościach.

Uważam, że eksperci na ogół przesadzają w ocenie militarnych możliwości Rosjan i nie doceniają możliwości obronnych wojsk ukraińskich. Jest to inna sytuacja niż w czasie wojny Rosji z Gruzją w 2008 r. Gruzja miała wówczas dość dobrą armię, ale sformatowaną pod kątem misji zagranicznych, nie miała zdolności do obrony własnego kraju. Ukraińcy natomiast mają przećwiczone praktycznie działania w obronie.

Z CZYM NA WOJNĘ?

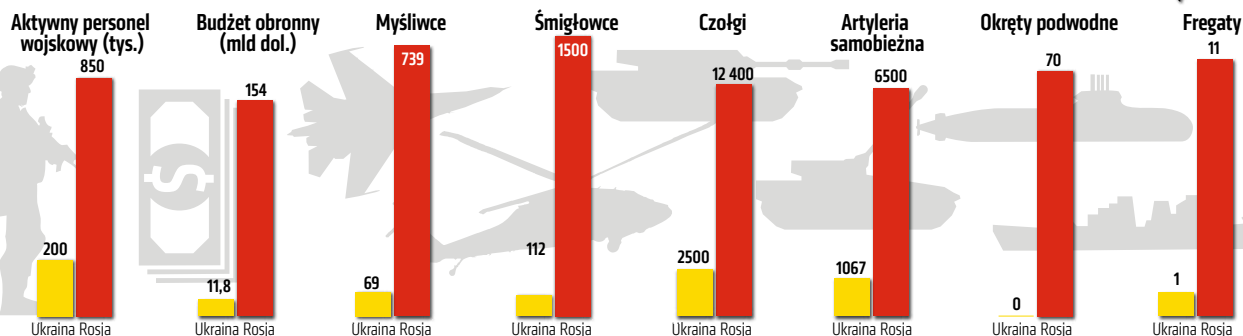
Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksij Daniłow poinformował, że przy ukraińskich granicach Rosja zgromadziła ok. 127 tys. wojskowych. Ocenia jednak, że do operacji lądowej na wielką skalę Rosja musiałaby zgromadzić milion żołnierzy. Według ukraińskich i zagranicznych ekspertów wojskowości liczba ta sięgać by musiała co najmniej 300 tys., a nawet 500 tys. żołnierzy. Tak czy inaczej siły rosyjskie zebrane obecnie na granicy Ukrainy nie wystarczą do przeprowadzenia operacji zajęcia kraju. Chyba że Rosja nie zamierza podbić całej Ukrainy.

Na konferencji prasowej 19 stycznia prezydent USA Joe Biden powiedział, że „jeśli Rosja wkroczy na Ukrainę, to Putin słono za to zapłaci”. I zaraz dodał, że może zapłacić dużo mniej, jeśli przeprowadzi „mniejszy najazd”. Nie wyjaśnił, czy ten mniejszy najazd to tylko odcięcie Ukrainy od Morza Czarnego czy obejmuje też zajęcie przez Rosjan Kijowa czy może lewobrzeżnej (do Dniepru) Ukrainy.

W mojej ocenie do zrealizowania mniejszego najazdu, który USA „przełkną”, wystarczą siły rosyjskie zebrane dziś na granicy rosyjsko-ukraińskiej. Wywiad amerykański wskazuje, że Rosja może dokonać inwazji z udziałem do 100 tzw. batalionowych grup taktycznych lub ok. 175 tys. żołnierzy. Stwierdzono, że ok. 50 takich batalionowych grup jest już na miejscu na północy i wschodzie Ukrainy oraz na Krymie na południu, co stwarza możliwość rosyjskiego ataku z trzech kierunków. Wkrótce przekonamy się, co się stanie, ponieważ Putin wie od Bidena, że „mniejszy najazd” USA za mocno nie zaboli. Może się też jednak okazać, że zimowa wojna z Ukrainą będzie zimnym prysznicem dla imperialnych planów Putina, jeśli Ukraińcy skutecznie zablokują rosyjskiego agresora, a mają taką szansę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Porównanie sił militarnych Ukrainy i Rosji





FOT. MICHAEL KLIMENTYEV/SPUTNIK/AFP/EBST NEWS

Myśliciele Putina



Maciej Pieczyński

Światopogląd władcy Rosji jest eklektyczny. Składa się z tak różnych idei jak suwerenna demokracja, eurazjatyzm, faszyzm, monarchizm, stalinizm, antykomunizm czy konserwatyzm. Kim są filozofowie Putina?

Od wieków podstawa ideologiczna państwa rosyjskiego jest niemal niezmienna. Od czasów carskich przez Związek Sowiecki aż do epoki Putina daje się streścić w trzech wymiarach: autorytarnym, antyzachodnim i mocarstwowym. Te trzy wymiary to jednak tylko ogólne ramy, które za każdym razem wypełniane są konkretnymi ideami, koncepcjami. Często wzajemnie sobie przeczącymi. Ideologia państwa nie musi być bowiem

spójna – ważne, by wpisująca się w tę uniwersalną triadę.

Tak jest w przypadku Władimira Putina. W jego epoce Rosja czcí zarówno carów, jak i genseków, „białych”, jak i „czerwonych”, Mikołaja II, jak i (nieśmiało) Stalina. Upadek Imperium Rosyjskiego i rozpad ZSRS to porównywalne katastrofy geopolityczne, a rewolucjonisci 1917 r. i Nawalny to ta sama kategoria szkodników, którzy za pieniądze Zachodu podnoszą rękę na „wielki kraj”. Sojusz

putinowskiego tronu z prawosławnym ołtarzem nie przeszkadza w kulcie Armii Czerwonej.

CO POSTULOWAŁ ILJIN

Ideologię swojego państwa opiera Putin na kilku filarach. Inspiruje się koncepcjami zarówno klasycznych filozofów, jak i współczesnych myślicieli. Zaczniemy od tych pierwszych. Kilka miesięcy temu, odpowiadając na pytanie o ulubionych filozofów, prezydent Rosji wymienił Nikołaja Bierdiajewa i Iwana Iljina. „To byli ludzie, którzy myśleli o Rosji, myśleli o jej przyszłości” – tłumaczył. Putin chętnie wymienia te dwa nazwiska, niechętnie jednak wyjaśnia, dlaczego właśnie one.

Z tych dwóch klasycznych filozofów częściej w kontekście zainteresowań władcy Kremla pojawia się Iwan Iljin. Nazywany jest wręcz ulubionym myślicielem Putina. Prezydent zapewnia, że

■ często wraca do lektury książki filozofa. Iljin jest stosunkowo mało znany nawet w Rosji. Żył w pierwszej połowie XX w. Radykalny monarchista i antykomunista. Po dojściu bolszewików do władzy wyrzucony z kraju. Działacz tzw. białej emigracji. Sympatyk faszyzmu. Filozofia Iljina nie jest jedynie przedmiotem osobistej fascynacji Putina. Jest także istotnym elementem państwowej ideologii. Świadczy o tym to, że w styczniu 2014 r. kilkudziesięciu rosyjskich urzędników otrzymało w prezencie od administracji prezydenta „Nasze zadania” – zbiór artykułów Iljina.

Filozof, tworząc na emigracji w epoce leninizmu i stalinizmu, zastanawiał się, jak powinna wyglądać Rosja po upadku komunizmu. W jego wizji powinna stać się „narodową dyktaturą”. Władza miałaby być wyłaniana w wyborach, tyle że pod ścisłą kontrolą władzy właśnie. W przypadku na przykład zwycięstwa komunistów w danym okręgu głosowanie byłoby powtarzane. Tak, aby w końcu wygrali właściwi kandydaci. Celem wyborów według Iljina powinno być „zjednoczenie rządu z narodem”. Iljin otwarcie optował przeciwko „pozostawianiu wyników głosowania woli przypadku”. „Trzeba zrezygnować ze ślepej wiary w liczbę głosów i jej polityczne znaczenie” – pisał. Jako monarchista i elitarysta uważał, że „tworzenie władzy państwowej powinno zostać wyrwane z rąk tłumu, ulicy, czerni i przekazane w ręce najlepszych, państwowo i narodowo myślących obywateli”. Putinowi, co prawda, obca jest taka antyegalitarna retoryka, ale już sterowanie procesem wyborczym – przeciwnie.

Iljin prorokował, że po upadku ZSRS zapanuje chaos potęgowany przez demokrację, aż w końcu przyjdzie silny lider i zaprowadzi porządek w formie „narodowej dyktatury”. Przepowiednia ta ziściła się w osobie Putina. Ster rządów, zapowiadał Iljin, przejmą „ludzie oddani Rosji, czujący na sposób narodowy, myślący państwowo, chętni, twórczy ideowo, niosący ludziom nie zemstę i rozpad, ale ducha wyzwolenia, sprawiedliwości i klasowej jedności”. Na tronie zasiądzie uczciwie wybrany władca, rządzący zgodnie z ideą rosyjskiego prawosławnego chrześcijaństwa. Nic dziwnego, że ta wizja spodobała się Putinowi. Władca Kremla może się czuć „rosyjskim mesjaszem” zapowiedzianym przez Iljina.

Putin zaczął swoją pierwszą kadencję od przywrócenia sowieckiej melodii

hymnu państwowego i zawsze mocno wspierał kult zwycięstwa nad faszyzmem. Rozpad ZSRS nazwał katastrofą geopolityczną, podczas gdy Iljin uważał rewolucję bolszewicką za wielką, narodową tragedię. Stosunek do komunizmu dzieli filozofa i jego ucznia. Przed drugą wojną światową Iljin chwalił Hitlera za zatrzymanie bolszewizacji Niemiec. W czasie drugiej wojny światowej przestał zachwycać się nazizmem. Uważał ZSRS i III Rzeszę za równie groźnych wrogów Moskwy, dlatego nie kibicował swoim rodakom podczas wielkiej wojny ojczyźnianej. Akcentował jednak zachodnioeuropejski i antychrześcijański rodowód komunizmu. Potępiał też nie tyle zbrodnie bolszewików, ile rewolucję samą w sobie – niesie ona ze sobą bowiem bunt, chaos i zniszczenie dla wielkiego państwa. Miał więc do bolszewizmu podobny stosunek co Putin do „kolorowych rewolucji”. Wiadomo też, że władca Kremla nie bierze całej spuścizny ZSRS z dobrodziejstwem inwentarza. Wspiera kult czerwonego imperium bardziej ze względu na imperium niż z sympatii do samego systemu komunistycznego.

Wreszcie inspirująca dla Putina może być również chrześcijańska myśl Iljina. Filozof polemizował z Lwem Tołstojem, który postulował ideę niesprzeciwiania się złu przemocą. Iljin stwierdził, że w walce o dobro należy używać siły. „Państwo musi prowadzić walkę ze zbrodniarzami i jest to rzeczą konieczną oraz duchowo słuszną, lecz środki tej walki mogą być niecnотliwe [...] I oto tylko ludzie lepsi zdolni są podjąć się tej

niecnotliwości, nie zarażając się nią” – pisze, dodając przy tym, że silniejsi mają prawo i obowiązek stawiać opór słabym, jeśli są od nich lepsi. To połączenie Chrystusa, wypędzającego kupców ze świątyni, z przekraczającym granice moralności nadczłowiekiem Nietzschego. Autor książki o Iljinie, Eltchaninoff, zauważa, że tego typu tezy Putin realizował, zwalczając demokratyczną opozycję, oligarchów czy tłumiąc opór Czeczenów.

NIE DOCZYTAŁ BIERDIAJEW?

Kilka miesięcy temu Putin stwierdził, że zdrowy konserwatyzm „nie jest tym, co przeszkadza iść naprzód i piąć się do góry, ale tym, co przeszkadza iść w dół i wstecz, w stronę chaosu”. Zacytował w ten sposób Nikołaja Bierdiajewa. Drugi ulubiony filozof rosyjskiego prezydenta uważany jest za jednego z najwybitniejszych prawosławnych myślicieli XX w. Zaczynał jako marksista, przeszedł jednak na pozycję egzystencjalizmu i chrześcijańskiego personalizmu. Obraz Stwórcy widział w wolności twórcy, artysty. Potrafił być krytyczny wobec oficjalnej Cerkwi. Obcy był mu rosyjski nacjonalizm. Bliżej mu było do chrześcijańskiego uniwersalizmu ponad podziałami niż do imperialnej prawosławnej idei Moskwy – Trzeciego Rzymu. Był antykomunistą, ale – inaczej niż Iljin – uważał za zdrajcę każdego Rosjanina, który w czasie drugiej wojny światowej życzył Niemcom pokonania Związku Sowieckiego. To go akurat zbliża z aktualnym, niejednoznacznym, podejściem Kremla do sowieckiej spuścizny. Zbliża, ale nie utożsamia. „Stalinizm, czyli komunizm w okresie budowy, niezauważalnie przeradza się w swego rodzaju rosyjski faszyzm”. A przecież wiadomo, że według państwowej ideologii putinowskiej Rosji niedopuszczalne jest zrównywanie Stalina z Hitlerem. Co gorsza, Bierdiajew za „faszystowskie” uważał akurat te elementy systemu sowieckiego, które Putinowi imponują: „Dla stalinizmu charakterystyczne są wszystkie osobliwości faszyzmu: państwo totalitarne, kapitalizm państwowy, nacjonalizm, wodzostwo, a także – jako baza – zmilitaryzowana młodzież. Lenin nie był jeszcze dyktatorem we współczesnym tego słowa znaczeniu. Stalin natomiast jest już wodzem-dyktatorem we współczesnym faszystowskim sensie”. Putin albo nie doczytał Bierdiajewa, albo dorobek filozofa traktuje instrumentalnie,



Iwan Iljin

FOT. DOMENA PUBLICZNA

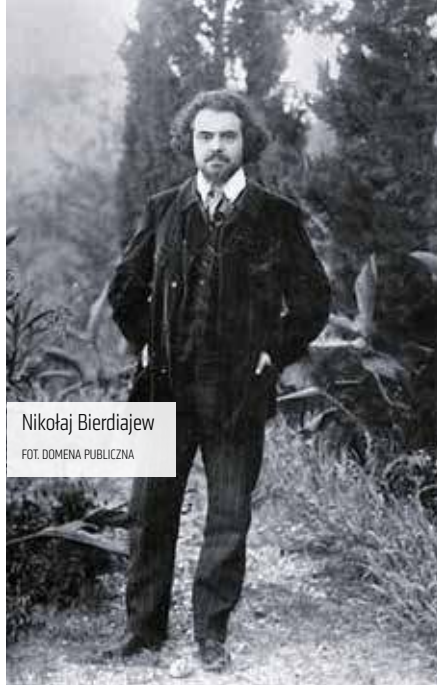
wybierając pasujące do koncepcji, często oderwane od kontekstu wątki. Ostatecznie powoływanie się na wybitnego, powszechnie szanowanego myśliciela, który nie wywołuje kontrowersji nawet u prozachodnich liberałów, może być wizerunkowo pożyteczne. Bierdiajew to w końcu konserwatysta, ale konserwatysta oświecony.

CZERWONO-BRUNATNY SOJUSZ

Spośród współczesnych myślicieli, których wpływ na Putina jest bezsporny, należy wymienić Aleksandra Dugina i Władysława Surkowa. Obaj są jednocześnie działaczami politycznymi, bardzo znanymi i medialnymi. Obu (szczególnie Surkowa) można w zasadzie bardziej uznać za ideologów niż za filozofów w tradycyjnym tego słowa znaczeniu.

Dugin to okultysta, satanista, faszysta, neonazista, monarchista, prawosławny staroobrzędowiec, konserwatysta, narodowy bolszewik, imperialista, geopolityk, neoeurazjata w jednej osobie. Te wszystkie określenia nie odnoszą się do ewolucji poglądów filozofa – wiele z nich występowało bowiem lub występuje jednocześnie. Tym łatwiej ten paradoks zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę to, że Dugin jest jednym z duchowych ojców tzw. sojuszu czerwono-brunatnego – aliansu skrajnej prawicy i skrajnej lewicy, które w okresie rozpadu ZSRS połączyły siły, aby ponad podziałami uratować to, co dla nich wspólne, czyli autorytarne, mocarstwowe, antyzachodnie państwo. Putin był dla wyznającego takie wartości środowiska dobrą zmianą w porównaniu ze słabym, prozachodnim demokratą Jelcynem. Gdy wszedł na drogę rozprawy z oligarchią, imperialnych podbojów i konfliktu z Zachodem, czerwono-brunatni oddali mu hołd. Oni potrzebowali nowego Iwana Groźnego, a nowy Iwan Groźny potrzebował żelaznego elektoratu, który wesprze go w wojnie z liberałami.

Dugin postrzega świat, zgodnie z prawidłami geopolityki, jako arenę walki pomiędzy cywilizacją morza i cywilizacją lądu. Morze to liberalizm, globalizm, atlantyzm, demokracja, konsumpcjonizm, kapitalizm, indywidualizm, ateizm. Czyli Stany Zjednoczone i ich sojusznicy. Ląd to konserwatyzm (rozumiany szerzej niż prawosławie – również konserwatywny islam), patriotyzm, totalitaryzm, kolektywizm. Czyli Rosja, a właściwie rządzona przez nią cywilizacja Eurazji. Przy czym patriotyzm Dugina nie



dotyczy poszczególnych państw narodowych, lecz bloków państw narodowych, zorganizowanych w federacje kontynentalne. Czyli w praktyce jest to patriotyzm mocarstwowy, który może inspirować Rosjan czy Niemców (do których zresztą Dugin żywi wielką sympatię), Polaków zaś powinien raczej przerażać.

Eurazjatyzm jako ideologia powstał w latach międzywojnia, w kręgach rosyjskiej emigracji. Piotr Sawicki i Nikołaj Trubieckoj krytykowali cywilizację germańsko-romańską (czytaj: zachodnią) i przekonywali, że Rosja (Eurazja) stanowi odmienny typ cywilizacyjny, a zatem wcale nie musi naśladować Zachodu. Eurazjaci, choć wypędzeni z Rosji przez bolszewików, wierzyli w sojusz z komunistami pod sztandarem rosyjskiej mocarstwowości. Dugin zmodyfikował tę koncepcję. W odróżnieniu od poprzedników uznał za wroga nie germańsko-romańską Europę, tylko Zachód anglosaski („atlantycki”), uznając Niemców za przedstawicieli lądu, z którymi Rosja może się porozumieć. W ten sposób eurazjatyzm we współczesnej wersji staje się postulatem wspólnej przestrzeni „od Lizbony do Władywostoku” pod panowaniem Moskwy i Berlina. Nietrudno zauważyć, jak bardzo ta koncepcja wpłynęła na politykę zagraniczną Putina. Myśl Dugina pomaga zniuansować antyzachodnią krucjatę Kremla i podzielić Zachód na dobry, ugodowy (niemiecki, czasem francuski) oraz zły, rusofobiczny (USA, Wielka Brytania i ich psy łańcuchowe w postaci Polski i państw bałtyckich).

IDEOLOG PUTINIZMU

Wreszcie nieoceniony jest wpływ myśli Władysława Surkowa na politykę

Kremla. Były zastępca szefa administracji prezydenta, polittechnolog, przez kilka lat kurator donbaskich separatystów. Przede wszystkim jednak główny ideolog putinizmu. Mistrz PR-owego kamuflażu i manipulacji, totalitarny wilk w owczej skórze demokracji, konserwatysta i postmodernista zarazem. Albo inaczej: twórca postmodernistycznego autorytaryzmu – ideologii, która pod płaszczykiem wielości prawd, wolności i otwartości przemycia pochwałę tyranii. Rządów wodza, który jako jedyny może ten wolnościowy chaos opanować.

W 2006 r. Surkow ogłosił koncepcję „suwerennej demokracji”. Według ideologa jest to taki sposób życia społeczno-politycznego, w którym władze Rosji są wybierane, kształtowane i kierunkowane wyłącznie przez naród rosyjski w całej jego różnorodności oraz integralności. Demokracja oznacza władzę ludu. Tyle że podmiotem, inaczej niż na Zachodzie, nie jest tu indywidualnie rozumiany obywatel, tylko kolektyw, zbiorowość – lud czy też naród jako całość. To typowo rosyjskie rozumienie demokracji, której podstawową jednostką jest wspólnota. Jej zaś woli najpełniejszym wyrazicielem zazwyczaj bywa władca. Z kolei suwerenność to niezależność, zdobyta nie tyle dzięki międzynarodowemu uznaniu, ile dzięki własnej, mocarstwowej potęgze. Suwerenna demokracja to zatem tak naprawdę silne i liczące się w świecie mocarstwo, rządzone co prawda przez autokratę, ale cieszącego się poparciem ludu, wyrażonym w wyborach, które służą manifestacji poparcia dla władzy, a nie wyrażeniu wewnętrznych różnic w społeczeństwie. Terminologia ma tutaj znaczenie propagandowe. Używając słowa „demokracja”, Surkow tworzy iluzję alternatywy dla zachodniego świata. Zmęczeni liberalną demokracją Europejczycy zawsze mogą zwrócić się na Wschód, skuszeni nowocześnie – bo „demokratycznie” – wyglądającym opakowaniem.

Ten sam Surkow kilka miesięcy temu prorokował, że Rosja niedługo znów zacznie „eksportować chaos”, czyli destabilizować sąsiednie państwa, aby tym sposobem wzmacniać własną stabilność. Po to, aby docelowo te państwa podbić. „Rosja będzie rozszerzała swoje granice, gdyż takie są prawa fizyki” – stwierdził ideolog putinizmu. Obecnie z Kremlu luźno związany, wciąż jednak wpływowy.



Z dr. Andreasem Umlandem,
niemieckim politologiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Berlin musi porzucić złą politykę

PIOTR WŁOCZYK: Jest pan inicjatorem listu otwartego do niemieckich władz, który ukazał się na portalu tygodnika „Die Zeit”. Wraz z innymi ekspertami ds. bezpieczeństwa wzywa pan Berlin do diametralnej zmiany polityki wobec Rosji. Jak źle to obecnie wygląda?

DR ANDREAS UMLAND: Chcemy zachęcić tym listem Niemcy do dokonania właściwego wyboru w tym bardzo napiętym czasie. Niemcy nie mogą już ograniczać się jedynie do wydawania słusznych komunikatów wzywających do deeskalacji, uspokojenia sytuacji i utrzymania pokoju. Deklaracje muszą zostać poparte konkretnymi czynami, które pokazałyby, że Niemcy faktycznie chcą powstrzymać agresywne działania Moskwy. To jednak wymagałoby głębokiej zmiany polityki zagranicznej Niemiec wobec Rosji.

Dlaczego obecna polityka Berlina jest tak miękka? Stoi za tym zwykła chęć robienia interesów, krótkowzroczność, naiwność czy może coś jeszcze innego?

To skomplikowane zagadnienie. W Niemczech panuje mocno zakorzenione przekonanie, że eskalacja wynika po

prostu z niezrozumienia wzajemnych racji. Mało kto widzi w Putinie kogoś naprawdę niebezpiecznego. Wielu uważa, że rozwiązaniem jest jeszcze więcej dyplomacji i dialogu, szukanie wspólnych elementów i dbanie o wzajemne zaufanie. To podejście charakteryzuje niemiecką politykę od dekad. Od razu chciałbym zaznaczyć, że to fantastyczne podejście. Jedynym problemem jest to, że ta strategia kompletnie nie działa w tym przypadku. Jak przekonujemy w liście, ostatnie 30 lat niemieckiej polityki wschodniej to błąd za błędem.

Moskwa nie jest agresywna od niedawna. Krok po kroku widać było, że pobłażanie Rosji przynosi coraz gorsze rezultaty. Najpierw Gruzja, teraz Ukraina. Dlaczego Berlin nie uznał żadnego z tych przypadków za czerwoną linię?

Niektórzy w Niemczech starają się patrzeć na Rosję tak, jakby to był kraj zachodni, i mierzą go zachodnią miarą. Kluczową rolę odgrywają stosunki ekonomiczne. Do tej pory zmiana polityki wobec Rosji mogła się wydawać zbyt kosztowna, a nie możemy też zapominać o istnieniu

bardzo potężnych grup nacisku w Niemczech. Myślę tu głównie o lobby energetycznym i rządach wschodnich landów, dla których Nord Streamy to doskonałe źródło dochodów.

Dla Niemiec jako całości o wiele ważniejsza gospodarczo od Rosji jest jednak wschodnia „ściana” UE. Czy w Berlinie nie ma obaw, że dalsze przesuwanie rosyjskiej strefy wpływów na zachód może przynieść ze sobą olbrzymie problemy gospodarcze w naszej części Europy?

Niestety, wciąż nie ma w Niemczech wystarczającej świadomości tego, jak wiele szkód ekonomicznych może przynieść Niemcom polityka, która nie stawia tamy Moskwie. Smutna prawda wygląda tak, że lobbyści zabiegający o realizację swoich interesów z Rosją są na razie dominującą siłą, a ci, którzy przestrzegają przed negatywnymi długookresowymi konsekwencjami, nie mają takiego przełożenia na działania polityków.

Piszą państwo w liście otwartym, że rosyjski atak na Ukrainę w 2014 r. „wyglądał niemal



FOT. ANDREAS UMLAND/FACEBOOK

wobec Rosji i G8 stało się znów G7. Moskwa musiała odebrać taki ruch Niemiec jako coś nielogicznego, skoro wcześniej Berlin nawet nie przyrykał oczu, ale wręcz je zamykał na agresywne zachowanie Kremla. Rosjanie nie spodziewali się tego bardziej „jastrzębiego” podejścia. Obecna polityka Niemiec wciąż nie jest wystarczająco ostra w stosunku do Moskwy, czego efekty wszyscy widzimy, ale na szczęście nie jest już tak uległa jak przed 2014 r.

W liście otwartym pada sformułowanie „polityczna pasywność”. Czy te słowa na pewno zostały dobrze dobrane? Czy budowa Nord Stream 1, oddanego do użytku przed agresją na Ukrainę w 2014 r., nie jest raczej efektem „politycznej aktywności”?

Nord Stream to z perspektywy Niemiec projekt biznesowy. Rosja zaoferowała Niemcom bardzo dobry układ. Powiedziałbym nawet, że wręcz bajecznie dobry. Niemcy mieli się dzięki temu stać europejskim hubem dla rosyjskiego gazu. Gazprom był tu bardzo szczodry. W Niemczech przekonywano, że podkreślanie aspektu politycznego całego przedsięwzięcia to gruba przesada, a wszelkie głosy krytyczne to przejaw „wschodnioeuropejskiej paniki”. Pamiętamy też, że partnerami NS ze strony zachodniej są nie tylko prywatne firmy niemieckie, lecz także prywatne przedsiębiorstwa z innych krajów UE.

Niemcy oczywiście podkreślają aspekt biznesowy całego przedsięwzięcia, ale jeżeli jest coś, co łączy właściwie całą polską scenę polityczną, to jest to właśnie przekonanie, że ta rura to przede wszystkim projekt polityczny.

Z rosyjskiej strony to czysta polityka, ponieważ w rzeczywistości Gazprom – a właściwie Rosja – nie potrzebował budować obu Nord Streamów. Zbudowanie tych gazociągów było bardzo drogie, niezwykle kosztowne będzie też utrzymanie tych dróg przesyłowych. Z perspektywy Rosji to nie jest opłacalne, skoro gazociągi istniejące na lądzie mają wystarczające parametry, by zapewnić gaz Europie. W Niemczech udało się jednak zasiać przekonanie, że ukraiński system przesyłu gazu jest na skraju upadku i w związku z tym Niemcy mogą zamarznąć.

Ukraińskie rury są sprawne?

Jak najbardziej. W Niemczech jako argument za Nord Streamami podaje się opinie wschodniemieckich specja-

listów, którzy budowali te gazociągi w latach 70. i którzy byli konsultowani w tej sprawie przez niemiecki rząd. Ich zdaniem ukraińska infrastruktura jest już zbyt leciwa i do niczego się nie nadaje. Tymczasem zupełnie zignorowano to, że Ukraińcy przeznaczali dużą część wpływów z opłat tranzytowych na modernizację gazociągów. Nie jest to więc żaden sensowny argument przemawiający za Nord Streamami.

W swoim liście piszą państwo, że niemiecka formuła „Annäherung durch Verflechtung” (niem. „Zbliżenie poprzez powiązanie”) zyskała „tragikomiczne znaczenie”.

W założeniu bowiem „zbliżenie poprzez powiązanie” miało być tylko metaforą. Tak wyobrażali to sobie niemieccy politycy. Tymczasem teraz widzimy, że to już nie jest metafora, lecz rzeczywistość geograficzna. Rosja faktycznie coraz bardziej się zbliża...

Czy ostatnie wydarzenia nie skłaniają polityków w Berlinie do pewnej refleksji?

Mam wrażenie, że obecny kryzys sprawił, iż dyskurs w Niemczech nieco się zmienia. Można wyłuskać pewne optymistyczne sygnały z różnych obozów politycznych. Niemal codziennie w prasie pojawiają się wezwania do zmiany. Nie widać jeszcze przełomu, ale mam wrażenie, że ten proces zmierza w dobrym kierunku.

Ze stanowiskiem szefa niemieckiej marynarki wojennej musiał się ostatnio pożegnać wiceadmirał Kay-Achim Schönbach. Była to reakcja na jego słowa: „Ukraina nigdy nie odzyska Krymu, a Władimir Putin zasługuje na szacunek”. Jak powinniśmy to odbierać?

Szybkość, z jaką zmuszono wiceadmirała Schönbacha do rezygnacji, była dla mnie bardzo zaskakująca. W gruncie rzeczy nie powiedział on przecież niczego skandalicznego w kontekście obecnego niemieckiego podejścia do Rosji. Jego słowa oddają to, co o tym wszystkim myśli większość Niemców. Myślę, że możemy się w tym dopatrywać oznaki zmiany na lepsze, na co bardzo liczę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Andreas Umland jest niemieckim politologiem, analitykiem stosunków międzynarodowych pracującym dla Swedish Institute of International Affairs. Jest również wykładowcą na Narodowym Uniwersytecie Akademii Kijowsko-Mohylańskiej w Kijowie.

na logiczną konsekwencję dwudziestolecia niemieckiej politycznej pasywności względem rosyjskiego neoimperializmu”. To brzmi jak oskarżenie: to, co się dzieje na wschodzie Ukrainy, było możliwe w znacznej mierze dzięki Niemcom.

List w tej sprawie musi brzmieć ostro, bo fakty są tu jednoznaczne. Jeżeli spojrzeć na to z perspektywy Moskwy, to widzimy Putina zapraszanego do Bundestagu na wygłoszenie przemówienia, strategiczne partnerstwo, kwitujące stosunki gospodarcze. To Niemcy wciągnęły Rosję do G7, które stało się w ten sposób G8. Niemcy też zablokowały członkostwo Gruzji i Ukrainy w NATO. Ani odrywanie części terytorium Mołdawii, ani atak na Gruzję nie były dla Niemiec czerwoną linią. Rosjanie wyciągali z tego wszystkiego własne wnioski...

I nagle w 2014 r. rosyjska agresja na Ukrainę zakończyła się ostrzejszą odpowiedzią. Tymczasem z rosyjskiego punktu widzenia nie stało się przecież nic nowego. To samo działo się już w Mołdawii (Naddniestrze) i w Gruzji. Nagle jednak Niemcy wsparły sankcje



Ulga? Czyżby?



Lukasz Warzecha

Ulga dla klasy średniej komplikująca i tak już niejasny Polski Ład to kolejny element uzależnienia obywateli od państwa

Ulga dla klasy średniej to jeden z najbardziej malowniczych elementów łamigłówki znanej pod nazwą Polskiego Ładu. Jest ona malownicza całkiem dosłownie, mając postać następującą:

„1) $(A \times 6,68\% - 4566 \text{ zł}) \div 0,17$, dla A wynoszącego co najmniej 68 412 zł i nieprzekraczającego kwoty 102 588 zł,
2) $(A \times [-7,35\%] + 9829 \text{ zł}) \div 0,17$, dla A wyższego od 102 588 zł i nieprzekraczającego kwoty 133 692 zł

– w którym A oznacza sumę uzyskanych przez podatnika w roku podatkowym i podlegających opodatkowaniu zgodnie z art. 27 przychodów ze stosunku służbowego, stosunku pracy, pracy nakładczej i spółdzielczego stosunku pracy oraz uzyskanych w ciągu roku przychodów z pozarolniczej działalności gospodarczej pomniejszonych o koszty

prowadzenia tej działalności z wyłączeniem z tych kosztów składek na ubezpieczenia społeczne, o których mowa w art. 26 ust. 1 pkt 2 lit. a i pkt 2a”.

„A” może się jeszcze zmienić, ponieważ rząd uznał, że ulga powinna obejmować także kolejne rodzaje działalności. „Rozciągamy ulgę dla klasy średniej na wszystkich emerytów i rencistów, którzy otrzymują do 12,8 tys. zł miesięcznie. Podobnie będzie ze zleceniobiorcami, ale także np. z nauczycielami akademickimi, którzy mają wysokie koszty uzyskania przychodu – do pensji 12,8 tys. zł nie będzie straty. Każdy, kto tyle zarabia, zyska lub nie straci” – zapowiedział Mateusz Morawiecki. Nie wiadomo jednak, czy jest to ostatnie słowo, bo jest zarazem mowa o rozszerzeniu ulgi „na wszystkich”, którzy mogliby stracić na Polskim Ładzie. Nie ma jasności, czy owych „wszystkich” pan premier już wymienił czy nie. Z tym że w każdym przypadku obowiązuje magiczna granica 12,8 tys. zł brutto miesięcznych zarobków. Zmiana reguł w trakcie roku podatkowego wywoła oczywiście kolejne zamieszanie, ale jest ono już tak głębokie, że chyba nie ma to nawet znaczenia.

MAGICZNA GRANICA

Ulga dla klasy średniej została wymyślona jako odpowiedź na oskarżenia

pojawiające się zaraz po zaprezentowaniu konkretnych założeń Polskiego Ładu w ubiegłym roku, że nowe rozwiązania uderzą właśnie w klasę średnią. Były to zresztą oskarżenia zasadne z punktu widzenia logiki rządów Prawa i Sprawiedliwości. Jednym z ich niewypowiedzianych głośno założeń jest bowiem wyciśnięcie średniaków, bo z nich da się jeszcze wycisnąć, tak aby stworzyć jak największą grupę obywateli uzależnionych od redystrybucji dokonywanej przez państwo i przekonać ich, że są właśnie tą już słuszną, nową „klasą średnią”, istniejącą jedynie dzięki dobremu rządowi. Temu miały służyć wypowiedzi takie jak dawno już temu Mateusza Morawieckiego, a całkiem niedawno, w lipcu ubiegłego roku, Piotra Patkowskiego o tym, że klasa średnia zaczyna się od 4 tys. brutto, czyli niespełna 3 tys. netto (na etacie), bo tak wynika z wyliczeń ministerstwa. Granica 4 tys. pojawiała się nieraz, ale wynikała z całkowitego niezrozumienia pojęcia klasy średniej. Klasa średnia nie oznacza bowiem zarobków na poziomie średniej krajowej.

Zagadką jest, skąd rządzący wzięli akurat granicę 12,8 tys. zł brutto miesięcznie jako nową granicę klasy średniej. Zapewne ma to jakieś uzasadnienie w wewnętrznych wyliczeniach pokazu-



działa „podatek inflacyjny”. Podatek to tutaj sformułowanie jak najwłaściwsze, bo z punktu widzenia budżetu pozwala to zmniejszyć faktyczną wartość zadłużenia państwa.

KLASA ŚREDNIA TO NIE ZAROBKI

Owszem, rząd łaskawie podniósł granicę klasy średniej z 4 tys. na 12,8 tys. – to zawsze jakiś postęp. Wciąż jednak jest to arbitralnie wyznaczona granica, określająca klasę średnią jako zależną od tego, ile się zarabia. To absurd, już choćby dlatego, że inna jest siła nabywcza pieniądza w różnych regionach kraju. Inny jest status osoby zarabiającej 9 tys. zł w Warszawie, a inny – w Olsztynie czy Jaśle.

Ktoś, kto zarabia owe 9 tys. – a więc, pamiętajmy, maksymalną sumę, która uprawnia do ulgi dla klasy średniej, powyżej której, zdaniem rządzących, zaczyna się już bogactwo – spłaca zapewne kredyt hipoteczny. To w Polsce częsty element sytuacji finansowej klasy średniej. Wobec wzrostu oprocentowania rata urosła znacząco. Firma HRE Investments wyliczyła, że w przypadku kredytu na 25 lat przy 300 tys. zł do spłaty rata rośnie z 1778 do 1867 zł, a jeżeli do spłaty jest 500 tys. zł – to wzrost wyniesie z 2964 do 3112 zł, czyli blisko 150 zł miesięcznie. A to zapewne nie koniec. Zatem ów niemal bogacz, jeśli obciąży go kredyt, już na wstępie musi odliczyć od swojego wynagrodzenia netto blisko 2 tys. zł. Doliczymy do tego rosnące na potęgę koszty utrzymania (gaz, prąd, ciepła woda, śmieci), ceny w sklepach, koszty wychowania dzieci. Krezus, któremu rząd łaskawie przyznaje jeszcze ulgę „dla klasy średniej”, z największą trudnością być może coś z tych 9 tys. miesięcznie zaoszczędzi, ale nie będą to raczej wielkie sumy i w dodatku, jeżeli ulokuje je w banku, to będą prędko tracić na wartości.

Klasa średnia to nie zarobki, ale to, na co człowieka stać. Wyznacznikiem klasy średniej jest własna nieruchomość, choćby w kredycie, przynajmniej jedno auto, przynajmniej jeden wakacyjny wyjazd w roku, być może za granicę, a przede wszystkim możliwość systematycznego gromadzenia majątku poprzez oszczędzanie. Brytyjczycy podkreślają tu również czynnik wykształcenia czy uprawiany zawód. W brytyjskich warunkach do klasy średniej byliby zaliczani na przykład nauczyciele, którzy w Polsce finansowo ledwo się o nią ocierają.

Dyskusje o właściwej definicji klasy średniej nigdy się nie zakończyły. Tam, gdzie uwzględniane są czynniki finansowe, granice dochodów klasy średniej mogą zakreślać ogromny obszar. Amerykański think tank Brookings Institution wylicza aż 12 różnych definicji klasy średniej, które dochody należących do niej gospodarstw domowych wyliczają od 13 do 230 tys. dol. rocznie. Według obecnego kursu – od ok. 52 tys. do 935 tys. zł (ponad 77 tys. zł miesięcznie! – dużo nawet jak na amerykańskie warunki). Opisywanie klasy średniej tak, jak to robi polski rząd, jest metodą najprymitywniejszą, nieadekwatną i ignorującą skomplikowanie sprawy.

Tymczasem klasa średnia na świecie potężnie ucierpiała w pandemii. Jeszcze w 2020 r. Pew Research Center wyliczało, że globalnie ta grupa zmniejszyła się o 54 mln ludzi. W kwietniu ubiegłego roku Bloomberg pisał o znacznie większej grupie 150 mln osób mniej w klasie średniej, i to tylko w samym świecie rozwijającym się, podkreślając, że to pierwsza taka sytuacja od prawie trzech dekad. Najmniej w tym zestawieniu straciła Europa – ok. 3 proc. swojej klasy średniej w państwach rozwijających się. Najwięcej Indie – aż 32 proc. Jedną trzecią! Globalnie spadek wyniósł 7 proc.

UZALEŻNIENI

To jednak wszystko oceny dotyczące tylko pierwszego roku pandemii. Na nowsze obliczenia musimy jeszcze poczekać. Nie ma natomiast wątpliwości, że Polski Ład uderzy w aspiracje i dochody tej właśnie grupy już choćby przez to, że przede wszystkim dociska przedsiębiorców, a to oni w ogromnej mierze tworzą klasę średnią. I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej: właśnie przedsiębiorcy, którzy mają ponieść największe ciężary w nowym systemie, swoją przynależność do klasy średniej wypracowali sobie sami, niezależnie od państwowych pieniędzy i redystrybucji. Tymczasem ulga dla klasy średniej, komplikująca i tak już niejasny Polski Ład, to kolejny element uzależnienia obywateli od państwa. Rządzący stworzyli system, z którego niezmiennie trudno będzie się wypłatać, a który choćby znośne warunki życia powiąże nie z własną pracą i jej owocami, lecz z rozdzielaniem odebranych innym pieniędzy na podstawie niejasnych algorytmów.

jących, jak dużej grupie podatników ile można odpuścić bez zagrożenia całkowitym wywróceniem się budżetu. Nie ma to jednak uzasadnienia w pozaexcelowej rzeczywistości.

12,8 tys. zł brutto to na etacie – według starego systemu – ok. 9 tys. zł netto. Tyle lub więcej zarabia ok. 10 proc. Polaków. Wartość tych pieniędzy spada jednak błyskawicznie w związku z galopującą inflacją, która średniorocznie w ubiegłym roku wyniosła 5,1 proc., ale rozprędkowała się na dobre w drugiej połowie roku i w grudniu wyniosła aż 8,6 proc. w ujęciu rocznym. Prognozy na ten rok nie są dobre, zwłaszcza że obniżki obciążeń fiskalnych, które w ramach tarczy antyinflacyjnej wprowadzał rząd (i chwała mu za to), mają tymczasowy charakter. Gdy zostaną cofnięte, inflacja może wystrzelić nawet powyżej 10 proc. Założmy, że średniorocznie wyniesie 8 proc. To znaczy, że jeśli ktoś na początku roku zarabia netto 9 tys. zł, to te 9 tys. na koniec roku będą warte już tylko 8280 zł. Jeśli zaś ktoś zaoszczędził i ma na koncie – przy praktycznie zerowym wciąż oprocentowaniu, bo tu banki nie spieszą się z podwyżkami – powiedzmy 50 tys. zł, to na koniec roku te pieniądze będą warte już jedynie 46 tys. zł. A 4 tys. rozpułnie się w powietrzu. Tak

FOT. ADRIEN STUCK



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Pakt Merkel-Putin?

Jak mógłby brzmieć, oczywiście, gdyby istniał, oczywiście nieistniejący – zapisany lub tylko ustny – tajny protokół do oczywiście nieistniejącego paktu Merkel-Putin?

Albowiem treść samego, oczywiście nieistniejącego paktu Merkel-Putin mogłaby przecieć z powodzeniem – „jak to między przyjaciółmi” – brzmieć mniej więcej tak: „Rząd Republiki Federalnej Niemiec i Rząd Federacji Rosyjskiej, pragnąc wzmocnienia sprawy pokoju pomiędzy Niemcami a Rosją, zawarły następujące Porozumienie. Art. 1. Obie Wysokie Umawiające się Strony zobowiązują się ponieść jakichkolwiek aktów przemocy, agresji czy też jakichkolwiek ataków przeciw sobie, tak indywidualnie, jak wspólnie z innymi Mocarstwami...”. A potem kilka, jeden po drugim, podobnie brzmiących artykułów, w których „Obie Wysokie Umawiające się Strony” zapewniają się o wzajemnej nieagresji i przyjaźni – tak, jak to było w pakcie Ribbentrop-Mołotow.

A zatem – jak mógłby brzmieć, oczywiście gdyby istniał, oczywiście nieistniejący – zapisany lub tylko ustny – tajny protokół do oczywiście nieistniejącego paktu Merkel-Putin? Czyż nie mógłby brzmieć na przykład mniej więcej tak: „Z okazji podpisania Paktu o nieagresji między Republiką Federalną Niemiec a Federacją Rosyjską podpisani pełnomocnicy obu stron poruszyli w ścisłe poufnej wymianie zdań sprawę wzajemnego rozgraniczenia sfer interesów obu stron. Wymia-

na ta doprowadziła do następującego wyniku: 1. Ukraina pozostaje w strefie wyłącznych wpływów Federacji Rosyjskiej, która może sobie dowolnie układać relacje z nią. 2. Federacja Rosyjska jest zobowiązana do zapewnienia Republice Federalnej Niemiec niczym niezakłóconych dostaw gazu, po uzgodnionych cenach i w umówionej ilości – bez względu na to, którym gazociągami. 3. Republika Federalna Niemiec i Federacja Rosyjska pozostaną w faktycznie przyjaznych stosunkach, choćby okresowo musiały na użytek publiczny udawać wzajemną wrogość dla podtrzymania swych właściwych wizerunków. Podpisano: ...”.

Oczywiście nieistniejący pakt Merkel-Putin wraz z oczywiście nieistniejącym tajnym protokołem do niego oczywiście nie istnieją? A mimo to Niemcy od długich lat, a ostatnio „jeszcze bardziej”, w sprawach, w których w grę wchodzi ich relacje z Rosją – nieważne, w sprawie Nord Stream 1 i 2, w sprawie napaści Rosji na Ukrainę itd., itp. – zachowują się dokładnie tak, jakby związani byli z Kremlm takim właśnie, oczywiście nieistniejącym paktem Merkel-Putin oraz dołączonym do niego oczywiście nieistniejącym tajnym protokołem – wspólnie zredagowanym i podpisanym albo wspólnie uzgodnionym – ustnym, albo tylko... wspólnie pomyślanym. Czyż nie?

PS Skądinąd ciekawe, co w takim nieistniejącym tajnym protokole do nieistniejącego paktu Merkel-Putin zapisano by na temat Polski. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Strzelanie do pośłańca

Nie wiem, kto doradza w sprawach wizerunkowych firmie T-Mobile, ale chyba powinien prędko stracić robotę. Firma postanowiła bowiem pogorszyć swój obraz bardziej, niż mogłyby to zrobić jakkolwiek awaria czy wyciek danych.

Zaczęło się od opublikowania przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców „Księgi wstydu Ministerstwa Finansów”. Ten porażający raport pokazywał – na podstawie oficjalnych

sobie koszt pozyskania częstotliwości, który wynosił 4 mld zł (to wpływy do polskiego budżetu). Tylko że nie ma tu żadnej sprzeczności z tym, co twierdzi ZPP. Związek nie oskarżał żadnej z firm przedstawionych w raporcie o łamanie prawa ani nie wziął liczb z sufitu. Nie bez powodu raport odnosił się w tytule do Ministerstwa Finansów, bo był oskarżeniem przede wszystkim pod adresem polskiego systemu podatkowego i systemu podatku CIT. A że wielkie firmy z tego korzystały? Cóż, trudno, żeby tego nie robiły, jeśli polskie państwo dało im taką możliwość.

Co powinna zrobić odpowiedzialna firma, traktująca swoje zobowiązania poważnie? Niezależnie od odliczeń, do których była uprawniona, zapłacony podatek był przecież groteskowy. Zamiast jednak grozić pozwem tym, którzy ten nietajny przecież fakt ujawnili, należałoby zgodzić się z konkluzją i stwierdzić, że owszem – płacone przez telekomunikacyjnego giganta podatki powinny być wyższe, ale to nie kwestia jego woli, tylko tego, jak skonstruowany jest w Polsce system. Wrażenie byłoby o niebo lepsze.

Na razie zaś jest takie, że niemiecka korporacja przez kilka lat płaciła w ramach CIT tyle co, a kiedy ktoś o tym powiedział, grozi mu sądem. Jako się rzekło – PR-owiec do zwolnienia natychmiast. ©©

Niezależnie od odliczeń, do których niemiecka firma była uprawniona, zapłacony podatek był przecież groteskowy

danych MF – jak śmiesznie niskie podatki płać w Polsce niektóre wielkie korporacje mimo przychodów idących w miliardy. Było tam także o T-Mobile: w latach 2016–2020 niespełna 31 tys. podatków przy 43 mld zł przychodów i 800 tys. zł pomocy publicznej (!).

T-Mobile uznało, że podanie tego bezspornego przecież faktu godzi w ich wizerunek, i powiadomiło, że wszystko było legalne, ponieważ firma odliczyła

Partnerstwo publiczno-prywatne



Piotr Hofman

Skala przemian politycznych, gospodarczych i społecznych w Polsce w ostatnich kilkudziesięciu latach, powoduje, że administracja państwowa staje przed koniecznością realizacji systematycznie rosnącej liczby zadań publicznych. Dlatego konieczne jest, aby partnerstwo publiczno-prywatne znalazło u nas stałe miejsce. Niestety, w Polsce pomimo wielu prób jak dotąd nie udało się spopularyzować idei partnerstwa publiczno-prywatnego, które w ostatnich latach wynosiło jedynie 1 proc. ogólnej wartości zamówień publicznych. Jednak PPP jest niezwykle przyszłościowym narzędziem z dużym potencjałem rozwoju i popularnością w wielu krajach świata.

Istnieje wiele definicji partnerstwa publiczno-prywatnego (PPP). Mówiąc najprościej, jest to współpraca pomiędzy usługodawcami publicznymi i prywatnymi, w wyniku której obydwa wnoszą

specyficzny wkład do wspólnego procesu świadczenia usług. Według Banku Światowego partnerstwo publiczno-prywatne może być narzędziem zapewniającym lepszą jakość usług infrastrukturalnych dla większej liczby osób. Zastosowanie partnerstwa publiczno-prywatnego z reguły prowadzi do zwiększenia dostępności usług publicznych, a także poprawy ich jakości.

Partnerstwo publiczno-prywatne umożliwia udział inwestorów prywatnych w wykonywaniu zadań publicznych, a w szczególności w ponoszeniu związanego z tym ryzyka. Możliwość przeniesienia ryzyka na partnerów prywatnych, w połączeniu z ich znacznie lepszym przygotowaniem do prowadzenia działalności gospodarczej, jest podstawowym źródłem korzyści dla interesu publicznego. Przez umożliwienie każdemu z sektorów robienia tego, co potrafi najlepiej, usługi są realizowane w sposób najbardziej efektywny ekonomicznie.

Doświadczenia różnych państw pokazują, że zadania publiczne mogą być pomyślnie wykonywane w partnerstwie z sektorem prywatnym oraz mogą stanowić wzór implementacji kapitału prywatnego w prowadzenie i finansowanie inwestycji oraz świadczenie usług publicznych. Świetnym przykładem może być tu sektor budownictwa. Samorządy z reguły nie dysponują odpowiednim zasobem kadrowym oraz brakuje im funduszy na budowę nowych budynków. Ograniczone możliwości uzyskania wsparcia ze środków rządowych i brak środków własnych zmuszają gminy do poszukiwania alternatywnych sposobów finansowania inwestycji mieszkaniowych. Sposobność pozyskania na własność lokali komunalnych, przy jednoczesnym braku konieczności poniesienia wysokich nakładów inwestycyjnych, daje samorządom partnerstwo publiczno-prywatne (PPP). I to zarówno w budowaniu budynków użyteczności publicznej,

jak i mieszkań, których – jak wiemy – w Polsce wciąż jest deficyt. Poza tym współpraca sektora publicznego i prywatnego to również wiele miejsc pracy oraz szansa rozwoju dla naszych rodzimych firm.

Kapitał prywatny i publiczny potrafi wspólnie działać. Oczywiście jest, że trzeba mieć ogromną odwagę i doświadczenie, aby realizacja przebiegała jak najbardziej efektywnie. Uważam, że dobrze ustawiony taki model współpracy może być bardzo efektywny i przynosić wymierne korzyści dla wszystkich. Dla społeczeństwa, podmiotów publicznych odpowiedzialnych za dostarczenie usług publicznych oraz partnerów prywatnych zainteresowanych zwrotem ze swojego kapitału. Realizacja projektu w formule partnerstwa publiczno-prywatnego wymusza lepsze przygotowanie projektów, terminowość i oszczędność, lepiej wykorzystuje kompetencje poprzez podział zadań oraz ryzyka pomiędzy sektor publiczny i prywatny. Zwłaszcza że na świecie PPP funkcjonuje z bardzo dobrymi skutkami. Najbardziej spektakularnym przykładem w Europie była budowa tunelu pod kanałem La Manche. U nas dobrym krokiem jest ustawa o PPP z 2015 r., jednak to wciąż za mało, aby taki model współpracy był powszechny.

Dla mnie po wielu latach aktywności biznesowej oczywiste jest, że w Polsce potrzebujemy skuteczne działania w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego. Niestety, nadal za mało jest tu pozytywnych wzorców. Przede wszystkim należy edukować społeczeństwo, że taki model współpracy jest najbardziej korzystny w wielu dziedzinach: budownictwo, energia, edukacja, transport, telekomunikacja, gospodarka wodna czy opieka zdrowotna. Cieszę się więc z moich dotychczasowych sukcesów w tym sektorze i mam nadzieję, że zachęcą one kolejne podmioty publiczne i prywatne do tego, aby realizować wiele projektów wspólnie.



Łukasz Zboralski

Polscy sportowcy ruszają walczyć o medale igrzysk olimpijskich w Pekinie. Zmagania mocno utrudniać będzie pandemia

Oj, niedobrze, niedobrze – można by zacząć rozmyślania o rozpoczynających się 4 lutego igrzyskach, tak jak słynną audycję satyryczną „Rycerzy trzech” zaczynała zawsze radiowa Trójka. Dlaczego niedobrze?

Po pierwsze, zanim polscy sportowcy dotarli do Pekinu, rozpętała się awantura o hasło, które będzie towarzyszyć naszej ekipie. Tak się bowiem składa, że brzmi ono „Silni razem”, co od razu wiele osób skojarzyło z hashtagem używanym w social mediach przez osoby o lewicowych poglądach, które często dopuszczały się hejtu. No i Polski Komitet Olimpijski opublikować musiał oficjalny komunikat, w którym wytłumaczył, że „Silni razem – Team Polska Pekin 2022” to nawiązanie do kampanii Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego „Stronger Together” oraz oficjalnego motto światowego Ruchu Olimpijskiego – „Szybciej, wyżej, mocniej – razem”.

Po drugie, Piotr Żyła ma pozytywny test na koronawirusa. I to nie jest pozytywna wiadomość, ponieważ żelazny członek naszej kadry nie pojedzie do Chin, gdy będzie miał pozytywny wynik. To poważnie osłabiłoby naszą kadrę skoczków na igrzyska, do której oprócz Żyły powołani zostali: Kamil Stoch, Dawid Kubacki, Stefan Hula i Paweł Wąsek. Skoczkowie w Pekinie rywalizację zaczną już 5 lutego kwalifikacjami do konkursu indywidualnego na skoczni normalnej. Polska ekipa ma na razie plan codziennych testów Żyły. Bo jeśli uda się złapać dwa negatywne testy w ciągu 24 h, to nasz mistrz świata mógłby pojechać i na Puchar Świata w Willingen, i do Chin.

To jednak nie koniec niedobrych wiadomości. Nawet gdy Żyła pojedzie, to ostatnie występy naszych skoczków nie napawają optymizmem. W zasadzie od dawna nie mieli tak słabego sezonu. Ich ostatnie wyniki zaczęły niebezpiecznie przypominać czasy przed Małyszem, gdy to Piotr Fijas w latach 80. osiągał wyniki w trzeciej dziesiątce zawodników...



Kto wróci z

Są oczywiście i wiadomości dobre – nasz najlepszy skoczek Kamil Stoch po kontuzji podobno wraca do formy, którą szlifowano w Zakopanem, i jest najlepszy z całej kadry.

KOGO TYPUJĄ ANALITYCY?

Po zapowiedzi sekretarza generalnego PKOl o tym, że najważniejszą sprawą jest zabezpieczenie zdrowotne zawodników, a nie to, co chcą sportowo osiągnąć, nastrój w ekipie chyba nie jest bojowy. Adam Krzesiński mocno ostudził apetyt na medale. – Jeśli chodzi o nadzieję sportowe, to nie oczekujemy jakiś wielkich fajerwerków – powiedział Polskiemu Radiu.

A czego możemy oczekiwać? Po pierwsze – czegoś od ekipy skoczków. Cztery lata temu na igrzyskach

w Pjongczangu to właśnie oni zdobyli jedyne dwa medale dla naszej ekipy. Kamil Stoch zdobył złoty medal w konkursie indywidualnym. A cała ekipa – Stoch, Kot, Hula, Kubacki – w rywalizacji drużynowej zdobyła brąz.

Według analityków z amerykańskiej grupy Gracenote Nielsen Polacy mają szansę tylko na trzy medale: jeden złoty i dwa brązowe. W analizie nie podano, w jakich dyscyplinach. Ale jeśli od skoczków możemy oczekiwać dwóch medali, to kto powinien zdobyć trzeci?

Sportowi eksperci na pierwszym miejscu wymieniają tu – jako największą naszą nadzieję – Natalię Maliszewską, która wyrasta na prawdziwą gwiazdę short tracku. W ubiegłym sezonie była trzecia w klasyfikacji Pucharu Świata na dystansie 500 m.



medalem?

Jest wicemistrzynią świata i mistrzynią Europy. Formę ma idealnie na czas.

KTO SPRAWI NIESPODZIANKĘ?

W naszej ekipie narodowej jest jedna kilka postaci, które mogą zaskoczyć i tak się sięgnąć po medale igrzysk.

Zacznijmy od Zbigniewa Bródki. Nasz utytułowany panczenista, mistrz olimpijski z Soczi (2014), a także drużynowy brązowy medalista kilka lat temu zakończył karierę. Jednak trenować nie przestał. I teraz wrócił do międzynarodowych zawodów. Jak wyznał, głównie dlatego, żeby pojawić się w Pekinie. – W pracy strażaka adrenaliny mi nie brakuje, ale brakowało mi sportowej rywalizacji. Największym czynnikiem motywującym były jednak zbliżające się igrzyska. Bar-

dzo chciałem udowodnić sobie, że jestem w stanie powalczyć o czwarty olimpijski start – mówił Bródka.

I choć w tym roku skończy 38 lat, to chce jeszcze powalczyć o dobry wynik. I wcale nie jest powiedziane, że czegoś nie ugra. Bo on nic już udowadniać nie musi. A wciąż coś może.

W Pucharze Świata w tym roku na podium wchodzili panczeniści Kaja Ziomek i Marek Kania. Dodajmy jeszcze Andżelikę Wójcik, która też już była w stanie wygrać wśród najlepszych łyżwiarzek świata. Wygrała wszakże zawody Pucharu Świata w Salt Lake City.

Na podium meldowali się w swojej dyscyplinie – snowboardzie – także Aleksandra Król, Michał Nowaczyk i Oskar Kwiatkowski.

Kolejną wymienianą przez wszystkich nadzieją medalową jest nasza narciarka alpejska Maryna Gąsienica-Daniel. 27-letnia zawodniczka w grudniu ubiegłego roku w Pucharze Świata zanotowała swój najlepszy występ w karierze – szóste miejsce w slalomie gigancie w Courchevel. A podczas styczniowego giganta we włoskim Kronplatz, uznanego za „ostatni sprawdzian przed Pekinem”, po pierwszym przejeździe zajmowała piąte miejsce i do trzeciego miejsca brakowało jej zaledwie 0,06 sekundy. Popełniła jednak kilka błędów przy drugim przejeździe i ostatecznie skończyła na 10. miejscu. Widać jednak, że ma potencjał, by stanąć na pudle.

Niektórzy z uwagą przyglądają się będą też naszej solistce w jeździe figuralnej. Ekspertki mówią, że od kilkunastu lat nie mieliśmy tak dobrej zawodniczki (od 11 lat nie mieliśmy reprezentantki na igrzyskach w tej konkurencji). To młodzianka urodzona w Moskwie Jekaterina Kurakowa. 19-latką w 2019 r. przyjęła polskie obywatelstwo i będzie nas reprezentować w Chinach. Trenuje wprawdzie we Włoszech, ale twierdzi, że najlepiej czuje się nad Wisłą. Tu też studiuje na drugim roku na kierunku trenerskim. Jest już czterokrotną mistrzynią Polski. W ubiegłym roku na mistrzostwach Europy w Tallinie zajęła najwyższe w historii startów naszych solistek miejsce – piąte. W zeszłym sezonie dwa razy zdobywała srebrne medale: na Lombardia Trophy 2021 oraz Nebelhorn Trophy 2021.

Najbardziej jednak mogą smakować te medale, których nikt nie oczekiwał. Sport jest na tyle piękny, że nagle mistrzem olimpijskim został Bródka. Dlaczego tak samo nie mogłoby być w saneczkarstwie, biathlonie, kombinacji norweskiej czy w biegach narciarskich, gdzie po epoce Justyny Kowalczyk wciąż wyczekujemy godnej jej następczyni?

I na sam koniec jeszcze jedna dobra wiadomość związana z igrzyskami, ale trochę bardziej gospodarcza. Otóż polską reprezentację ubiera rodzima firma 4F. Z PKOl współpracuje już od 14 lat, jednak w tym roku stroje polskiego producenta założy więcej reprezentacji narodowych. Oprócz Polaków będą je mieli także sportowcy ze Słowacji, z Litwy, Grecji, Chorwacji, Łotwy, Serbii i Portugalii. Trzeba więc uznać, że pod względem odzieżowym już na tych igrzyskach wbijamy się do światowej czołówki.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Joanna Bojańczyk

Hochsztaplerzy czy niedocenieni geniusze? Ekscentryczni bliźniacy Bogdanow/Bogdanoff, autorzy niesprawdzonych teorii z fizyki kwantowej, celebryci o twarzach zniekształconych operacjami plastycznymi, brylowali przez wiele lat we francuskich mediach i elitarnych kręgach. Zmarli na COVID-19 jeden po drugim na przełomie roku

Jak można być jednocześnie doktorem fizyki i matematyki, pisarzem, gwiazdą programu telewizyjnego, bywalcem salonów, rzekomym potomkiem austriackiej arystokracji? W przypadku braci Igora i Griszy Bogdanowów to wszystko było możliwe – nawet razy dwa, bo byli bliźniakami. Urodzili się razem, umarli także – prawie razem – parę dni jeden po drugim, w wieku 72 lat. Grisza 28 grudnia 2021 r., Igor 3 stycznia 2022 r. Na COVID.

Czterdzieści lat ich burzliwego życia na forum publicznym stanowiło pożywkę nie tylko dla tabloidów. Obecność w mediach niezbyt wysokich lotów, i to nie tylko francuskich, zapewniały braciom ekstremalne operacje plastyczne, którym poddali się w połowie lat 90. Wypierali się zabiegów, ale wymodelowane podbródki, sterczące kości policzkowe, wypełnione botoxem policzki i usta mówiły same za siebie.

SREBRNE KOMBINEZONY

Jednak nie tylko te osobliwe wyczyny zapewniły im popularność. Prowadzili rozległą działalność popularnonaukową czy też paranaukową. W późnych latach 70. i wczesnych 80. bracia (Bogdanow zmienili na Bogdanoff) zyskali sławę jako prowadzący we francuskiej telewizji program popularnonaukowy „Temps X” („Czas X”). Program łączył wiedzę naukową, paranaukową z dziwacznymi, fantastycznymi teoriami. Kręcono go w studiu upozowanym na pokład statku kosmicznego, pełnym gadżetów z pogranicza technologii i fantazji. Maszyna do tłumaczenia, magiczne dyktando, astrokomputer, który miał przepowiadać



Łowcy przyszłości

przyszłość z daty urodzenia... Prowadzący – „łowcy przyszłości”, jak pisała o nich francuska prasa tamtych lat – ubrani byli w srebrne kombinezony. W tym wszystkim były wizje szczęśliwego świata przyszłości, w którym problemy ludzkości rozwiązują komputery i maszyny.

W latach 80. to miało wzięcie – zainteresowanie science fiction było powszechne, publiczność oglądała hity „Imperium kontratakuje”, „Odyseja kosmiczna”. Uproszczone rojenia o przyszłości wydawały się łatwe i bliskie do spełnienia. Program cieszył się ogromną popularnością, jego autorzy promieniowali nimbem sławy, ich gośćmi w studiu bywali poważni ludzie z kręgu polityki i kultury: Jacques Attali, Michel Jarre, Frederic Beigbeider. Jednak w 1987 r. „Temps X” zniknął z anteny. I wtedy wokół braci zaczęły się kontrowersje.

TAJEMNICA WSECHŚWIATA

W połowie lat 90., czyli będąc już dobrze po czterdziestce, panowie studiowali na francuskich uczelniach – najpierw

na Uniwersytecie Bordeaux, potem na Uniwersytecie Burgundii oraz w prestiżowym Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu. Profesor Daniel Sternheimer z Burgundii powiedział dziennikowi „The New York Times”, że bracia są bardzo inteligentni, ale w działalności naukowej zbyt „wrażeniowi”. Nie przeszkodziło mu to jednak podpisać się pod ich dyplomami. Obaj otrzymali je wtedy z „wyróżnieniem”. Twierdzili, że mają IQ 190.

Trochę później otrzymali także tytuły doktorskie: Igor z fizyki, Grisza z matematyki. Publikowali prace naukowe, w których wyjaśniali, jak powstał wszechświat przed Wielkim Wybuchem. Ich tezy kwestionowali naukowcy, ale Bogdanoffowie nie poddawali się – zaprzeczali i podawali oponentów do sądu.

Bliźniacy mieli również ambicję przystępnego wytłumaczenia tajemnic wszechświata. Zaraz po skończeniu pracy nad programem „Temps X” wydali książkę „Bóg i nauka”. I tutaj wykazali się „intuicyjnym” podejściem do praw fizyki.



FOT. BERTRAND RINOUF/PETROFF/GETTY IMAGES

Żadnych wątpliwości, żadnych pytań, wszystko łatwe do wytłumaczenia. Znaleźli się poważni naukowcy gotowi poprzeć wywody autorów. Przedmowę do książki napisał znany francuski teolog Jean Guittou. „Jestem zaszczycony, że mogę ją napisać” – stwierdził.

Jednak nie wszyscy byli tego zdania. Badacze zarzucali książce powierzchowność, sklepanie przypadkowo zaszytych fragmentów cudzych odkryć. Bogdanoffowie twierdzili, że chcą przystępnie tłumaczyć świat szerokiej publiczności. Twierdzili, że czytelnikom nie przeszkadzają uogólnienia, rzeczy powtórzone w innych pracach.

Niektórzy uważali wręcz, że praca jest po prostu żartem, który ma ośmieszyć środowisko naukowe. Na taki żart odważył się w roku 1996 fizyk Alan Sokal, publikując artykuł pełen zawiłych bzdur. Wtedy naukowcy z kręgów uchodzących za poważne wzięli sprawę na poważnie i chwalili dzieło oraz autora.

Jednak badacz z Wirginii, Trinh Xuan Thuan, oskarżył Bogdanoffów o plagiat jednej ze swoich książek. Spór udało się zakończyć polubownie. W roku 2004 książka braci Bogdanoff „Świat przed Wielkim Wybuchem” stała się bestsellerem we Francji. Po niej obaj panowie znów pojawili się w telewizji, która była ich żywiołem.

Źle zaczęło się dziać, gdy działalność naukową bliźniaków, a głównie ich prace doktorskie, podważył raport poważnej instytucji, którą jest we Francji CNRS (Centre National des Recherches Scientifiques), odpowiednik naszej PAN. Bracia wyśmiali raport, nazwali CNRS Stasi

i zażądali odszkodowania za szkody moralne. Sąd nie przyznał im racji, odszkodowania w wysokości 1,2 mln euro nie otrzymali. Doktoraty zostały odebrane.

TATARSKI KSIĄŻĘ

Nie mniej zainteresowania niż nieprawdopodobne teorie naukowe i ekscentryczne operacje plastyczne wzbudzały atrakcyjne koneksje towarzyskie bliźniaków. We Francji, która pierwsza obaliła monarchię i odebrała arystokracji tytuły, przynależność do arystokracji wciąż podwyższa notowania na giełdzie salonów. A już szczególnie tytuły z Europy Wschodniej dodają bohaterom aury tajemniczości i egzotyizmu.

I na tej reputacji bracia B zbudowali popularność równą gwiazdom pop.

Domniemani potomkowie austriackich arystokratów – Igor Juriewicz Bogdanow i Grzegorz Juriewicz Bogdanow – przyszli na świat 29 sierpnia 1949 r. w zamku Saint-Lary, w południowej Francji. Ich ojciec, Jurij Ostaszenko-Bogdanow, wędrowny malarz, twierdził, że jest potomkiem tatarskiego księcia, który musiał uciekać z Rosji. Matką była Maria Dolores Franzyńska Kołowrat-Krakowska. Chłopców wychowała babka, Berta Kołowrat-Krakowska, księżniczka słowacka, która utraciła tytuł na skutek romansu z amerykańskim czarnoskórym śpiewakiem operowym.

Dorośle związki braci też obracały się w wysokich sferach. W związku Igora z belgijską arystokratką Ludmiłą d'Oultremont urodziło się troje dzieci, ale małżeństwo nie przetrwało długo. Następną żoną została nie mniej błękitnokrwista

pisarka Amelia Bourbon de Parme, potomkini Ludwika XIV. Ślub para zawarła w roku 2009 w zamku Chambord nad Loarą. Państwo Bogdanoff zrobili w zamku remont, upodabniając go do średnio-wiecznej siedziby. Prowadzili intensywne życie towarzyskie.

Obaj bracia mieli opinię sympatycznych i gościnnych, niezrównanych kompanów długich wieczorów przy renesansowym kominku. Aby zapewnić przyjaciołom łatwiejszy dostęp do Chambord, bracia kupili od armii serbskiej helikopter. Ale związek Igora z Amelią, w którym przyszło na świat dwóch synów, również zakończył się rozwodem.

ŻYĆ 500 LAT JAK REKIN

Po roku 2000 Igor i Grzegorz pracowali jako wykładowcy kosmologii na prywatnym uniwersytecie Megatrend w Belgradzie. W środowisku naukowym uczelnia miała opinię fabryki dyplomów.

W roku 2018 niespożyłci naukowcy postanowili spróbować sił w biznesie. Namówili francuskiego milionera do zainwestowania miliona euro we wznowienie programu „Temps X” oraz podjęcia jeszcze kilku innych inwestycji medialnych. Interes nie wypalił, a biznesmen, którego nazwiska nie ujawniono, wkrótce po tym popełnił samobójstwo. Bliźniacy zostali aresztowani pod zarzutem oszustwa. Proces był w toku, gdy obaj zachorowali na COVID.

W wieku 72 lat niespożyłci bracia nie mieli zamiaru przechodzić na emeryturę. Wciąż mieli nadzieję, że zadziwią świat nowym programem, który będzie jeszcze lepszy niż „Temps X”. Że wytłumaczą w prosty i zabawny sposób tajemnicę życia, śmierci, wszechświata. I odzyskają status gwiazd.

Uwierzyli w rzekomo magiczne zdolności melatoniny, która ma przedłużać życie. „Jeśli rekin na Grenlandii może żyć 500 lat, to dlaczego nie my?”. Byli na drastycznej diecie: bez mięsa, bez cukru, zero alkoholu. Nie zgadzali się na starzenie, wierzyli, że operacje plastyczne pomogą oszukać czas. Nie leczyli się, nie wierzyli w lekarstwa ani lekarzy. Nie zaszczepili się, uważając, że obecne szczepionki są niesprawdzone.

Ich obecność w szpitalu utrzymywano w ścisłej tajemnicy – wciąż byli celebrytami. Pacjentów dzieliły dwa pokoje, ale nieustannie rozmawiali, wymieniali SMS-y. Aż do końca. Zmarli razem, tak jak się urodzili.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z dr hab. n. med. Ewą Janczewską,
specjalistą chorób zakaźnych i hepatologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Terapia nadziei

KATARZYNA PINKOSZ: Rak wątroby, a ściślej mówiąc: wątrobowokomórkowy, to nowotwór, wokół którego funkcjonuje wiele mitów, np. że chorują głównie osoby, które przez wiele lat nadużywały alkoholu. To bardzo krzywdzący mit?

DR HAB. N. MED. EWA JANCZEWSKA: Rak wątrobowokomórkowy jest szczególnym nowotworem, ponieważ rozwija się niemal wyłącznie u pacjentów z włóknieniem wątroby, którego końcowym etapem jest jej marskość. W potocznym rozumieniu wiąże się ją z nadużywaniem alkoholu, co nie jest do końca prawdą. Przede wszystkim są to chorzy z wirusowym zapaleniem wątroby typu B lub C, niekiedy także z innymi chorobami wątroby, genetycznie uwarunkowanymi, z autoagresji. W ostatnich latach zwiększa się częstość występowania otyłości i cukrzycy, które przyczyniają się do niealkoholowego stłuszczeniowego zapalenia wątroby, które również predysponuje do raka.

W większości przypadków jest on rozpoznawany w stadium zaawansowanym. Dlaczego tak późno? Co można zrobić, by wcześniej go wykrywać?

Choroby wątroby są podstępne, długo nie dają żadnych objawów lub bardzo niecharakterystyczne, jak zmęczenie, bóle stawów. Rozpoznaje się je późno, kiedy są już poważne objawy niewydolności wątroby, takie jak wodobrzusze, żółtaczka, krwawienia z przełyku. Wcześniejsze rozpoznania zdarzają się przypadkowo, gdy np. wykonuje się badania przesiewowe w kierunku zakażenia HCV. Niestety, te badania są przeprowadzane w Polsce tylko dorywczo. Do rozpoznania zakażenia czasem dochodzi w trakcie donacji krwi w stacji krwiodawstwa.

Kto powinien sprawdzić, czy nie jest zakażony HCV?

Przede wszystkim powinny zbadać się osoby, które były często hospitalizowane, miały przetoczenia krwi przed 1992 r. (zanim zaczęto badać dawców krwi w kierunku HCV), miały wykonywane procedury przebiegające z naruszeniem ciągłości skóry i błon śluzowych (medyczne i niemedyczne, jak tatuaż), a także przejmujące środki narkotyczne, zwłaszcza drogą dożylną. Moim zdaniem jednak takie badanie powinien mieć wykonany każdy. Często się zdarza, że u pacjentów z bardzo zaawansowaną

FOT. ADOBE STOCK

marskością wątroby nie stwierdzamy żadnego z tych czynników ryzyka. Niestety, lekarze pierwszego kontaktu nie mogą na te badania kierować pacjentów. Jeśli są wykonywane, to zwykle przypadkowo, w ramach akcji profilaktycznych lub prywatnie.

Jak wyglądają możliwości leczenia, gdy rak jest wykrywany już w stadium zaawansowanym?

Rokowanie zależy przede wszystkim od tego, na jakim etapie rozwoju nowotworu dochodzi do rozpoznania. Jeśli w miarę wcześnie, guzy są niewielkie albo ograniczone do wątroby, to można spróbować terapii, które dają nadzieję na wyleczenie, jak resekcja guza czy transplantacja wątroby. Niestety, rzadko rozpoznajemy ten nowotwór w tak mało zaawansowanej postaci. Jeśli pacjent ma chorobę zaawansowaną, z rozsianymi zmianami w wątrobie lub przerzutami poza wątrobę, to chemioterapia nie jest skuteczna. Są leki o innym mechanizmie działania, większość jednak nie jest w Polsce dostępna, także terapie, które powinny być stosowane już w pierwszej linii. Dla nowo zdiagnozowanych chorych w Polsce jest dostępny tylko jeden lek, i to w bardzo ograniczonym wskazaniu. Kryteria programu lekowego nie pozwalają podać go pacjentom, którzy mają zmiany nowotworowe poza wątrobą. Nie ma to uzasadnienia merytorycznego. Od maja 2021 r. dostępny jest też lek w drugiej linii. To niewiele, zwłaszcza że są już zarejestrowane w Europie nowe leki o większym potencjale skuteczności.

W leczeniu raka wątrobowokomórkowego coraz częściej stosuje się immunoterapię: to taki sposób leczenia, który „naprawia” funkcjonowanie układu odpornościowego, który przestał bronić się przed nowotworem. Immunoterapia go odblokowuje. Bardzo pozytywne są też wyniki podawania pacjentom leczenia skojarzonego, złożonego z immunoterapii oraz leku hamującego ukrwienie nowotworu. Tego typu terapia wykazuje znacznie większą skuteczność w stosunku do sorafenibu, który jest dostępny w Polsce w ramach pierwszej linii. Terapia skojarzona istotnie opóźnia progresję nowotworu, wydłuża czas przeżycia chorych, jest znacznie bardziej skuteczna, u wielu pacjentów obserwujemy regresję



Barbara Pepke, prezes Fundacji Gwiazda Nadziei:

Pacjenci są w bardzo trudnej sytuacji, gdy wiedzą, że jest leczenie, dzięki któremu mogliby dłużej żyć, a nie mają do niego dostępu. Patrzę z zazdrością na sytuację chorych z innymi nowotworami, gdzie tego typu nowoczesne terapie immunologiczne są refundowane w szerokiej gamie. Często są to pacjenci w pełni sił, w wieku 40–50 lat, nagle wyrwani z normalnego życia przez diagnozę nowotworu. Bywa, że najpierw dowiadują się o tym, że mają raka wątroby, a zaraz potem, że został on spowodowany przez wirusa, którym byli od wielu lat zakażeni, a o tym nie wiedzieli. Mają żal: do systemu ochrony zdrowia o to, że doszło do zakażenia; żal do lekarzy, że przez lata nikt nie powiedział, że trzeba to sprawdzić. Żal, że nie mają możliwości skorzystania z terapii, dzięki którym mogliby funkcjonować przez wiele miesięcy, a może także lat. Apelujemy do Ministerstwa Zdrowia o podjęcie pozytywnych decyzji, bo pacjenci na pewno na to zasługują. Głównym powodem raka wątrobowokomórkowego jest zakażenie wirusami HCV i HBV, przenoszonymi często w trakcie drobnych zabiegów medycznych: ktoś użył kilkakrotnie sprzętu jednorazowego użytku, dokładnie nie wysterylizował sprzętu. Pacjenci skrzywdzeni przez system, przez zaniedbanie testowania HCV teraz zostają bez leków. W dodatku często są postrzegani jako alkoholicy. Pierwsze pytanie, jakie słyszy każdy nowo zdiagnozowany chory, to czy pił alkohol. Po pierwsze, większość nie nadużywała alkoholu, po drugie – nawet gdyby tak było, to przecież tacy chorzy też potrzebują pomocy. Sytuacja pacjentów w pandemii bardzo się pogarsza. Już teraz zbieramy jej żniwo: brak systemowego testowania w kierunku zakażenia HCV, ograniczony dostęp do leczenia, do specjalistów od chorób zakaźnych. Od 20 lat występujemy o to, żeby lekarze rodzinni kierowali na badania w kierunku HCV, by móc wyleczyć zakażenie, zanim doprowadzi do choroby nowotworowej. Nie potrafimy się o to doprosić. Gdy pacjenci dowiadują się o raku, są w tragicznej sytuacji. Szybko ich tracimy, bo to bardzo agresywny nowotwór. Dzisiaj ci, którzy już wiedzą, że mają raka wątroby, patrzą z nadzieją na listy refundacyjne.

nowotworu. Takie leczenie ma też mniejsze działania uboczne; komfort życia pacjenta jest znacznie wyższy. Europejskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej zaleca jej stosowanie w pierwszej linii.

Zwykle w onkologii terapie pierwszej linii są najważniejsze, najbardziej skuteczne, decydujące o rokowaniu. Czy tak jest również w tym przypadku?

W tak agresywnym nowotworze, jakim jest rak wątrobowokomórkowy, bardzo ważne jest to, żeby pierwsza terapia miała jak najwyższą skuteczność, bo może się zdarzyć, że drugiej linii już nie będzie, chory umrze. Niestety, mimo że terapia skojarzona jest zarejestrowana w Europie w pierwszej linii, to nie jest praktycznie dostępna dla naszych pacjentów. Sytuacja polskich chorych jest znacznie trudniejsza niż chorych w innych krajach Europy. W dodatku sytuacja chorych z rakiem wątrobowokomórkowym w Polsce jest gorsza niż chorych z innymi typami nowotworów, w których mamy dostępnych znacznie więcej leków.

W jaki sposób pandemia wpłynęła na sytuację pacjentów z rakiem wątrobowokomórkowym?

Bardzo negatywnie. Spadła liczba wykonywanych badań w kierunku HCV. Druga rzecz: jeśli chory ma marskość wątroby, to niewiele możemy zrobić, by uniknąć rozwoju nowotworu. Możemy jednak jak najwcześniej go wykryć: należałoby co sześć miesięcy wykonywać badania obrazowe. Nie jest to jednak ujęte w żaden formalny program, stosowanie tych procedur zależy tylko od determinacji pacjenta i lekarza. W dobie pandemii większość pacjentów nie miała tych badań wykonywanych z zalecaną częstotliwością. Mogło dojść do rozwoju nowotworu, co znacząco ograniczy możliwości leczenia. Również dlatego tak zależy nam na nowych terapiach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. n. med. Ewa Janczewska – specjalista chorób zakaźnych, hepatolog, Wydział Nauk o Zdrowiu SUM w Bydgoszczy.

TEST „DO RZECZY”: TABLET XIAOMI PAD 5

Piękny ekran, niezłe głośniki, świetna bateria, ładne wzornictwo i atrakcyjna cena – to największe zalety modelu Pad 5 chińskiej firmy Xiaomi.

Największą zaletą ważącego 515 g tabletu jest bardzo dobry wyświetlacz IPS o przekątnej 11 cali, rozdzielczości 2560 x 1600 pikseli (275 ppi) oraz wysokiej częstotliwości odświeżania (120 Hz). Jeśli weźmie się pod uwagę, że ekran zapewnia także wsparcie dla technologii HDR10 oraz Dolby Vision, to uzyskamy tablet, który świetnie nadaje się do oglądania filmów i seriali, a także do czytania e-booków oraz elektronicznych wydań gazet. Odzworowanie kolorów jest bardzo dobre. Nie można też narzekać na kąty widzenia.

Smukła obudowa tabletu wygląda atrakcyjnie. Urządzenie sprawia także wrażenie bardzo solidnie wykonanego. Sercem modelu Pad 5 jest procesor Qualcomm Snapdragon 860, dzięki któremu z tabletem zadowoleni powinni być również miłośnicy wszelakich gier.

Wbudowane aparaty o rozdzielczości 13 i 8 Mpix robią poprawne zdjęcia. Nie jest to jakość, która rzuciłaby na kolana (zwłaszcza w przypadku kamery przedniej), ale bez problemu można zrobić tym tabletem udane fotografie w dobrych warunkach oświetleniowych. Tabletowa przednia kamera przyzwocić sprawdzi się też podczas służbowych videokonferencji i zdalnych spotkań z daleką rodziną.

Dużym plusem jest także akumulator o pojemności 8720 mAh, który pozwala na używanie

tabletów na jednym ładowaniu od dwóch do pięciu dni (w zależności od intensywności pracy).

Ładowanie baterii zajmuje niecałe trzy godziny.

Cztery głośniczki wspierające Dolby Atmos grają wystarczająco głośno i wystarczająco czysto, aby zapewnić przyjemność z odtwarzania multimediów. Oczywiście nie oferują głębi, dudniących basów ani ogromu szczegółów, ale jak na głośniczki w tablecie są naprawdę dobre.

Do testowanego modelu można dokupić rysik Smart Pen oraz klawiaturę, co czyni z niego całkiem praktyczny sprzęt.

Wady? Tablet jest wyposażony zaledwie w 6 GB pamięci RAM, więc przy bardzo intensywnym korzystaniu z wielu różnych programów jednocześnie sporadycznie zdarzają mu się chwilowe zawieszki. Jest ich jednak na tyle mało, że nie jest to żaden problem w codziennym użytkowaniu. Drugi minus: brakuje czytnika linii papilarnych do szybkiego odblokowywania urządzenia i autoryzacji płatności bankowych.



Trzeci: wyspa aparatu wystaje na tyle mocno, że tablet położony na plecach zaczyna się kołysać. Niektórym przeszkadzać może też brak starodawnego złącza słuchawkowego, a także wersji LTE, która umożliwiałaby surfowanie po Internecie w przypadku braku dostępu do sieci wi-fi.

Mimo kilku wad – stosunkowo drobnych jak na średnią półkę – Xiaomi Pad 5 w swojej klasie cenowej to jeden z najlepszych tabletów z Androidem obecnych aktualnie na polskim rynku. Za testowany model ze 128 GB pamięci trzeba zapłacić 1699 zł. ©© **Jacek Przybylski**



SEZAMIE, OTWÓRZ SIĘ!

SmartSlydr to automat do przesuwania drzwi tarasowych, a także do otwierania i zamykania dużych przesuwanych okien.

Według producenta urządzenie

może być sterowane za pomocą odpowiedniej aplikacji lub komend głosowych. Wystarczy powiedzieć – po angielsku – „Alexa... Sezamie, otwórz się!” i drzwi do ogrodu otworzą się. Oczywiście w podobny sposób można też zamykać drzwi i okna. Inżynierowie wymyślili również specjalne czujniki, które można zamontować np. na obroży psa lub kota, aby ten sam mógł otwierać i zamykać drzwi. SmartSlydr odniósł sukces na jednym z popularnych portali crowdfundingowych. Oficjalna cena wynosi ok. 1,8 tys. zł. Obiecywany przez producenta termin wysyłki to czerwiec 2022 r.

dla nich. Urządzenie wygląda jak plecak i waży 7 kg. Od wodoodpornego „plecaka” odchodzą siłowniki z włókna węglowego, które przyczepia się na górnej części nóg. Dzięki temu użytkownik nowego gadżetu może zupełnie



wyprostowany przenosić paczki, walizki etc. o wadze do 30 kg. Piąta generacja egzoszkieletoń niemieckiej firmy została wyposażona w system Smart Safety Companion, którego zadaniem jest ostrzeganie użytkownika w czasie rzeczywistym, że musi poprawić postawę, inaczej podnosić ciężary lub że po prostu przesadza z ciężarem, co grozi poważnym urazem kręgosłupa.

Modeli poprzednich generacji używają m.in. pracownicy fabryk, a także firm kurierskich.

W przyszłości firma chce oferować to rozwiązanie osobom, które są w trakcie rehabilitacji po urazach kręgosłupa. ©©

Jacek Przybylski

INTELIENTNY... EGZOSZKIELET

Cray X piątej generacji to gadżet przeznaczony zwłaszcza dla pracowników fizycznych, którzy dzień w dzień przenoszą duże ciężary. Choć nie tylko

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Porwanie Kalksteina na Lesznie



JACEK KOMUDA

Uprowadzenie Kalksteina w 1670 r. odbiło się echem na Rzeczypospolitej. Po latach przedstawiono je w serialu „Czarne chmury”, w którym bohaterem uczyniono wprawdzie płk. Krzysztofa Dowgirda (rolę tę zagrał niezapomniany Leonard Pietraszak), ale jego dzieje oparte zostały na autentycznych wydarzeniach.

Widok Leszna pod Warszawą
autorstwa Zygmunta Vogla

FOT. DOMENA PUBLICZNA



• Leszno

I RZECZYPOSPOLITA

Krystian Ludvig Kalkstein był szlachcicem z Prus Książęcych, który oskarżony przez krewnych o spi-

sek, został bez wyroku sądowego osadzony w więzieniu. Za groźby pod adresem elektora Fryderyka Wilhelma i rzekome przygotowywanie najazdu wojska litewskiego na Prusy skazano go na dożywotnie więzienie zamienione na grzywnę 5 tys. talarów. Kalkstein nie był jednak w stanie zgromadzić takiej sumy, dlatego uciekł do Polski, gdzie występował jako rzecznik sejmu pruskiego złożonego z przedstawicieli mieszczaństwa i szlachty. Podburzał szlachtę i sejmiki przeciwko elektorowi, apelując m.in. o niezatwierdzenie traktatów welawsko-bydgoskich zwalniających Wilhelma z obowiązku lennego. Na wieść o tych wydarzeniach elektor zawrzał gniewem i starał się skłonić króla Michała Wiśniowieckiego do wy-

dania zbiega. Kiedy władca odmówił, nakazał porwać go do Prus.

Pochwyceniem zbiega zajął się Euzebiusz von Brandt – stały rezydent elektora w Polsce, który, udając fałszywego przyjaciela, pozyskał przychylność Kalksteina. Brandt mieszkał w gospodzie u szkockiego winiarza Andrzeja Thamsona na Lesznie pod Warszawą. Obecnie z miejsca tego pozostała krótka ulica, jednak w XVII w. zaczynała się ona mniej więcej od dzisiejszego pl. Bankowego. Była tu jurydyka założona w 1648 r. przez Bogusława Leszczyńskiego. Dziś nie wiadomo, gdzie mieściła się wspomniana gospoda; była jednak niemała.

Brandt wynajął kompanię łotrów i zawalidrogów, spośród której wymienić należy por. Hugona de Montgomery'ego, z pochodzenia Francuza, który przesłużył całe życie w armiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, moskiewskiej, wreszcie trafił na służbę elektora. Dobrał głównie byłych żołnierzy, jak por. Baumgardt, niejakiego Fehra i kilku niemieckich dragonów. Wynajął także niejakiego Klingsporrego, który chętnie służył rapierem w zamian za kilka sztuk brzęczącej monety. Rezydent nakłonił go, aby wstąpił na służbę do Kalksteina i donosił o wszystkich ruchach pułkownika. Kolejnym zausznikiem Brandta stał się kozak Tomaszewski. Wszystkich tych swawolników rezydent ściągnął na Leszno i ukrył w kwaterze.

28 listopada Brandt zwabił Kalksteina do gospody pod pozorem, że przyszedł od elektora list żelazny. Pułkownik przyszedł z pięcioma towarzyszami, jednak Tomaszewski zaprosił ich do osobnej izby i spił winem. Następnie zamknął bramę wjazdową, drzwi, okna, zaprzął konie do wozu. Zaraz po tym Tomaszewski wpadł do komnaty, w której przebywał Kalkstein i chwycił go za szpadę. Wpadli też Montgomery i Baumgardt wraz z sześcioma dragonami, chwycili

nieszczęsnego, związali, zatkali głowę szmatą i zawinęli w płaszc, a potem w perski kilim. Następnie znieśli na dół, rzucili na wóz i wyruszyli ku Wiśle.

Z Leszna szybko dotarli na Bielany, gdzie przeprawili się przez rzekę na promie. Następnie poprzez Żerań dojechali do Jabłonny. Tutaj zdjęli jeńca z wozu, wsadzili na siwego konia, związali i ruszyli bez odpoczynku do Nieporętu. Przeprowadzając się przez Narew, popędzili na północ – do granicy pruskiej, przy czym jeńca wieszono na koniu, inaczej niż w serialu, gdzie Dowgirda wywożono w czarnym powozie, wzbudzał sensację wśród miejscowej ludności.

Montgomery i Brandt mieli ogromne szczęście. Pod granicą z Prusami znajdowało się wiele siedzib rozbójniczej szlachty zaściankowej, która nie przepadała za elektorem i pewnie uwolniłaby jeńca. W dodatku dragoni z eskorty i sam Tomaszewski rozgadywali, że wiozą zdrajcę Fryderyka Wilhelma, a gdyby im kazano – porwaliby i wywieźli nawet samego króla polskiego! Dopiero pod samą granicą doszło do jakiegoś starcia, z którego jednak ocalała spiskowców interwencja wysłanych z Prus 24 rajtarów.

Po przejściu granicy 1 grudnia eskorta dotarła do Kętrzyna. Następnie do Tapiau, czyli dzisiejszego Gwardiejska. Później więźnia osadzono w Memlu – obecnej Kłajpedzie, gdzie wrzucono go do najciemniejszego lochu zwanego Pfefferstube i przykuto do pniaka. Po długim śledztwie przeplatany torturami Kalkstein został skazany na karę śmierci i ścięty 8 listopada 1672 r. Jego przypadek pokazuje, że nawet w drugiej połowie XVII w. demokracja szlachecka Rzeczypospolitej była jeszcze atrakcyjnym wzorcem dla szlachty i ludności Prus Książęcych poddanych tyranii elektora. ©

MAKRELA W ZALEWIE WEDŁUG MARIUSZA GACHEWICZA

Makrela marynowana w zalewie z trawą cytrynową, podana z chrupiącymi warzywami. Proporcje składników wystarczają na ok. 10 porcji.

MAKRELA

Składniki:

- makrela – 800 g
- woda – 1000 ml
- ocet 10-procentowy – 100 ml
- cukier – 200 g
- trawa cytrynowa – 1 szt.
- liść laurowy – 3 szt.
- ziele angielskie – 3 szt.
- pietruszka – 1 szt.
- marchew – 1 szt.
- piri-piri – 1 szt.
- anyż – 1 szt.
- sos ostrygowy – 30 ml

Przygotowanie:

Zalewę zagotuj, a następnie wystudź. Makrelę włóż do marynaty na ok. 5 godzin.

PURÉE Z ZIELONEGO GROSZKU

Składniki:

- szalotka – 1 szt.
- masło – 50 g
- groszek zielony – 200 g
- sól – do smaku
- mięta – 50 g
- bulion warzywny – 200 ml

Przygotowanie:

Szalotkę podsmaż, podlej bulionem, doprowadź do wrzenia, dodaj groszek, całość zblenduj na gładką masę. Jeśli będzie potrzeba, to przetrzuj przez sito. Podczas blen-dowania dodaj miętę.

WARZYWA MARYNOWANE

Składniki:

- dynia – 200 g
- rzodkiewka – 10 szt.
- czerwona cebula – 1 szt.

Przygotowanie:

Dynię potnij w kostkę o bokach 1 x 1 cm, rzodkiewkę w całości i cebulę zalej ciepłą marynatą, w której marynujesz makrelę. Dynię podgotuj w marynacie ok. 3 min, dodaj do niej gałązkę tymianku cytrynowego. Wszystkie warzywa odstaw do lodówki na ok. 6 godzin, aby przeszły smakiem.

WARZYWA ZIELONE

Składniki:

- groszek – 100 g
- fasolka szparagowa – 200 g
- szparagi zielone – 300 g
- grzyby shimeji – 150 g

Przygotowanie:

Wszystkie warzywa należy pociąć na mniejsze kawałki. Marynatę, w której znajdowała się rzodkiewka, należy zredukować do lekko ciągnącej się konsystencji i ciepłą zalać warzywa, delikatnie mieszając. Dodać sól i świeżo mielony pieprz. ☺☺

Mariusz Gachewicz
jest szefem kuchni.



FOT. AKADEMIA KULINARIA/CONCEPT 37



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Póki jest las

Na Facebooku znalazłam ogłoszenie, że można zgłaszać się na kurs dla instruktorów kąpiei leśnych. Organizuje je międzynarodowa instytucja – Forest Therapy Institute. „Kurs składa się z tygodnia intensywnego treningu w puszczy oraz trzymiesięcznego szkolenia on-line pod okiem mentorów”. Na koniec otrzymuje się certyfikat przewodnika kąpiei leśnych Forest Therapy Institute. Cokolwiek to jest.

Już jakiś czas temu zasób modnych słów oraz modnych praktyk wielkomiejskich hipsterów powiększył się o termin „kąpiele leśne”. Po japońsku, bo stamtąd przyszła ta sprawa: shinrin-yoku... Cóż to takiego? „Zanurzanie wszystkich zmysłów w naturze [...], wędrówka przez las, postrzeganie go i czerpanie z niego w każdy możliwy sposób: oddychanie leśnym powietrzem, wsłuchiwanie się w szum liści, szelest wiatru, świergot ptaków. Ważne jest wyciszenie myśli, skoncentrowanie się na tu i teraz. Sztuka wyciszania się w naturze jest co prawda trudna do opanowania, ale niesie ze sobą niezmierzone korzyści. Praktykując kąpiele leśne, nie tylko kontempluje się naturę, lecz także uświadamia się sobie, że jest się jej częścią”. To cytat z książki Amerykanina Amosa M. Clifforda pt. „Kąpiele leśne”. Poradnika oczywiście, jakże by inaczej. Jestem w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ mieszkam



FOT. ADRIEN STOCK

kam bardzo blisko lasu, prawie w lesie. Po lesie chodzę codziennie, bez instruktora, dzień bez lasu jest dla mnie dniem straconym. Czy to, co ja robię, to są kąpiele leśne? Czort wie, trzeba by zapytać pana Clifforda. Wiem na pewno, i to z wieloletniej praktyki, że spacer po lesie dobrze robi na wszystko – jako wysiłek fizyczny, odstresowanie, spokój, przyroda. Terapia niezawodna dla każdego. Bez nadbudowy ideologicznej, bezpłatna, o każdej porze roku, całodobowo. Także teraz, kiedy nie ma mchu, zapachu liści i śpiewu ptaków, a chodząc po oblodzonych ścieżkach, trzeba uważać na każdy krok.

Ale i tak coraz więcej ludzi ceni las, widzę to każdego dnia. Bo w nim znajdują się największe luksusy współczesności: przyroda i cisza. Mają wymiar terapeutyczny, to niewątpliwie.

Nic dziwnego, że w roku 1982 Japonia włączyła shinrin-yoku do narodowego programu zdrowotnego. Głównym założeniem tej terapii jest samo przebywanie w lesie, bez trekkingu, liczenia kroków czy innej aktywności fizycznej. Bez telefonu, ma się rozumieć.

Tylko po co aż podręczniki? Po co kurs? Po co instruktor? Wsiąść w auto, w autobus i do lasu. Póki las jest. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

COVID
à la polacca

Właściwie mamy do czynienia z pęknięciem covidowej narracji. Do tej pory większość krajów wysoko trzymała sanitarną gardę. Teraz ten monolit pękł. Mamy trzy sposoby: szwedzki, brytyjski i... polski. Szwedzki jest konsekwentny – postawiono na budowanie naturalnej odporności. A więc te wszystkie pozafarmaceutyczne środki (lockdowny, kwarantanny i maseczki) uznano za bezsensowne i postawiono na jedyne lekarstwo: budowanie odporności. Efekt: jedne z lepszych wyników zakażeń i zgonów, niezrównana gospodarka i ocalałe społeczeństwo. Druga droga to droga nauki (a właściwie nauczki). Skoro się okazało, że szczepionki nie działają, a Omikron jeszcze szybciej się rozprzestrzeni, za to ma niską zjadliwość, to... odpuszczono wszelkie paszportowanie, kwarantannowanie czy maseczki. Coraz więcej krajów dołącza do tej logicznej konstatacji, by nie walczyć przesadnymi i nieskutecznymi środkami z czymś w rodzaju grypy.

Jest jeszcze trzecia droga – polska. Jest to upieranie się przy powtarzaniu dotychczasowych zweryfikowanych środków w nadziei, że tym razem efekty będą inne. Właściwie klasa polityczna miota się w pomysłach. Raz chce wprowadzić przymus szczepienny rękoma pracodawców, drugi raz – wypychając naród w testozę. Nie bardzo wiadomo tylko po co? Po co testować i wykrywać Omikrona o coraz słabszym działaniu,

skoro taki test wysyła często zdrowych bezobjawowych na izolację, a średnio trzy osoby z ich otoczenia na kwarantannę. W ten sposób ponad 1,4 mln ludzi siedzi w domach, nie pracuje, tylko się denerwuje. Coraz częściej na władzę.

Wiele państw wraz z odejściem od restrykcji odchodzi od testowania. Bo po kiego testować katar? No i co robić z wynikami takiego testowania? Izolacja – jak widać – nie powstrzymuje transmisji, bo mamy rekordy zakażeń. Szczepionki wręcz ją zaostrzają, oby tylko w przypadku Omikrona, a nie wielu innych chorób. Istnieje przekonanie, że jeśli się stłucze termometr, to się nie ma gorączki, zwłaszcza takiej trzydniowej, z kaszelkiem. Ale ludzie chorzy na pozytywne testy są przez system traktowani jako chorzy i zakażający. A to nieprawda. Do grona siedzących będą teraz dochodzić dzieci, którym funduje się testozę, a taki dzieciak w izolacji to zaraz uziemiony rodzic lub rodzice.

Polska nie jest jedynym krajem, który się uparł i przyspieszył w kierunku odwrotnym do tego, w który zawróciły kraje znad lockdownowej przepaści. Jest takich ultrasów jeszcze parę. Właśnie jedzie 150 tys. ciężarówek na kanadyjską Ottawę, by odwiedzić w stolicy premiera ultrasa w proteście przeciwko obowiązkowym szczepieniom kierowców. Mamy więc właściwie dwie drogi, bo ta trzecia, sanitarna, coraz bardziej skręca w kierunku normalności, nie podarowanej przez rządy, ale takiej, po którą sam sięgnie suweren. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Na tropach
obłądu

We wtorek 25 stycznia w KPRM przedstawiciele wszystkich politycznych ugrupowań z premierem, wicepremierem Kaczyńskim i szefostwem resortu zdrowia licytowali się (przy sprzeciwie jedynie Konfederacji) w projektowaniu jeszcze dalej idących restrykcji dotyczących „zwalczania” COVID-19. W tym samym czasie w Sejmie trwało posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Sanitaryzmu.

To samo zagadnienie i dwa zupełnie różne podejścia. Przewodnicząca Parlamentarnego Zespołu, poseł Anna Maria Siarkowska, zaprosiła prawników, naukowców, lekarzy, przedstawicieli biznesu i samorządu, by przeanalizować zagrożenia, które niesie ustawa segregacyjna (druk sejmowy nr 1846).

Wśród zaproszonych był wybitny konstytucjonalista, członek Komitetu Nauk Prawnych PAN, prof. Ryszard Piotrowski. Prawnik zauważył, że już tytuł ustawy „o szczególnych rozwiązaniach zapewniających możliwość prowadzenia działalności gospodarczej w czasie epidemii COVID-19” wprowadza w błąd. Ustawa bowiem zmierza do uniemożliwienia prowadzenia działalności. Potem już było tylko mocniej. W 40-minutowej analizie naukowiec udowodnił sprzeczność projektu z konstytucją (i ze zdrowym rozsądkiem), tym samym obnażając kwalifikacje intelektualne legislatorów i posłów popierających takie pomysły. Najwidoczniej

posłowie nie czytali tekstu dokumentu.

Z wielu argumentów dotyczących m.in. kwestii fundamentalnych, aksjologii, praw i wolności obywatelskich przytoczę jeden, techniczny. Projekty segregacyjne wymuszają korzystanie z aplikacji dostępnych w sklepach Apple lub Google. Ustawodawca zakłada, że wszyscy obywatele korzystają ze smartfonów i to z tych, na których da się te aplikacje zainstalować. A więc warunkiem zatrudnienia obywateli Polski, a także dostępu podstawowych dóbr: sklepów, szkół, środków komunikacji jest zainstalowanie narzędzia udostępnionego przez zagraniczną firmę. Kwestie sporne rozstrzygać zaś będzie sąd w miejscowości, gdzie są siedziby Apple i Google, czyli sąd hrabstwa Santa Clara w Kalifornii. Konstytucjonalista zapytał: „Co zrobimy, gdy np. wobec ewentualnego konfliktu światopoglądowego dotyczącego roszczeń mniejszości seksualnych na Polskę zostaną nałożone amerykańskie sankcje?”. Ponadto Zjednoczona Prawica, która tak wiele mówi o suwerenności i wyższości polskiego prawa konstytucyjnego nad orzeczeniami TSUE, tu oddaje nas pod jurysdykcję amerykańskiego sądu.

Pozostaje mieć nadzieję, choć to wątpliwe pocieszenie, że nawet jeśli posłowie nie otrzeźwieją i przegłosują ten zamordystyczny projekt, to ustawa ugrzęźnie na poziomie technicznym, tak jak krajowy system poboru opłat drogowych czy Polski Ład. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wsadzić Banasia

Istnieje pilna potrzeba wsadzenia Banasia, bo jak nie, to on jeszcze coś skontroluje. I komu to potrzebne? Jeszcze pilniejsza jest potrzeba wysadzenia Banasia ze stołka prezesa Najwyższej Izby Kontroli, bo jak nie, to on jeszcze coś skontroluje. Sam natomiast Banaś jakiś taki jest jakby nierozumny w tym wszystkim, zagubiony. Nie dość, że nie chce współpracować we wsadzeniu siebie, to on normalnie publicznie powiedział, że Jarosław Kaczyński ma się u niego w NIK stawić, jako świadek, i będzie Kaczyński przesłuchany w sprawie Pegasusa. No ludzie! No Banaś! No weź. No jak? W każdym razie Mariana Banasia jak najbardziej posłowie mają chrapkę pociągnąć za odpowiedzialność, uchylić mu immunitet i postawić zarzuty kryminalne. Prezes NIK oczywiście tłumaczy, że to jest sprawa polityczna, bo PiS boi się afery Pegasusa. Dobra, dobra Banaś, znamy takie ziółka. Kontrolować ci się zachciało? No, czy po to władza cię zrobiła największym kontrolerem, żebyś ty ją kontrolował? Ech, Banaś, Banaś.

Tymczasem na Twitterze wszyscy na szczęście w tej sprawie jednomyślni, wszyscy za Polską, aczkolwiek są małe animozje, jak rozumieć sprawę polską. W sumie drobiazgi. Nie te podziały wydają się jednak najbardziej niebezpieczne. Otóż zdaje się powstawać

grupa premartyrologiczna, grupa chełpiaków. Chełpiaki zaczynają się chełpić, że oni byli podsłuchiwanie Pegasusem. A ty, ty niegodny niegodniaku, byłeś? Nie byłeś! Mało więc znaczysz, maluteńko, tycio. Gdyby się władza zmieniła, to w przyszłości chełpiaki mogą dostać jakiś dodatek do emerytury albo coś. No a dziś? Dziś splendor, chwała, poważanie. Podobno opracowywany jest order na wielkiej wstędze „Pegasusem Nasłuchiwany”, ale za tę informację nie ręczę. Trochę podaję jako plotkę. No zobaczymy, zobaczymy. Piszący te słowa deklaruje, że zdecydowanie jest za Polską, tak tylko mówię agenciakom z CBA i AC/DC, jakby co.

Tymczasem Szymon Hołownia w Końskich zderzył się z polskim ludem na bazarze. Łatwo nie miał, co było widać w mediach społecznościowych. Nie był przyjmowany mlekiem i miodem, tylko pretensją. Szymon próbował przekonywać do swoich racji, że niby ci rządzący to słabo rządzą i że według niego idzie to w złą stronę. Nie z ludem takie gadki. Siwowłósy pan wyraźnie powiedział Szymonowi, że za PiS jest mu lepiej. Przy okazji sformułował też wyraźnie nowego wroga ludu. Do przestępców, aferzystów dołączyli też „bo pan popiera tych, którzy zarabiają 12 tys. zł miesięcznie”. Historia zatacza koło. Znów burzuje i kułacy. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Hiszpański fan club Putina

Małgośka – mówią mi – przyjaciół poznaje się w biedzie! I tu bym polemizowała, bo doświadczenia ostatnich tygodni pokazały mi, że to posunięcia Putina zweryfikowały moje przyjaźnie bardziej niż ewentualne kłopoty z kasą. Od trzech tygodni toczę pojedynki z hiszpańskimi amigos i jeśli tak dalek pójdzie, to będę się bała wyjechać do Madrytu, bo zadarłam już z połową Hiszpanii. Nawet mnie już nie zapraszają do mediów, bo okazuje się, że moja groźna „rusofobia” powoduje utratę widzów.

I żeby było jasne: największym zagrożeniem dla świata – według sporej części Hiszpanów – jest „imperialismo yankee” zakamuflowane pod skrótownicą NATO. A już zwłaszcza od momentu, kiedy w owalnym gabinecie zasiadła, jak mawiają, mumia Bidena. I dlatego, zdaniem Hiszpanów, należy trzymać kciuki za Putina, bo choć ten ma swoje wady, to jednak rzucił wyzwanie przebiegłym jankesom, z którymi Hiszpania przegrała swoje terytoria. I dotąd od biedy jeszcze można zrozumieć ich urazy, bo my też pielęgnujemy traumy i nas też nikt nie zdoła przekonać, że Rosja zrobiła w dziejach cokolwiek dobrego dla świata. Z chwilą jednak, gdy dowiaduję się od nich po raz setny, że tylko Putin może mnie obronić przed Martą Lempart, szaleńcami od gender, LGBT, cancel culture i wszystkimi plagami, które

ściąga na nas lewica, ja, stateczna dama, mam ochotę jak Miss Piggy włos mój bujny odgarnąć i w sam środek nosa komuś przylutować. Całe szczęście dla amigos, że mnie nie ma na półwyspie, a przez komunikatory trudno przekonać tak dobitnie.

Nie mogę już słuchać tej propagandy rosyjskiej, która wsiąka w zdesperowane głowy Hiszpanów. Nie mam siły już tłumaczyć, przytaczać danych, które przeczą temu, aby eksagent KGB mógł się nagle przedzierać w katechona i stać na czele rewolucji konserwatywnej. I dlatego ci Hiszpanie, którzy zajądli walczyć z propagandą Kremla, urastają w moich oczach do miana herosów. Znam ich kilku osobiście. Dobrze, że po trzech latach ambasada w Madrycie zmobilizowała się wreszcie i udekorowała Hermanna Tertscha, bo jego autorytet i zasługi są dla nas, Polaków, nieocenione. Wielokrotnie i nadaremnie prosiłam też ambasadę o zwrócenie uwagi na trwającą 18 lat tytaniczną pracę Elentira, który za sprawą swego medium Contando Estrelas robi dla nas więcej niż 10 naszych placówek dyplomatycznych.

Rosja przekupuje dziennikarzy, artystów, polityków, my zaś nie umiemy docenić nawet tych, którzy narażają się dla nas i pracują z wielkim poświęceniem za darmo. Wstyd dla nas tym większy, że go nie ma... ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Komu wolno było pisać o Stalinie?

Siedemdziesiąte urodziny towarzysza Stalina wiele wydawnictw uczciło poświęconymi mu lizusowskimi zbiorami socpangiryków, Czytelnik np. „Strofami o Stalinie” m.in. Broniewskiego, Gałczyńskiego. Wydawnictwo CRZZ (Centralnej Rady Związków Zawodowych) z entuzjazmem podpisało więc umowę z poetami z Koła Młodych Związku Literatów – Janem Zalewskim i Stefanem Zawadzki, którzy w ekspresowym tempie dwóch tygodni zobowiązali się napisać, wystarczający na tomik poemat o Stalinie. Dostali gigantyczną zaliczkę i terminu dotrzymali. Liczący blisko 500 wierszy poemat „W imię pokoju” zgodnie z oczekiwaniami wychwalał Chorażego Pokoju, Wodza Postępowej Ludzkości itd. Wypłacono im więc całe honorarium, oni natomiast, zapominając, że nie nuci się triumfu przed bitwą, razem z zaproszonymi kolegami z Koła Młodych hucznie oblewali swój sukces, nie ukrywając, że chodziło im tylko o pieniądze na spłatę długów i rat.

Ostrzeżyły ich dwa artykuły kolegów z ZLP, w „Nowej Kulturze” Grzegorza Lasoty („lewy, bardzo zajadły” – pisała o nim Nałkowska) i równie gorliwego Arnolda Śluckiego w „Sztandarze Młodych”, piętnujące ich po nazwisku jako cyników wykorzystujących dla zarobku towarzysza Stalina. A sekretarz organizacji partyjnej literatów Janina Broniewska, postrach ZLP, w imieniu Egzekutywy (m.in. tow. Putramenta) 13 grudnia 1951 r. wysmażyła pismo, a w istocie donos do wiceprzewodniczącego

CRZZ, towarzysza Ćwika, do wiadomości najwyższych władz partii: Edwarda Ochaba, członka Biura Politycznego KC PZPR, i Pawła Hoffmana, kierownika Wydziału Kultury KC. Krytykowała nonszalancką umowę wydawnictwa, które tomik o Stalinie powierzyło osobom nieodpowiedzialnym. Charakteryzowała ich „postawy moralne”: byli wielokrotnie zawieszani w prawach członka Koła Młodych i odwieszani po samokrytyce. Zalewski za przetrzymywanie pieniędzy ze zbiórki na walczącą Koreę, Zawadzki wyrzucony już wcześniej z ZMP za niemoralne zachowanie. Radziła, aby tomik, wydany mimo ostrzeżeń Egzekutywy partii ZLP, nie był kolportowany, i tak też się szybko stało, jest dziś białym krukiem.

Nie ukrywała, że winowajców surowo ukarano. Nie wykazywali bowiem skruchy, przeciwnie. „Skoro tylu poetów za peany o Stalinie dostawało miliony – mówili – a Broniewski nawet wilę, dlaczego my nie możemy zarobić paru złotych?”.

Oburzone Koło Młodych, głównie o ich honorarium, chciało więc wyrzucić ich od razu, wymagało to jednak zgody Komisji Młodzieżowej (Ślucki, Lasota, Woroszyński), a zwłaszcza jej przewodniczącego i wieloletniego opiekuna Kół Młodych, Igora Newerlego, który też ją poparł i uznał za „zdrową”. Choć to właśnie on, rzekomy patron literackiej młodzieży, za którego chciał uchodzić, powinien uznać „Poezat” za szczeniacki żart – Zalewski i Zawadzki mieli po 22 lata, byli bardzo młodzi, Zawadzki już żonaty ze studentką

polonistyki, również podopieczną Newerlego, członkinią Koła, mieli roczną córeczkę.

Decyzję Newerlego przyklepała Egzekutywa partii, ale ostatecznie wyrzucono z Koła, tym samym z ZLP, tylko Zawadzkiego. Zalewskiego zawieszono na trzy miesiące, po złożeniu samokrytyki mógł być znów przyjęty. Nie skorzystał jednak z prawa łaski i z ulgą pożegnał literackie terrarium, zajął się z powodzeniem pisanem tekstów piosenek, które zna cała Polska: „Wymyśliłam Cię” śpiewała Irena Jarocka, „Po co nam to było” Joanna Rawik. Stefan Zawadzki próbował dostać się do ZLP z powrotem, ale jego pisma pozostawały bez odpowiedzi. Dziewięć miesięcy po poemacie o Stalinie, we wrześniu 1952 r., powiesił się we własnym mieszkaniu, podczas oblewania magisterium swojej żony. Według wersji oficjalnej, obowiązującej w ZLP – przypadkowo, żartując, udając, że się wiesza, spadł, niechcący z krzesła. Ale czuł się zaszczuty, wyrzucony za burtę, załamał się. „Zmarł z własnej woli” – pisała w swoim dzienniku Zofia Nałkowska... „Przyszła pani Zawadzka (Stefanowa) – błada, dziewczęca, śliczna, wychudła, w czerni, zapraszała mnie (sama!) na pogrzeb tego męża, z którym oboje mieli po 22 lata. Byłam wstrząśnięta”. Zapraszała też innych – Koło Młodych, Newerlego, ale przyszła tylko ona i – jak notowała – „Pogrzeb bez kolegów, bez nikogo ze Związku, ani z Koła Młodych. Zimno. Wiatr. Jego matka i młodszy brat, jej matka i ojciec. Czekali na przybycie literatów. Na próżno”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Ktoś mi kradł listy. Skrzynka stoi przy drodze i jest to normalna amerykańska skrzynka wzięta z poczty. Taka blaszana, co to ją Państwo widują na wielu filmach.

Kradzież listów to przestępstwo federalne, bo Amerykański Urząd Poczty to instytucja federalna. Mogą cię wsadzić. (Lub prywatnie i po sąsiedzku łapę odrąbać). Więc zdziwiłem się, że ktoś ryzykuje, kradnąc moją pocztę. Tam nic ważnego nie ma – same reklamy i śmieci, i inne takie „nieważne”, które stosuję na rozpałkę w kominku. Kto by więc ryzykował odsiadkę lub śrut w tyłku (prywatnie ode mnie)?

Zacząłem się na tego wariata i... Nie wykryłem niczego; nikogo.

Pojechałem do naszej wioskowej knajpy, która zastępuje na prerii encyklopedię, punkt informacyjny oraz agencję ogłoszeń drobnych. (Zastępuje też wiele innych rzeczy i instytucji od ambulatorium po fachową terapię rodzinną z wyszynkiem i zakąską).

Opowiedziałem kumplom, co i jak, a oni na to, że skoro się zacząłem i nikogo nie złapałem, to znaczy, że byłem „słabo zaczajony”.

– Znaczący co? Bo nie rozumiem.

– On znowu nie rozumie! – powiedział Jeff do Eda, wywracając oczami.

– Przecież ja nigdy niczego nie rozumiem, to co się dziwisz? – odparowałem.

– Skoro ja „NIGDY niczego nie rozumiem”, to nawet średnio inteligentny gość przestałby się dziwić już dawno temu. Zawsze wszystkiego nie rozumiem, odkąd się spotkaliśmy w tej knajpie po raz pierwszy, czyli to już trwa 14 lat i nie powinno



was zaskakiwać, dziwić ani przyprowadzić o wywracanie oczami.

– W zasadzie masz rację, Gringo, ale mimo to nas wciąż zaskakujesz, bo ty nie rozumiesz rzeczy oczywistych. Tych najprostszych. Nieoczywiste rozumiesz. Skomplikowane rozumiesz. Zawile rozumiesz i potrafisz nam nawet wytłumaczyć tak, że my zaczynamy rozumieć zawiłości światowe i globalne. Ale rzeczy najprostszych, preriowych, nie ogarniasz i to jest zadziwiające.

– A czego nie rozumiem teraz?

– Źle się zacząłeś i gdy ty obserwowałeś skrzynkę, złodziej cię albo widział, albo wyczuł.

– Niemożliwe. Siedziałem zaczajony wewnątrz domu i kikowałem przez okno za pomocą lornetki. Czyli złodziej nie mógł mnie widzieć.

– A może on siedział u ciebie w domu, więc cały czas doskonale wiedział, gdzie jesteś, i dlatego nie wybierał się do skrzynki, gdyś ją obserwował. Ha?

– Bzdura! W domu byłem sam.

– A brałeś pod uwagę wiewióry? Nie brałeś! Ostatnie kilka dni zrobiło się zimno, tak? A skoro tak, to wiewiórom też zrobiło się zimno. One są sprytne, ale słabo u nich z myśleniem perspektywicznym, więc dopiero, gdy im tyłki zmarzły, zaczęły szukać czegoś, co można zawlec do gniazda i se wymościć. Zaległy ci się wiewióry pod dachem i tam siedzą. Wyrwały dziuple w izolacji i tam znajdziesz wszystkie swoje listy. Jeśli chcesz, to ja i Ed możemy przyjechać i podzielać fachowo, zanim cały twój dach będzie do

wywalenia. Wiewióry należy zwalczać, bo to wróg każdego domu. Między kowbojami a wiewiórami trwa odwieczna wojna. Wiewióra jest jak szczur. Trochę bardziej ozdobna, ale gorsza. Szczur kradnie i tyle. Czasami zarazi dżumą, ale tylko w wielkim mieście, a wiewióra gryzie instalacje i izolacje, ryje dziury i tunele, szarpie rynny i blachę. Wiewióra to wróg totalny nastawiony na rozbiórkę twojego domostwa za pomocą swoich wrednych zębów i głupiej natury. Więc, Gringo, albo one, albo my! Musimy je wykurzyć albo one rozprują twój dach.

Mieli rację. Jak... zawsze.

Pojechaliśmy do mnie. Zrobiliśmy kopcie z siana i liści nawpychanych do plastikowych butelek po Pepsi. Znaleźliśmy gniazdo, znaleźliśmy stertę poszarpanych listów. Wiewiórom wymierziliśmy karę federalną.

Mam teraz kilka dziur w dachu, ale dziury od śruciny można ignorować (nie puszczać wody). Za to wiewiór nie mam na pewno, czyli dom zabezpieczony.

I co ja teraz powiem Mamusi, która mnie prowadziła do parku karmić śliczne rude „Basie”? Jadły nam orzeszki z rączki. Takie śliczne, miłutkie. Więc co ja powiem Mamusi?

NIC nie powiem – ot, co! Za to Szwagierce opowiem WSZYSTKO. Latem na Kociwio. Poczekam na niedzielny obiad u Stryja i przy zupie opowiem o wiewiórach. Nie zacznę sam z siebie, ale gdy ktoś zapyta, jak tam u mnie,

w Arizonie, i co porabiałem zimą – wtedy opowiem. I drugie danie będziemy jedli już bez Szwagierki, za co wszyscy będą mi wdzięczni, choć nikt nie powie tego na głos. Oddzieli nas od niej trzaśnięcie drzwiami.

(Jeżeli ktoś nie zna Szwagierki z innych moich tekstów, to powiem tylko, że gdyby Wściekła Greta była o 20 lat starsza, to byłyby ze Szwagierką psiapsiółkami. Obie mają w głowie planetę zamiast rozumu. Obie niepokoi emisja CO₂ i dlatego postulują unijny zakaz jedzenia grochówki, bobu, fasoli i innych tego typu potraw. Postulują też wymordowanie bydła. Na logikę obie powinny zwalczać Billa Gatesa za te jego pomysły zastąpienia bydła sztucznym mięsem robionym z soi, bo ludzkość po zjedzeniu soi emituje więcej gazów cieplarnianych niż krowy hodowane na steki. Soja to tyle co fasola, a Bill Gates sam przyznał, że sojowe mięso jego produkcji pachnie bardzo podobnie do spodni po grochówce).

Amerykańskie wiewióry nie są rude ani ładne. Są szare i wredne. („Greta”, nie „Basia”). Gdyby je porównać do czegoś w Polsce, to proszę sobie wyobrazić drzewo pełne czereśni i stado szpaków. Ładny ptak – czarniutki, połyskliwy, a dzióbek ma złoty – ale umieszczony w kontekście czereśni zmienia postać, prawda? Szkodnik i należy zwalczać.

Wilki są śmiertelnie niebezpieczne, a jednocześnie ściśle chronione w Polsce i całej UE. Nie wolno ich płoszyć ani niepokoić. Jedyne, co wolno legalnie, to fładry – jaskrawe chorągiewki rozwieszone na sznurku dookoła domu. Płoszyć krzykiem ani hukiem nie wolno, pałą, widłami ani strzelbą nie wolno; nawet, gdy podchodzą pod drzwi. Zasada powinna być prosta – wilk w lesie OK, ale gdy przyjdzie pod dom, to... kara federalna. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

PIOTR GOCIEK
„CZARNE BATALIONY 2.0”
„WIDZENIE ENEASZA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 276 zł

~~491 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

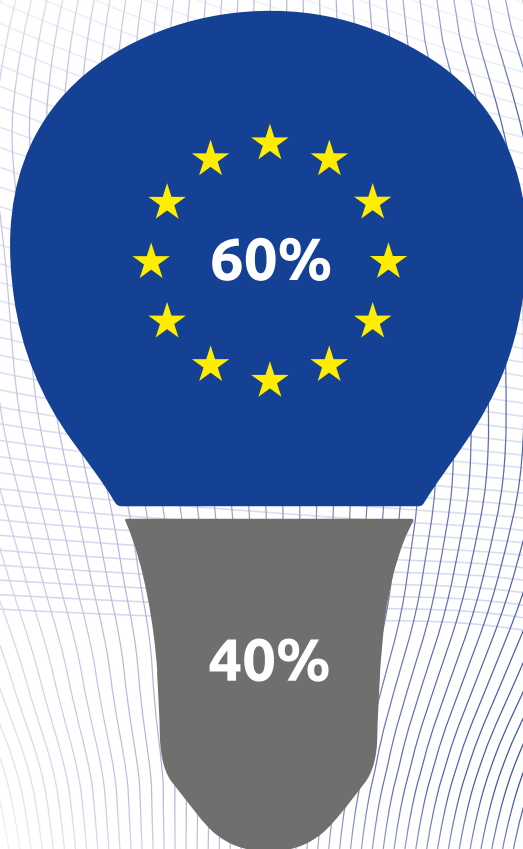
WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl acbf692c68



**Opłata klimatyczna Unii Europejskiej
to aż 60% kosztów produkcji energii**

**POLITYKA KLIMATYCZNA UE = DROGA ENERGIA
WYSOKIE CENY**